

Gowin:
Nauka bez barier

Guzy, Serafin, Strojnowski:
40 lat NZS

Kopczyński, Tarajto-Lipowska:
Akademickie patologie

FORUM AKADEMICKIE

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Rok XXVII Nr 2 (315) Luty 2020

PL ISSN 1233-0930 20 zł (VAT 8%)



Bibliotekarz zredukowany

Str. 32-39

Kołodziejczyk:
W stronę strategii

Disterheft:
Prawda w elektrodach

Cegieta:
Etyka komunikacji

INFORMACJE I KOMENTARZE

| | |
|--|----|
| Wydarzenia | 2 |
| Na co wydamy 31 mld złotych? – Sebastian Skuza | 6 |
| Rubinowy NZS – Mariusz Karwowski | 10 |
| Bezkompromisowi i nieobojętni – Patrycja Serafin | 11 |
| Byliśmy studentką „Solidarnością” – Jarosław Guzy | 11 |
| Jak powstał NZS na KUL – Jan Stojnowski | 13 |
| Od koncepcji do skutecznego działania – Ryszard Naskręcki | 14 |
| Rada Naukowa ERC w Krakowie – Andrzej Jajszczyk | 18 |
| Błędy w statutach i zasadach oceny – Maciej Żylicz | 20 |
| Wyższe szkolnictwo artystyczne a Czwarta Rewolucja Przemysłowa – Grzegorz Kurzyński | 22 |

ROZMOWA FORUM

| | |
|--|----|
| Likwidujemy bariery w rozwoju nauki – z dr. Jarosławem Gowinem, ministrem nauki i szkolnictwa wyższego, rozmawia Piotr Kieraciński | 24 |
|--|----|

BIBLIOTEKARZ ZREDUKOWANY

| | |
|---|----|
| Bibliotekarstwo w odwrocie – Jacek Wojciechowski | 32 |
| Jak odróżnić kształcenie bibliotekarzy – Elżbieta Barbara Zybort | 36 |

ŻYCIE NAUKOWE

| | |
|---|----|
| Nagrody Prezesa Rady Ministrów | 28 |
| Nagrody Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego | 29 |

Z laboratoriów

| | |
|---|----|
| Z energią dla klimatu – Joanna Kosmalska | 60 |
| Elektrody – droga do prawdy o konsumentach? – Aneta Disterheft | 62 |

ŻYCIE AKADEMICKIE

| | |
|---|----|
| Wiekowi profesorowie „z ograniczeniem” – Zbigniew Drozdowicz | 40 |
|---|----|

| | |
|---|----|
| Patologie w akademickim światku – Oskar Kopczyński | 43 |
| Nieetatowy pracownik naukowy – Zofia Tarajło-Lipowska | 46 |
| Między marzeniem a rzeczywistością – z dr. hab. Sebastianem Kołodziejczykiem, przewodniczącym Rady NAWA, rozmawia Piotr Kieraciński | 48 |
| Wolność wypowiedzi czy wolność od dyskryminacji? – Michał Bilewicz | 51 |
| Szkolenia i warsztaty dla pracowników uczelni – materiał sponsorowany | 55 |
| Czytelnia czasopism – Aneta Zawadzka | 58 |
| Publikuj lub giń | |
| Ta najtrudniejsza popularyzacja – Marek Misiak | 56 |

W STRONĘ HISTORII

Rody uczone (254)

| | |
|---|----|
| Hoyerowie, Wernerowie, Szumanowie. Cz. 2 – Magdalena Bajer | 65 |
|---|----|

Kartki z dziejów nauki w Polsce (223)

| | |
|--|----|
| Filozofia ścisła czy właściwa? – Piotr Hübner | 68 |
|--|----|

OKOLICE NAUKI

| | |
|--|----|
| O wojnach patentowych – Jerzy Adelt | 70 |
| Robi się późno – z dr. hab. Anną Cegiętą, przewodniczącą Komisji Etyki Komunikacji PAU, rozmawia Magdalena Bajer | 73 |
| Książki | 77 |

FELIETONY

| | |
|--|----|
| Tolerancja – pobłażanie czy poszanowanie – Henryk Grabowski | 59 |
|--|----|

Szkiełko w oku

| | |
|---|----|
| Informacja ma się coraz lepiej, ponieważ coraz gorzej – Piotr Müldner-Nieckowski | 76 |
|---|----|

Na marginesach nauki

| | |
|---------------------------------------|----|
| Kim jestem? – Leszek Szaruga | 80 |
|---------------------------------------|----|

| | |
|----------------------------------|--|
| Projekt okładki – Sławomir Makal | |
|----------------------------------|--|

FORUM AKADEMICKIE

Opólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Rok XXVII Nr 2 (315) Luty 2020

Adres redakcji: 20-601 LUBLIN, ul. Tomasz Zana 38, tel. 81 528 08 22, 524 02 55, e-mail: redakcja@forumakademickie.pl, http://www.forumakademickie.pl. **Rada Patronacka 2017-2020:** prof. dr hab. Wiesław Banyś, prof. dr hab. Katarzyna Chałasińska-Macukow, prof. dr hab. Andrzej Eliasz, prof. dr hab. Jarosław Górniak, prof. dr hab. inż. Andrzej Jajszczyk, prof. dr hab. inż. Jerzy Woźnicki – przewodniczący. **Redaguje zespół:** Piotr Kieraciński – dział informacji, redaktor naczelny (kieraciński@forumakademickie.pl), Grzegorz Filip – dział publicystyki (filip@forumakademickie.pl), Mariusz Karwowski – informacje, media elektroniczne (karwowski@forumakademickie.pl), Marek Remiszewski – sekretarz redakcji (remiszewski@forumakademickie.pl). **Stała współpraca:** Stefan Ciechan (fotograf), Paweł Kaniuk (DTP, www.web-graf.pl), Joanna Kosmalska, Sławomir Makal (grafika), Marek Wroński (Marekwro@gmail.com), Aneta Zawadzka. **Promocja, kolportaż, konferencje:** reklama@forumakademickie.pl, Ewa Kostowska (kostowska@forumakademickie.pl). **Wydawca:** Fundacja Forum Akademickie, ul. Tomasz Zana 38 a, 20-601 LUBLIN. Prezes Zarządu: Piotr Kieraciński. **Druk:** Drukarnia „Akapit” Sp. z o.o. © Wszelkie prawa zastrzeżone. Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, a także zastrzega sobie prawo do skracania i opracowywania artykułów oraz zmiany ich tytułów. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam. **Prenumerata:** Zamówienia należy składać na adres redakcji. Konto: PEKAO S.A. 21124054971111001061654371. Prenumerata roczna dla instytucji 230 zł. Prenumerata roczna indywidualna 166 zł. e-mail: prenumerata@forumakademickie.pl. PL ISSN 1233-0930

Status quo we Wrocławiu

WROCŁAW Dr hab. Andrzej Rokita, prof. AWF, będzie drugą kadencją rektorem wrocławskiej AWF. Był jedynym kandydatem w wyborach na to stanowisko. Otrzymał 95 głosów poparcia w 96-osobowym Kolegium Elek-



Fot. AWF

torów. Jedną osobą wstrzymała się od głosu. Prof. Rokita od 2008 roku kieruje Katedrą Zespołowych Gier Sportowych. Współtworzył piłki edukacyjne Edubał, przeznaczone dla uczniów najmłodszych klas szkół podstawowych oraz nauczycieli edukacji wczesnoszkolnej. Zachęcają do większej aktywności fizycznej uczniów oraz do podniesienia atrakcyjności lekcji wf. Jest autorem blisko 100 publikacji. Należy do Polskiego Towarzystwa Nauk o Kulturze Fizycznej oraz European College of Sport Science. W 2001 r. zakładał Międzynarodowe Towarzystwo Naukowe Gier Sportowych. Od 2012 r. jest prezesem KS AZS-AWF Wrocław oraz przewodniczący Komisji Nauki przy Radzie Sportu Zarządu Głównego AZS.

Nowy przewodniczący KPN

WARSZAWA Prof. Marcin Nowotny został nowym przewodniczącym Komitetu Polityki Naukowej. Od 2008 roku kieruje Laboratorium Struktury Białka w Międzynarodowym Instytucie Biologii Molekularnej i Komórkowej. W swoich badaniach stosuje metody biologii strukturalnej do określenia mechanizmów utrzymywania i przetwarzania informacji genetycznej. Zdobywał prestiżowe granty, m.in. z European Research Council, Howard Hughes Medical Institute i Wellcome Trust (dwukrotnie). KPN to organ opiniotwórczo-doradczy ministra nauki i szkolnictwa wyższego. W skład tego gremium wchodzi 12 członków, których



Fot. BBC

kadencja trwa 2 lata. Spośród nich co pół roku wybierany jest przewodniczący. W kadencji rozpoczętej w 2018 roku na czele KPN stali dotąd: prof. Jerzy Szwed, prof. Tomasz Żylicz oraz dr hab. Natalia Letki.

Doktorat h.c. – prof. Jan Woleński

ŁÓDŹ Prof. Jan Woleński, wybitny polski filozof, wykładowca na UJ i kierownik Katedry Nauk Społecznych Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie, laureat Polskiego Nobla, został 14 stycznia doktorem honoris causa Uniwersytetu Łódzkiego. Od chwili wygłoszenia w Łodzi pierwszego, poważnego i naukowego referatu na początku lat sześćdziesiątych XX wieku, pisze książki (33 tytuły), skrypty (6), artykuły (930) oraz poświęca swój czas na prace edytorskie i popularnonaukowe. Przez całe życie walczy na forach międzynarodowych i krajowych, na łamach prasy oraz w środowisku PAN i PAU o to, by myśl filozoficzna w Polsce była waż-



Fot. UŁ

nym składnikiem kultury. Prof. Woleński przyznał, że otrzymanie najwyższej godności łódzkiej uczelni ma dla niego szczególne znaczenie.

„Lubelski Nobel” dla psychologa

LUBLIN Prof. Cezary Domański z Katedry Psychologii Emocji i Osobowości na Wydziale Pedagogiki i Psychologii Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej otrzymał Nagrodę Naukową im. prof. Edmunda Prosta przyznaną przez Lubelskie Towarzystwo Naukowe. Laureat jest psychologiem i historykiem. Doceniono go za monografię *Historia psychologii w Europie Środkowej*, której przedmiotem jest rozwój psychologii, psychiatrii, a także nauk pokrewnych od roku 1879, czyli uruchomienia przez Wilhelma Wundta pierwszej pracowni psychologicznej, do roku 1939. W książce przedstawił podstawowe fakty i nazwiska psychologów, którzy żyli i pracowali w Polsce, Niemczech, Austrii, Czechach i Słowacji, na Węgrzech oraz w Słowenii. Wyróżnienia „Zasłużony dla lubelskiego środowiska naukowego” otrzymali: prof. Agnieszka Bender z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II i prof. Janusz Kocki z Zakładu Genetyki Klinicznej na Wydziale Lekarsko-Dentystycznym Uniwersytetu Medycznego w Lublinie.



Fot. Łukasz Kempik

Polska Platforma Medyczna

WROCŁAW Osiem podmiotów przystąpiło do realizacji projektu „Polska Platforma Medyczna”. Liderem przedsięwzięcia jest Uniwersytet Medyczny im. Piastów Śląskich we Wrocławiu. Portal ma integrować, prezentować i promować osiągnięcia naukowe oraz potencjał badawczy partnerów w zakresie medycyny, farmacji, stomatologii, zdrowia publicznego, bezpieczeństwa i higieny pracy, ergonomii i ochrony zdrowia. Platforma będzie skupiała w jednym miejscu rozproszone dotychczas informacje o: medycznych publikacjach naukowych, badaniach, patentach, sprzęcie badawczym, naukowcach. Wszystko będzie w otwartym dostępie. W projekcie uczestniczą także: Uniwersytet Medyczny w Białymstoku, Gdański Uniwersytet Medyczny, Śląski Uniwersytet Medyczny w Katowicach, Uniwersytet Medyczny w Lublinie, Pomorski Uniwersytet Medyczny w Szczecinie, Warszawski Uniwersytet Medyczny oraz Instytut Medycyny Pracy im. prof. Jerzego Nofera w Łodzi. Platforma ma zostać uruchomiona do końca maja.

Będą doradzać

WARSZAWA Prof. Lucyna Alicja Woźniak, prorektor ds. nauki i współpracy międzynarodowej Uniwersytetu Medycznego w Łodzi, została przewodniczącą Kolegium Doradców przy prezesie Centrum Łukasiewicza



Fot. SBL

wic. Do głównych zadań tego gremium należy konsultacja obszarów priorytetowych dla działań rozwojowych Łukasiewicza oraz opiniowanie kierunków współpracy ze środowiskiem biznesowym. W gronie 20 członków Kolegium są także inni przedstawiciele środowiska naukowego: dr inż. Paweł Bielski, dyr. Łukasiewicz – Instytutu Chemii Przemysłowej; dr inż. Piotr Dumania, dyr. Łukasiewicz – Instytutu Technologii Elektronowej; dr Radosław Dziuba, dyr. Łukasiewicz – Instytutu Biopolime-

rów i Włókien Chemicznych; dr inż. Barbara Juszczak, dyr. Łukasiewicz – Instytutu Metali Nieżelaznych w Gliwicach; prof. Marcin Moniuszko, prorektor ds. nauki i rozwoju, Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku; dr inż. Paweł Steżycki, dyr. Łukasiewicz – Instytutu Lotnictwa; prof. Jan Szmida, rektor Politechniki Warszawskiej; prof. Tadeusz Uhl z Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie; prof. Sławomir Wiak, rektor Politechniki Łódzkiej. Łukasiewicz z 8 tys. pracowników i 36 instytutami badawczymi jest trzecią co do wielkości siecią badawczą w Europie.

Zmiana na czele KCIK

SOPOT/KRAKÓW Prof. Karol Życzkowski z Zakładu Optyki Atomowej Uniwersytetu Jagiellońskiego został dyrektorem Krajowego Centrum Informatyki Kwantowej w Sopocie. Na 4-letnią kadencję powołał go rektor Uniwersytetu Gdańskiego prof. Piotr Gwizdała. Dotychczas jednostką kierował prof. Ryszard Horodecki. KCIK zostało powołane przy UG jako wspólna jednostka badawcza, zrzeszająca 9 ośrodków naukowych, celem tworzenia zintegrowanej bazy dla interdyscyplinarnych badań w obszarach przetwarzania kwantowej informacji i podstaw fizyki. Od czasów studiów, ukończonych w roku 1983, prof. Życzkowski jest stale związany z UJ. Od 1999 roku pracuje równocześnie w Centrum Fizyki Teoretycznej PAN. Zajmuje się mechaniką i informatyką kwantową, teorią chaosu oraz zastosowaniami matematyki w naukach społecznych.



Fot. UJ

Inwestycje nad Brdą

BYDGOSZCZ O nowe laboratoria i sale wykładowe wyposażone w sprzęt najwyższej klasy wzbogacił się Wydział Hodowli i Biologii Zwierząt Uniwersytetu Technologiczno-Przyrodniczego im. Jana i Jędrzeja Śniadeckich w Bydgoszczy. Oprócz 26 interaktywnych monitorów wyświetlających obraz w rozdzielczości 4K/UHD, zakupiono fantomy i modele zwierząt, m.in. krów, psów i szczurów, umożliwiające studentom poznanie ich fizjologii i anatomii. W zmodernizowanych salach dydaktycznych zainstalowano dodatkowe monitory dla studentów, podnoszące komfort pracy podczas wykładów. Uruchomiono także nowoczesne prosektorium. Dla studentów zorganizowano strefę relaksu. Wcześniej przeprowadzono remont elewacji dwóch budynków oraz dachu wydziału. Inwestycja pochłonęła ponad 2,6 mln zł.



Fot. UJP

rząt, m.in. krów, psów i szczurów, umożliwiające studentom poznanie ich fizjologii i anatomii. W zmodernizowanych salach dydaktycznych zainstalowano dodatkowe monitory dla studentów, podnoszące komfort pracy podczas wykładów. Uruchomiono także nowoczesne prosektorium. Dla studentów zorganizowano strefę relaksu. Wcześniej przeprowadzono remont elewacji dwóch budynków oraz dachu wydziału. Inwestycja pochłonęła ponad 2,6 mln zł.

Pani komisarz

TORUŃ Patrycja Gulak-Lipka z Wydziału Nauk Ekonomicznych i Zarządzania Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu została pierwszą kobietą, która zdobyła krajowe i międzynarodowe uprawnienia komisarza zawodowych rozgrywek koszykarskich. Jest asystentką w Katedrze Doskonałości Biznesowej Wydziału Nauk Ekonomicznych i Zarządzania UMK. W tym roku zamierza złożyć rozprawę doktorską poświęconą zarządzaniu

klubami koszykarskimi. Jeszcze jako zawodniczka występowała na parkietach w USA, Hiszpanii, Francji i we Włoszech. Przez jeden sezon broniła barw gdyńskiego Lotosu, z którym zdobyła wicemistrzostwo Polski (2008). Z kadrą Polski senierek grała na mistrzostwach Europy (2011). Jako komisarz Polskiego Związku Koszykówki będzie obserwować zawody zarówno kobiecej, jak i męskiej ligi. Ma już za sobą także debiut w rozgrywkach zagranicznych, w meczu eliminacji mistrzostw Europy koszykarek Litwa – Albania.



Fot. Andrzej Romaniński

Nagroda za kolonializm

KRAKÓW Polsko-Amerykańskie Towarzystwo Historyczne przyznało dr. Piotrowi Puchalskiemu z Uniwersytetu Pedagogicznego im. KEN w Krakowie Nagrodę dla Młodego Naukowca (Young Scholar Award) za obiecujący kierunek badań naukowych. Laureat jest adiunktem w Instytucie Historii i Archiwistyki UP. Jego zainteresowania naukowe obejmują: historię Polski i ziem polskich w ujęciu globalnym, polską politykę kolonialną i narodowość, ewolucję ładu międzynarodowego, monarchię habsburską, najnowszą historię Niemiec, Francji i Wielkiej Brytanii, historię Stanów Zjednoczonych, II wojnę światową. Przygotowuje właśnie publikację, w której głównym założeniem jest ukazanie roli nowo powstałego w 1918 roku państwa polskiego w międzywojennym ładzie światowym, opartym na kolonializmie w starym i nowym wydaniu (system mandatowy). Polsko-Amerykańskie Towarzystwo Historyczne (PAHA) jest interdyscyplinarną organizacją non-profit zajmującą się badaniem historii i kultury polsko-amerykańskiej. Wcześniej jako część Polskiego Instytutu Sztuki i Nauki w Ameryce, od 1948 roku jest autonomicznym towarzystwem naukowym.



Fot. UP

Minister uhonorował medyków

WARSZAWA Minister zdrowia prof. Łukasz Szumowski nagrodił 31 nauczycieli akademickich za znaczące osiągnięcia w zakresie działalności naukowej, dydaktycznej, wdrożeniowej, organizacyjnej oraz za całokształt dorobku w pracy akademickiej. W każdej z pięciu powyższych kategorii znalazł się przedstawiciel bądź przedstawicielka Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku. Pozostali nagrodzeni reprezentują uczelnie medyczne z: Lublina, Łodzi, Poznania, Warszawy, Szczecina, Katowic i Wrocławia. Jednym z wyróżnionych za znaczące osiągnięcia w zakresie działalności naukowej jest prof. Krzysztof Giannopoulos (na fot.), kierownik Zakładu Hematoonkologii Doświadczalnej Uniwersytetu Medycznego w Lublinie, realizujący właśnie wart ponad 3 mln zł grant Narodowego Centrum Nauki. Badania dotyczą wpływu mikroflory bakteryjnej na rozwój przewlekłej białaczki limfocytowej. Wyjaśnieniu hipotezy, według której infekcje mogą być nie tylko konsekwencją, ale również przyczyną



Fot. MZ

rozwoju i progresji tej choroby, posłuży baza ponad 25 tys. sekwencji genów odpowiadających za różnorodność przeciwciał zgromadzonych przez European Research Initiative for CLL. Pomoże ona określić, które szczepy bakteryjne powodują rozwój komórek nowotworowych.

Laboratorium Przemysłu 4.0

GLIWICE Pierwszą w Polsce Pracownię Atlas Copco – światowego producenta rozwiązań technologicznych i produkcyjnych Przemysłu 4.0, uruchomiono na Wydziale Mechanicznym Technologicznym Politechniki



Fot. PŚ

Śląskiej. Wyposażono ją w sprzęt i technologie wykorzystywane m.in. w branży motoryzacyjnej w zakresie montażu, udoskonalenia jego jakości, zwiększania niezawodności systemów technicznych. Na nowych stanowiskach studenci będą mieli okazję odbyć zajęcia integrujące wszystkie elementy ważne w automatyce, mechatronice, informatyce stosowanej, budowie maszyn, a także w organizacji procesu produkcji. Uzyskana podczas zajęć wiedza pomoże w projektowaniu samochodów, a także podczas działalności w obszarach wykraczających poza automotive. PŚ współpracuje z Atlas Copco od 2 lat. Systemy tej firmy stosowane są przez producentów, takich jak Fiat, Opel czy BMW.

UKSW z PAŻP

WARSZAWA Centrum Cyfrowej Nauki i Technologii Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie podpisało umowę o współpracę z Polską Agencją Żeglugi Powietrznej. Dotyczy ona wykonywania przez



Fot. UKSW

badaczy z UKSW ekspertyz, analiz i prac badawczych dotyczących zagadnień związanych z organizacją zarządzania ruchem lotniczym w Europie oraz modelem europejskiego rynku lotniczego i sieci lotniczej. Badania realizowane będą w budowanym właśnie centrum naukowym w Dziekanowie Leśnym. Znajdzie się w nim 19 specjalistycznych laboratoriów wyposażonych w technologie niezbędne do analiz zarządzania ruchem lotniczym i przestrzenią powietrzną. Całkowita wartość przedsięwzięcia przekracza 83 mln zł. Partnerami UKSW w tej inwestycji są: Ośrodek Przetwarzania Informacji – PIB oraz Wojskowy Instytut Medycyny Lotniczej. Realizacja ma się zakończyć do końca przyszłego roku.

Solarne transformacje

BONN Trzy zespoły badawcze z Polski znalazły się w gronie laureatów konkursu organizowanego przez sieć Solar-Driven Chemistry. Tematyka dotyczyła zagadnień związanych z transformacją małych cząstek (np. wody, dwutlenku węgla, azotu) w bardziej skomplikowane układy pod wpływem światła słonecznego. Liderem jednego z projektów będzie prof. Marcin Opałło (na fot.) z Instytutu Katalizy i Fizykochemii Powierzchni im. Jerzego Habera PAN w Krakowie. Wraz z partnerami z Finlandii i Szwaj-

carii jego zespół zajmie się fotoprodukcją wodoru w układzie dwufazowym z odtwarzaniem donora elektronów. Chodzi o układy fotoelektrochemiczne, w których wodór wytwarzany jest na granicy pomiędzy wodą a olejem. W innych przedsięwzięciach udział wezmą: dr hab. Dorota Rutkowska-Żbik z IKiFP oraz prof. Wojciech Macyk z Zakładu Chemii Nieorganicznej UJ. Konkurs to inicjatywa niemieckiej agencji finansującej badania – Deutsche Forschungsgemeinschaft. Złożono w sumie 47 wniosków badawczych. Finansowanie w wysokości 4,6 mln euro otrzymało sześć projektów.



Fot. W. Rogala

Młody Ambasador z WUM

WARSZAWA Dr Jarosław Biliński z Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego został wybrany Młodym Ambasadorem Europejskiego Towarzystwa Transplantacji Krwi i Szpiku. To wąskie grono profesjonistów wybierane corocznie przez



Fot. Arch. prywatne

władze European Society for Blood and Marrow Transplantation spośród lekarzy, naukowców i pielęgniarek do 35 roku życia. Dr Biliński ukończył kierunek lekarski w Collegium Medicum Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Bydgoszczy. Obecnie pracuje w Klinice Hematologii, Onkologii i Chorób Wewnętrznych WUM. Od 2018 roku jest wiceprezesa Okręgowej Rady Lekarskiej w Warszawie oraz członkiem Naczelnej Rady Lekarskiej. Przewodniczył zespołowi ds. opracowania propozycji nowelizacji ustawy o zawodach lekarza i lekarza dentyisty. W pracy naukowej zajmuje się: hematologią, transplantologią kliniczną, immunologią, metagenomiką, genetyką, mikrobiomem jelitowym i jego oddziaływaniami z gospodarzem.

MIBMiK dołącza do EU-LIFE

WARSZAWA Międzynarodowy Instytut Biologii Molekularnej i Komórkowej w Warszawie został pierwszym polskim członkiem konsorcjum EU-LIFE. Skupia ono wiodące w dziedzinie nauk o życiu instytuty badawcze z 13 europejskich państw. EU-LIFE realizuje ideę odpowiedzialnej nauki, m.in. poprzez promowanie integracji różnorodnych środowisk naukowych, wspieranie równowagi płci i rozwoju kariery naukowców oraz rzetelną ocenę jakości badań. Od momentu założenia (2013) działa w europejskich programach badań naukowych i innowacji, zwłaszcza na rzecz Europejskiej Przestrzeni Badawczej (European Research Area) oraz kolejnego unijnego programu ramowego „Horyzont Europa” przewidzianego na lata 2021–2027.

Wybory w FUniP

TORUŃ Wojciech Skrodzki, student IV roku Wydziału Prawa Uniwersytetu w Białymstoku, został po raz drugi z rzędu wybrany na przewodniczącego Forum Uniwersytetów Polskich. W latach 2017–2019 był przewodniczącym Parlamentu Studentów UwB. Od października ub. roku jest ekspertem ds. studenckich Polskiej Komisji Akredytacyjnej. Do nowego prezydium FUniP weszli ponadto: Rafał Koziołek (Uniwersytet Jagielloński), Aleksandra Strońska (Uniwersytet Szczeciński), Dominik Słodowy (Uniwersytet Wrocławski), Filip Krokos (Uniwersytet Mikołaja Kopernika), Magdalena Sobiesiak (Uniwersytet



Fot. Arch. prywatne

Marii Curie-Skłodowskiej). Forum Uniwersytetów Polskich jest autonomicznym porozumieniem samorządów studenckich uczelni zrzeszonych w Konferencji Rektorów Uniwersytetów Polskich. Jest platformą współpracy, komunikacji oraz wymiany opinii i doświadczeń pomiędzy przedstawicielami samorządów studenckich.

Nagrody dla śląskich naukowców

KATOWICE Podczas inauguracji 4. Śląskiego Festiwalu Nauki wręczono Śląskie Nagrody Naukowe. Przyznawane są badaczom i twórcom, którzy w znaczący sposób przyczyniają się do rozwoju nauki oraz mają wybitne osiągnięcia artystyczne i promują śląską naukę w kraju i za granicą. Z 25 nominowanych kapituła nagrodziła: prof. Macieja Pieprzycę, scenarzystę i reżysera filmów fabularnych oraz dokumentalnych, wykładowcę w Szkole Filmowej im. Krzysztofa Kiesłowskiego Uniwersytetu Śląskiego na kierunku reżyseria; dr. hab. inż. Dawida Janasa z Wydziału Chemicznego Politechniki Śląskiej; prof. Wojciecha Wójcickiego, kierownika III



Fot. Tomasz Krawka

Katedry Kardiologii i Kliniki Kardiologii i Chorób Strukturalnych Serca Wydziału Nauk Medycznych Śląskiego Uniwersytetu Medycznego; prof. Janusza Kapuśniaka, prorektora ds. nauki i współpracy z zagranicą Uniwersytetu Humanistyczno-Przyrodniczego im. Jana Długosza w Częstochowie; dr. Michała Wilka, adiunkta w Akademii Wychowania Fizycznego w Katowicach; prof. Ryszarda Fryczkowskiego z Instytutu Inżynierii Tekstyliów i Materiałów Polimerowych Akademii Techniczno-Humanistycznej w Bielsku-Białej; prof. Irmę Kozinę (na fot.) z Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach.

Heweliusze przyznane

GDAŃSK Po raz 32 wręczono Nagrody Naukowe Miasta Gdańska im. Jana Heweliusza. Laureatką w kategorii nauk przyrodniczych i ścisłych została prof. Małgorzata Myśliwiec z Gdańskiego Uniwersytetu Medycz-



Fot. Grzegorz Mehnig

nego. Uhonorowano ją za wybitne osiągnięcia naukowe dotyczące diagnostyki oraz terapii komórkowej dzieci z cukrzycą typu 1 we wczesnej fazie choroby. W kategorii nauk humanistycznych i społecznych nagrodzono ks. bp. dr. hab. Marcina Hintza, prof. Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej, za znaczący wkład w zgłębianiu myśli społeczno-politycznej protestantyzmu, szczególnie pomiędzy eklezjologią a prawem kościelnym. Nagroda im. Jana Heweliusza to najważniejsze na Pomorzu wyróżnienie naukowe, ustanowione w 1987 roku Laureaci otrzymali dyplom, statuetkę Heweliusza autorstwa prof. Jana Szczypki oraz po 20 tys. zł.

Sprzęt dla geodetów

JAROSŁAW Tachimetry skanujące i zrobotyzowane, czterosystemowe odbiorniki, niwelatory, dron z kamerą multispektralną – sprzęt o wartości 1,5 mln zł będzie do dyspozycji studentów geodezji i kartografii Państwowej Wyższej Szkoły Techniczno-Ekonomicznej w Jarosławiu. Zakupione urządzenia mają nowoczesne oprogramowanie, są wodoodporne



Fot. PWSiE

i niezwykle precyzyjne, np. tachimetry zrobotyzowane potrafią, dzięki technologii PowerSearch, same zlokalizować cel, a nawet dostosować się do warunków zewnętrznych. Aparatura zasili laboratorium metrologii geodezyjnej. To jedna z 18 pracowni w jarosławskiej uczelni, na których wyposażenie, sprzęt i oprogramowanie pozyskano środki z Regionalnego Programu Operacyjnego województwa podkarpackiego. Wartość całego projektu, którego celem jest poprawa warunków kształcenia i dostosowanie do wymogów stawianych przez rynek pracy, przekroczyła 12,5 mln zł. Wkład własny uczelni to niespełna 2 mln zł.

Jubileuszowy reprint

KIELCE Uniwersytet Jana Kochanowskiego przygotował wydanie reprintowe z wieloautorskim komentarzem naukowym *Antyfonarza Kieleckiego*. To jeden z największych zabytków polskiego piśmiennictwa, wywodzący się z regionu świętokrzyskiego. Rękopis powstał w 1372 roku na zlecenie środowiska kanoników kieleckich. *Antyfonarz Kielecki* zawiera jeden z trzech najstarszych przekazów rękopiśmiennych hymnu *Gaude Mater Polonia* – pieśni, która w średniowieczu pełniła rolę carmen patrium, czyli hymnu państwowego. Prace nad ponownym wydaniem rozpoczęły się w połowie 2019 roku. Reprint składa się z fotografii wysokiej jakości, komentarzy naukowych przygotowanych przez interdyscyplinarny zespół znawców historii średniowiecznej, historyków, muzykologów, bibliotekoznawców, filologów klasycznych i polskich oraz tekstów m.in. rektora UJK, prof. Jacka Semaniaka i prof. Krzysztofa Brachy z Instytutu Historii UJK, pomysłodawcy wydania. Dzieło, które pojawi się na wiosnę, uswietni obchody jubileuszu 50-lecia kieleckiej uczelni.



Opracował Mariusz Karwowski

Współpraca: Piotr Burda, Marcin Czyżniewski, Katarzyna Dominiak, Michał Grzybowski, Monika Wąs, Jadwiga Witek, Maria Wojtach, Jolanta Workowska, Łukasz Wspaniały

Wykorzystano serwisy prasowe szkół wyższych, placówek badawczych i instytucji otoczenia nauki.

Więcej aktualności na naszej stronie internetowej

www.forumakademickie.pl

oraz na naszych profilach na Facebooku

i na Twitterze



Wolnościowa nowelizacja

W ostatnich czasach coraz częściej mamy na uniwersytetach do czynienia z zakazem głoszenia różnego rodzaju poglądów. Najczęściej chodzi o zakaz organizacji wystąpień gości zapraszanych przez studentów. Zakaz zastąpił dyskusję. Na to zjawisko odpowiedziało Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego, proponując nowelizację ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce. Ma ona na celu zapewnienie wolności wypowiedzi na uczelniach.

Min. Jarosław Gowin tłumaczy: – Nasila się ideologiczna cenzura na uniwersytetach. Tymczasem powinny być one miejscem nieskrępowanej debaty naukowej. Będę bronił prawa do głoszenia poglądów, tak gender, jak i przeciwstawnych. Przytoczył przykłady zakazu debaty na uczelniach w okresie swojej poprzedniej kadencji ministra nauki: raz chodziło o zakaz wykładu marksistowskiego, drugi – konferencji o charakterze konserwatywnym. Czarę goryczy przełało zwolnienie z pracy na Śląskim Uniwersytecie Medycznym oraz dyscyplinarka na Uniwersytecie Śląskim dla wykładowców, którzy na zajęciach ze studentami mówili, że rodzina to... rodzice, mama, tata i dzieci oraz krewni. Ciekawe, że inicjatorami skarg na wykładowców (skutkujących zwolnieniem wykładowcy i dyscyplinarką) byli studenci, słuchacze wykładów, których zbulwersował obraz zwykłej rodziny, przedstawiony przez wykładowców. O ile można usprawiedliwić studentów, o tyle trudno zrozumieć postawę władz uczelni.

– Uniwersytet jest właściwą przestrzenią do wymiany poglądów, a nie cenzurowania osób i sposobów myślenia. Etos akademicki powinien być wystarczającą gwarancją wolności badań i wykładów. Jednak nie jest – mówił Jarosław Gowin. Przyznał też, że to wstyd, że musimy ustawowo regulować sprawy, które powinny wynikać z obyczaju środowiska akademickiego.

Marcin Gubała, dyrektor Departamentu Legislacyjno-Prawnego MNiSW przypomniał, że ustawa Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce już reguluje kwestie wolności akademickiej. Raz w preambule („obowiązkiem władzy publicznej jest tworzenie optymalnych warunków dla wolności badań naukowych i twórczości artystycznej, wolności nauczania”), a drugi raz w art. 3 ust. 1. („Podstawą systemu szkolnictwa wyższego i nauki jest wolność nauczania, twórczości artystycznej, badań naukowych i ogłaszania ich wyników”). Te zapisy okazują się jednak niewystarczające. Dyr. Gubała zapowiedział, że mini-

sterstwo nauki przygotowuje własną nowelizację ustawy, a nie skorzysta z propozycji innych instytucji (Ordo Iuris). Nowelizacja ma polegać na korekcie art. 3, w którym zostanie zapisana wprost wolność wyrażania poglądów jako powiązana z wolnością nauczania i badań.

Przedstawiciele MNiSW przypomnieli, że celem nowelizacji jest ochrona tych, którzy mogliby być postponowani za swoje poglądy, ale nie danie immunitetu tym, którzy zechcą nadużywać wolności, łamiąc prawo czy promując treści sprzeczne z wynikami badań naukowych (chodzi o tzw. pseudonaukę, cokolwiek to znaczy). Nowelizacja ma wprowadzić obowiązek organów kierowniczych uczelni do zapewnienia warunków zachowania wolności.

Ministerstwu chodzi też o umożliwienie osobom, których wolności zostaną naruszone, zwrócenie się z wnioskiem o ochronę. W tym celu ma powstać Komisja ds. wolności. Zostanie ona umocowana ustawowo. W jej skład wejdzie 9 osób, w tym 3 wskazane przez Radę Główną Nauki i Szkolnictwa Wyższego, po jednej wskazanej przez Parlament Studentów RP i Krajową Reprezentację Doktorantów oraz cztery osoby wskazane przez ministra nauki. Komisja będzie powoływana na pięcioletnią kadencję. Ma sama stworzyć regulamin działania i odpowiednie procedury. Funkcji w komisji nie można będzie łączyć z innymi funkcjami akademickimi, w tym dyscyplinarnymi. Ministerstwo chciałoby, aby procedowanie nie trwało długo. Postępowania miałyby kończyć się w ciągu dwóch tygodni wydaną przez komisję rekomendacją dla władz uczelni. Postępowania nie będą miały charakteru administracyjnego, a rekomendacja też nie będzie decyzją administracyjną. Będzie jednak ogłaszana, w wersji anonimizowanej, w Biuletynie Informacji Publicznej MNiSW. Uczelnia będzie musiała w ciągu 30 dni odpowiedzieć, jak ją zrealizowała.

Ministerstwo nie przewiduje żadnych dodatkowych sankcji dla rektorów. One są już zapisane w art. 13 ustawy PWSN. – Może te przepisy wywołają pewną refleksję środowiska akademickiego – zastanawiał się minister nauki.

Komisja miałyby rozpocząć działalność 1 października 2020 r. – W tym właśnie czasie nabiera pełnej mocy reforma nauki – mówił min. Gowin. – Tam, gdzie się knebluje usta, tam kończy się prawda, tam nie ma już uniwersytetu.

(p)

Na co wydamy 31 mld złotych?

Dr hab. **Sebastian Skuza**, podsekretarz stanu w MNiSW, przedstawia budżet nauki i szkolnictwa wyższego na rok 2020

Rok 2020 będzie drugim rokiem pełnego korzystania przez podmioty działające na rzecz nauki i szkolnictwa wyższego z nowych strumieni finansowych wyznaczonych przepisami ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce.

Wydatki w zakresie szkolnictwa wyższego i nauki wraz z wydatkami przeznaczonymi na działalność badawczo-rozwojową zaplanowano w projekcie ustawy budżetowej na rok 2020 w kwocie **31 mld 067,6 mln zł**, z tego: ze środków budżetu państwa 27 mld 219,8 mln zł oraz z budżetu środków europejskich 3 mld 847,8 mln zł. W relacji do analogicznej kwoty ujętej w ustawie budżetowej na 2019 r. (27 mld 998,2 mln zł), **wydatki te wzrastają o 3 mld 069,4 mln zł**, tj. nominalnie prawie o 11%.

Największy udział wydatków, bo aż 83,1%, stanowią wydatki zaplanowane w budżecie części 28 – Szkolnictwo wyższe i nauka,

której dysponentem jest minister właściwy do spraw nauki i szkolnictwa wyższego.

Wydatki te zaplanowano w łącznej wysokości 25 mld 809,9 mln zł, z tego: ze środków budżetu państwa 22 mld zł i budżetu środków europejskich 3 mld 809,8 mln zł.

Przedstawiając powyższe zaznaczam, że wyżej zaprezentowany projekt budżetu jest bardzo obiecujący, zważywszy na fakt, że zarówno dla ministra nauki i szkolnictwa wyższego jak i pozostałych ministrów nadzorujących szkoły wyższe w ramach poz. 49 rezerwy celowej budżetu państwa są rekomendowane środki w kwocie 800 mln zł z przeznaczeniem na wzrost wynagrodzeń pracowników uczelni.

Ponadto tzw. ustawa okołobudżetowa przewiduje przekazanie na rzecz jednostek systemu nauki i szkolnictwa wyższego skarbowe papiery wartościowe o wartości nominalnej **1 mld 133 mln zł**.

Dominatorzy z Polski

Aż pięcioro naukowców pracujących w Polsce otrzymało granty Europejskiej Organizacji Biologii Molekularnej. Taka sytuacja zdarzyła się po raz pierwszy w 14-letniej historii przyznawania EMBO Installation Grants. W dotychczasowych konkursach w jednym rozdaniu nagradzano nie więcej niż 3 Polaków (w 2006 i 2019). Na stworzenie niezależnych laboratoriów laureaci dostają po 50 tys. euro rocznie przez 3–5 lat.



O EMBO Installation Grant mogą się ubiegać naukowcy z Czech, Polski, Portugalii i Turcji. W tym roku wyróżniono dziewięcioro młodych naukowców. Wśród nich są dr **Aleksandra Pękowska** oraz dr **Grzegorz Sumara** z Instytutu Biologii Doświadczalnej im. M. Nenckiego PAN, którzy kilka miesięcy temu stanęli na czele pierwszych w Polsce centrów doskonałości naukowej Dioscuri. Dr Pękowska wróciła do Polski z Narodowego Instytutu Zdrowia w Bethesda w stanie Maryland (USA). Bada astrocyty, czyli specyficzne komórki glistowe w mózgu. Ma zamiar poznać genetyczne podstawy ich funkcjonowania oraz zidentyfikować zmiany w genomie, które odpowiadają za ewolucyjną modyfikację biologii astrocytów.

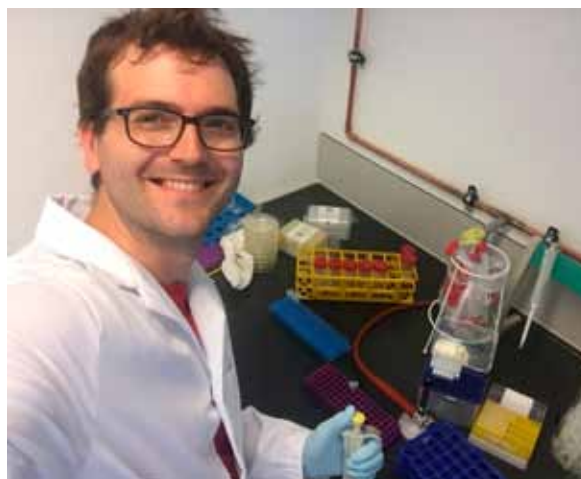
Dr Grzegorz Sumara, który prowadził badania w Centrum Biomedycyny Eksperymentalnej im. Rudolfa Virchowa na Uniwersytecie w Würzburgu, zajmuje się wyjaśnianiem szlaków sygnałowych, odgrywających rolę w chorobach metabolicznych. Jego eksperymenty genetyczne na myszach dotyczą regulatorów tkanki tłuszczowej, wątroby, układu trawiennego i funkcji trzustki oraz białek zaangażowanych w rozwój otyłości, a także cukrzycy typu 2. Wykorzysta je do generowania nowatorskich terapii medycyny precyzyjnej, która ma przywrócić sprawność organizmowi dotkniętemu poważnymi chorobami metabolicznymi.



Kolejnym grantobiorcą jest dr **Piotr Szwedziak**, kierownik Laboratorium Strukturalnej Biologii Komórki Centrum Nowych Technologii Uniwersytetu Warszawskiego. Do stolicy przyjechał w maju ub.r.

z Politechniki Federalnej w Zurychu, gdzie prowadził badania dotyczące sekrecji w bakteriach. Obecnie przedmiotem jego zainteresowania są archeony w kontekście ewolucji organizacji komórkowej. Za pomocą metod biologii strukturalnej i biochemii chce się dowiedzieć, w jaki sposób mogła powstać tak skomplikowana struktura jak komórka ludzka.

Wśród beneficjentów grantów EMBO jest także dwóch badaczy z Małopolskiego Centrum Biotechnologii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Dr **Yusuke Azuma**, który po stażu podoktorskim na Uniwersytecie w Poczdamie i na Politechnice Federalnej w Zurychu od 2018 roku jest adiunktem w Laboratorium Bionanologii i Biochemii MCB UJ, opracowuje sztuczne przedziały subkomórkowe do katalizy poprzez ponowne zaprojektowanie i ukierunkowaną ewolucję samoorganizujących się klatek białkowych. To jeden z najbardziej przyszłościowych sposobów uzyskiwania białek o zdefiniowanej przez użytkownika funkcji.



Z kolei dr **Rafał Mostowy**, który w 2012 roku wyjechał na podoktorskie stypendium naukowe do Imperial College w Londynie, by prowadzić badania nad pałeczkami zapalenia płuc, używa genomiki bakteriologicznej do pomiaru zmian ewolucyjnych w patogenicznych bakteriach. Badając DNA mikrobów powodujących choroby zakaźne, mierzy, jak prędko bakterie potrafią zmieniać się w odpowiedzi na szczepionki czy antybiotyki.

EMBO to międzynarodowa organizacja zrzeszająca ponad 1800 wybitnych badaczy zajmujących się biologią molekularną. Wspiera utalentowane osoby w osiągnięciu jak najlepszych wyników prac badawczych. EMBO Installation Grants mają przyczynić się do zwiększenia poziomu internacjonalizacji na europejskich uczelniach oraz mobilności kadry akademickiej. Jednym z wymogów jest spędzenie okresu przynajmniej dwóch lat poza krajem, w którym ma powstać laboratorium. Laureaci stają się również członkami EMBO Young Investigator Network, co umożliwi im korzystanie z całej gamy szkoleń oraz zasobów zrzeszonych instytucji.

MK

Co się dzieje na gdańskiej AWFis?

Na początku lutego br. trójmiejska prasa ponownie poruszyła temat gdańskiej AWFis. Od czerwca zeszłego roku na uczelni trwają protesty dotyczące rozliczenia finansowego umowy *Belt and Road*, wykonywanej przez gdańską uczelnię z Uniwersytetem Sportowym w Pekinie. W jej ramach studenci z Chin – 24 piłkarzy i 14 siatkarzy – było szkolonych przez trenerów AWFis oraz korzystało z obiektów uczelni, m.in. akademika wyremontowanego na ich potrzeby. Tymczasem umowę z pekińską uczelnią podpisał Klub Sportowy AZS AWFis, nie uczelnia. Zdaniem prof. Waldemara Moski, od września 2010 r. rektora AWFis w Gdańsku i jednocześnie prezesa klubu, umowa *Belt and Road* „ze względów proceduralnych” nie mogła być realizowana w inny sposób. Zaniepokojenie części pracowników spowodował fakt wysokich uposażeń, które w ramach projektu otrzymali rektor i jego współpracownicy.

We wrześniu 2019 r. sprawą zajęła się gdańska Prokuratura Okręgowa i do chwili obecnej trwa postępowanie prokuratorskie, analizowane są dokumenty i przesłuchiwani świadkowie.

16 października 2019 r. „ze względów zdrowotnych” ze stanowiska rektora zrezygnował prof. Moska, jak również dwaj prorektorzy, prof. Władysław Jagiełło (ds. nauki) oraz prof. Barbara Duda-Biernacka (ds. kształcenia i rozwoju). Na stanowisku p.o. rektora ostał się tylko prof. Paweł Cięszczyk (43 lata), prorektor ds. studentów, który do września 2017 r. pracował na Wydziale Kultury Fizycznej i Promocji Zdrowia Uniwersytetu Szczecińskiego, gdzie kierował stworzonym przez siebie Centrum Badań Strukturalno-Funkcjonalnych Człowieka, zajmującym się m.in. genetyką wysiłku fizycznego. Skutkowało to dziesiątkami publikacji wieloautorskich w wysoko punktowanych czasopismach polskich i anglosaskich. Po konflikcie z ówczesnym dziekanem, dr. hab. Jerzym Eiderem, który podobno nie chciał sfinansować postępowania profesorskiego oraz odwołał dr. hab. Pawła Cięszczyka ze stanowiska dyrektora Centrum, ten przeszedł ze swoim zespołem do Gdańska, gdzie szybko został prorektorem ds. studenckich. I teraz tutaj zaczęły się ukazywać dalsze, wieloautorskie publikacje w renomowanych czasopismach.



Na 7 listopada 2019 r. zarządzono wybory uzupełniające na stanowisko rektora, do których zgłosił się już zdrowy prof. Moska i je wygrał. Szybko powołał na stanowiska prorektorów prof. Jagiełłę i prof. Dudę-Biernacką. „Nowy-stary” rektor na 9 stycznia 2020 r. zarządził wybory rektora na kadencję 2020-2024, które wygrał prof. Paweł Cięszczyk (na fot.). Formalnie obejmie władzę 1 października 2020 r.

Tymczasem 2 stycznia 2020 r., na skutek wcześniejszej skargi kilku profesorów do Komisji Etyki w Nauce PAN, wszczęto wyjaśniające postępowanie dyscyplinarne wobec rektora Waldemara Moski, które prowadzi rzecznik dyscyplinarny ministra nauki i szkolnictwa wyższego, prof. prawa z UMCS w Lublinie Katarzyna Dudka. Rektorowi postawiono 10 zarzutów, które – jak napisał „Dziennik Bałtycki” – dotyczą „m.in. wyłudzenia z ministerstwa 1 mln zł dotacji z tytułu studiowania zagranicznych studentów na kierunkach anglojęzycznych bez znajomości języka Szekspira, wyprowadzenia 4,5 mln zysków z międzynarodowego projektu do klubu sportowego, którego jest prezesem, zerwania umowy agencji lokalu gastronomicznego na terenie uczelni, co zaowocowało koniecznością wypłaty odszkodowania w wysokości ok. 100 tys. zł, przypisanie

sobie autorstwa części cudzych artykułów naukowych z zakresu genetyki, dopuszczenie się manipulacji przy wyborach na rektora, wypowiedzenie umowy o pracę członkom Komitetu Założycielskiego nowego powstałego Akademickiego Związku Zawodowego AWFis, a także wykonywanie dodatkowej pracy zarobkowej bez zgody senatu uczelni”.

Ciekawy jest fakt, że rzecznik będzie badał 8 artykułów naukowych z genetyki, których współautorem jest prof. Moska, historyk sportu i trener II klasy piłki siatkowej oraz tenisa stołowego. Kwestia świadomego czy też wymuszonego dopisywania się do artykułów naukowych (tzw. darmowe współautorstwo) jest swoistą korupcją naukową, z którą trudno walczyć i która panoszy się w wielu dziedzinach nauki nie tylko w Polsce. O zakończeniu tej sprawy będziemy informować.

(MW)

Tarnów bez rektora

Prof. Jadwiga Laska nie jest już rektorem Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Tarnowie. Miała złamać jeden z przepisów Ustawy 2.0 dotyczący pracy poza macierzystą uczelnią. Jej mandat wygasł 30 stycznia minister nauki i szkolnictwa wyższego Jarosław Gowin.

W komunikacie MNiSW napisano, że „prof. J. Laska w okresie pełnienia funkcji rektora (po 1 października 2018 r.), wbrew przepisom ustawy wykonywała dodatkowe zajęcia zarobkowe bez wymaganej zgody właściwego organu uczelni”. Mógł jej udzielić Senat, a po 1 października 2019 roku – Rada Uczelni. Jak zaznaczono „Rektor posiadała zgodę Senatu na dodatkowe zatrudnienie, ale już nie na wykonywanie dodatkowego zajęcia zarobkowego”. To nie prowadzenie przez nią wykładów na krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej, ale „wykonywanie recenzji w postępowaniach o nadanie stopnia dr. hab. w innych

uczelniach (na podstawie odrębnych umów cywilnoprawnych)” stało się podstawą do wygaszenia mandatu. Prof. Laska odebrała decyzję osobiście w Warszawie, zapowiadając odwołanie do sądu.

Ten niespodziewany ruch ministra na kilka miesięcy przed końcem kadencji pani rektor jest pokłosiem napiętej sytuacji, jaka panuje w tarnowskiej PWSZ od października ub.r. Wówczas Rada Uczelni zwróciła się z wnioskiem do szefa resortu nauki o pilną kontrolę legalności działań prof. Laski. Zarzucono jej niezgodną z ustawą procedurę przyjęcia nowego statutu, liczne przypadki jego naruszeń, a także niedostateczne wypełnianie obowiązków rektora uczelni. Ponadto wystąpiono do ministra o stwierdzenie nieważności części uchwał przyjętych przez Senat PWSZ w Tarnowie w okresie od czerwca 2019 roku, które zostały podjęte z naruszeniem prawa, m.in. poprzez notoryczne niedotrzymywanie terminów powiadomień członków

Senatu o terminach posiedzeń i porządku obrad, a także ignorowanie pism oraz wystąpień strony społecznej. Wtedy też podjęto decyzję o nieudzieleniu zgody na podjęcie przez prof. Laskę dodatkowego zajęcia zarobkowego oraz kontynuację dodatkowego zatrudnienia poza PWSZ w Tarnowie. Tłumaczono to „kryzysową sytuacją uczelni, [która] wymaga pełnego zaangażowania się pani rektor w działania i jej nieograniczonego innymi obowiązkami udziału w procedurach kontrolnych”.

Jak ustaliliśmy, 7 października Rada obradowała w niepełnym składzie. Obecni byli tylko członkowie spoza uczelni oraz przedstawicielka studentów. Pozostali, reprezentująca uczelnię połowa składu pochodzącego z wyboru, nie uczestniczyli w posiedzeniu. Co dziwne, przewodniczący Rady nie wypowiadał się wtedy publicznie na temat stanowiska. Wkrótce potem dwóch stojących za listem do ministra członków Rady odwołano z tego gremium.

Na antenie lokalnego radia rektor przekonywała, że „niestusznie ją osądzono”, a „celem nadrzędnym było wypracowanie takiej sytuacji, w której rektor zostałaby zawieszony, usunięty, cokolwiek, żeby pojawiła się dogodna sytuacja do wprowadzenia kogoś innego”.

Prof. Jadwiga Laska kierowała tarnowską PWSZ od 2016 roku. Była pierwszą kobietą zasiadającą w fotelu rektora tej uczelni. W wyborach rywalizowała z trzema kontrkandydatami, wygrywając już w pierwszej turze. Zagłosowało na nią 26 z 34 członków kolegium elektorów.

Zgodnie z ustawowymi zapisami, po wygaszeniu mandatu rektora jego obowiązki przejmuje najstarszy członek Senatu. Jest nim dr hab. inż. Józef Kania, prof. PWSZ, z Wydziału Administracyjno-Ekonomicznego tarnowskiej uczelni. Pełni także funkcję kierownika studium MBA na Uniwersytecie Rolniczym w Krakowie. Specjalizuje się w problematyce doradztwa w agrobiznesie, zajmując się m.in. modelami powiązań nauki i doradztwa z praktyką gospodarczą, wspólną polityką rolną, problematyką drobnych gospodarstw rolnych oraz małych i średnich przedsiębiorstw.

Wybory nowego rektora w Tarnowie mają się odbyć na przełomie kwietnia i maja. Prof. Jadwiga Laska nie zdecydowała jeszcze, czy będzie ponownie ubiegać się o to stanowisko.

Na 20 kierunkach i 35 specjalnościach w PWSZ w Tarnowie kształcą się obecnie prawie 4,2 tys. studentów.

MK

Wyjątkowy mikroskop

Mikroskop optyczny pozwalający na oglądanie struktur i komórek w nanoskopijnej skali ukrytych pod innymi komórkami stworzyli naukowcy z Wydziału Mechatroniki Politechniki Warszawskiej przy współpracy z University of Dundee w Wielkiej Brytanii i University of Technology Sydney w Australii.

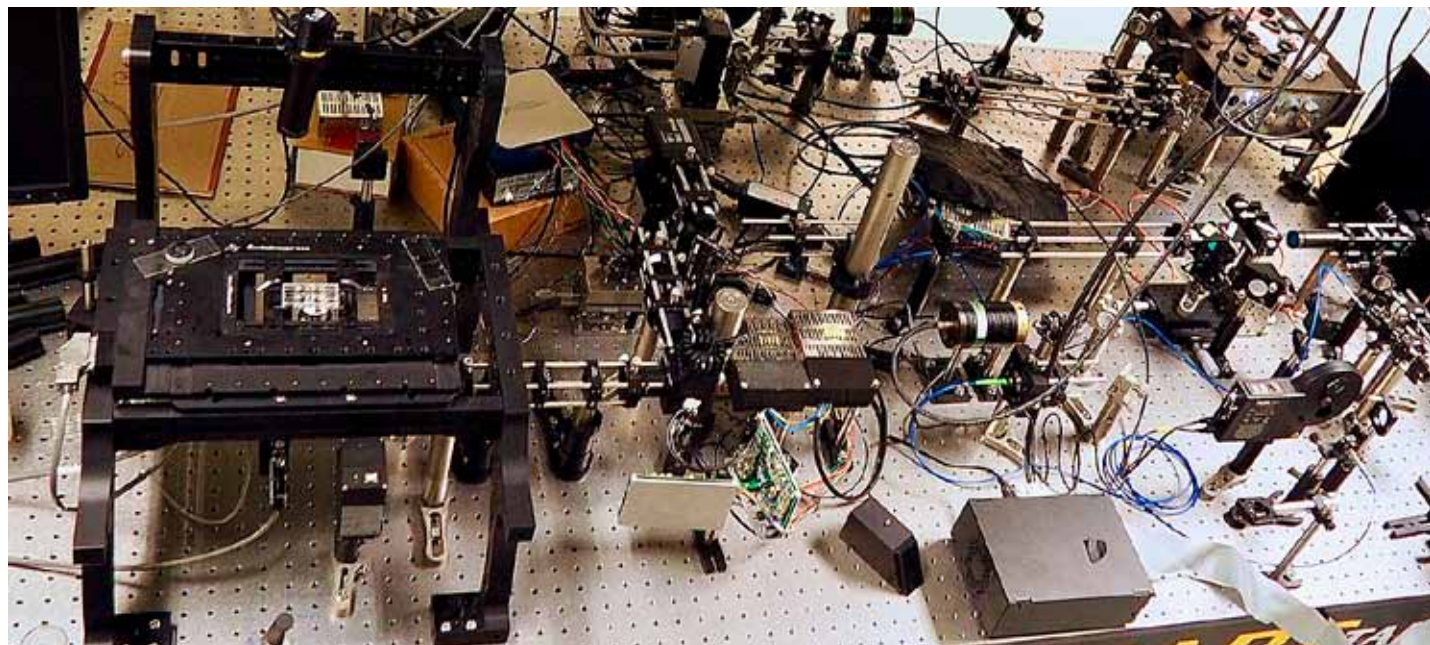
Pod mikroskopem będzie można oglądać nawet obiekty o średnicy 0,2 mikrometra, przykryte tkanką o grubości równej 80 mikrometrów (0,08 milimetra). A to oznacza, że badany obiekt może być ponad 400 razy mniejszy niż grubość tkanki, która go przykrywa.

W swoich badaniach naukowcy używają superrozdzielczego mikroskopu fluorescencyjnego z wymuszonym wygaszaniem emisji (STED). To aparat, w którym próbkę oświetla się światłem widzialnym (a więc nie np. elektronami czy promieniami rentgenowskimi). Takie urządzenie samodzielnie zbudował dr inż. Piotr Zdańkowski z Wydziału Mechatroniki PW, który twierdzi, że na świecie jest zaledwie kilka instrumentów o takiej optyce. Wraz z dr inż. Macie-

jem Trusiakiem poszli o krok dalej i zaproponowali kolejne usprawnienia. Dzięki zastosowaniu elementów optyki adaptacyjnej, znanych i szeroko wykorzystywanych w astronomii, możliwe staje się oglądanie struktur dotąd niedostępnych dla ludzkiego oka. Stosując sprytne algorytmy odsumiania, można dodatkowo oddzielić ważne informacje od szumu. Aby uporać się z problemem zniekształcenia światła, badacze postanowili zastosować w swoim rozwiązaniu właśnie... aberrację. To sposób znany w korygowaniu astygmatyzmu – wtedy, żeby poradzić sobie ze zniekształceniem obrazu w oku pacjenta, daje się mu soczewki, które to zniekształcenie zerują.

Badania zostały w części sfinansowane z grantów europejskich Marie Curie Actions (PHOQUS) i krajowych: OPUS Narodowego Centrum Nauki oraz NAWA.

Izabela Koptoń-Rynec



Choć sąd zarejestrował organizację 17 lutego 1981 roku, to kluczowym momentem w historii jej powstania były wydarzenia rozgrywające się w Gdańsku sześć miesięcy wcześniej. 27 sierpnia 1980 roku, w ślad za żądaniami strajkujących robotników, swoje postulaty ogłosili także studenci. Chodziło m.in. o przywrócenie autonomii szkołom wyższym, ograniczenie cenzury i ilości zajęć w studium wojskowym oraz przede wszystkim powołania organizacji studenckiej, która połączy wszystkie regionalne komitety studenckie wspólnym statutem i będzie całkowicie niezależna od władzy państwowej.

Już 2 września 1980 r. powołany zostaje Tymczasowy Komitet Założycielski Niezależnego Zrzeszenia Studentów Polskich Uniwersytetu Gdańskiego. Ale za początek NZS uznaje się datę 22 września, kiedy na Politechnice Warszawskiej dochodzi do spotkania przedstawicieli regionalnych komitetów z całej Polski. Niespełna miesiąc później odbył się pierwszy Zjazd Delegatów Komitetów Założycielskich Niezależnych Organizacji Studenckich. Podczas niego uchwalono projekt statutu oraz wyłoniono Ogólnopolski Komitet Założycielski, w skład którego weszli: Mirosław Augustyn, Piotr Bikont, Wojciech Bogaczyk, Stefan Cieśla, Jacek Czaputowicz, Teodor Klineciewicz, Barbara Kozłowska, Maciej Kuroń, Krzysztof Osiński, Leszek Przysiężny i Marek Sadowski.

W styczniu 1981 r. „enzetesiacy” z Łodzi rozpoczęli najdłuższy strajk okupacyjny w Europie. Przez 29 dni zajmowali budynek Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Łódzkiego, domagając się m.in. rejestracji NZS-u, zniesienia przymusu nauczania języka rosyjskiego i przedmiotów indoktrynacyjnych, zniesienia cenzury w wydawnictwach naukowych, prawa do swobodnego wyjazdu za granicę oraz uwolnienia więźniów politycznych i ukarania winnych stłumienia protestów robotniczych w grudniu 1970 r. „Solidarne czekanie”, w którym uczestniczyło 10 tys. osób, zmusiło władzę komunistyczną do rejestracji NZS. W marcu 1981 roku duszpasterzem NZS został ksiądz Józef Maj, który pełni tę funkcję do dziś.

Przez siedem lat, od 1982 do 1989 roku, organizacja działała nielegalnie (do 1986 r. w podziemiu). Ponowna rejestracja nastąpiła 22 września 1989 roku. To właśnie w obawie przed władzami komuni-

40-LECIE NZS

Obchody będą przebiegać pod hasłem „NZS – Pokolenia Przemian”. Zainauguruje je II Bal Alumnów (22 lutego w Arkadach Kubickiego). Przez cały luty na warszawskiej „Patelni” eksponowany jest mural przedstawiający historię i działania NZS. Obrazuje przemiany, jakie zaszły w Polsce od 1980 roku. Jedną z uwiecznionych postaci jest Staszek Pyjas, który stał się symbolem młodzieżowego ruchu opozycyjnego. Realizacją projektu Grzegorza Adacha zajęło się Good Looking Studio.

Od kwietnia do czerwca na dworcach kolejowych większych ośrodków akademickich pojawi się objazdowa wystawa prezentująca historię NZS. Powstała przy wsparciu merytorycznym IPN.

W październiku w Warszawie zaplanowano koncert wieńczący obchody. To trzecie takie wydarzenie zorganizowane z okazji rocznicy powstania NZS. Poprzednie, pięć i dziesięć lat temu, odbyły się na Rynku Głównym w Krakowie i na Placu Defilad w Warszawie. Zagrali wówczas m.in.: Fish Emade, The Dumplings, Maciej Maleńczuk, Elektryczne Gitary, Oddział Zamknięty, O.S.T.R., Orgonek.

stycznymi w początkowych latach działalności nie zbierano danych o członkach NZS. Działalność w organizacji wiązała się z drastycznymi konsekwencjami, których studenci woleli uniknąć. Trudno więc oszacować, ilu z nich w ciągu tych czterech dekad posiadało legitymację NZS. Z archiwalnych danych wynika, że w maju 1981 roku do zrzeszenia należało 80 tys. osób. Aktualnie do NZS należy 1500 członków, a tysiąc kolejnych osób jest sympatykami. Liczba ta utrzymuje się od kilku lat.

Na czele NZS stało dotąd 26 przewodniczących z 20 uczelni, najczęściej z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza (4) i Uniwersytetu Warszawskiego (3). Pierwszym czteroosobowym Zarządem Krajowym kierował Jarosław Guzy z Uniwersytetu Jagiellońskiego, a jego zastępcami byli: Leszek Przysiężny, Teodor Klineciewicz, Wojciech Walczak. W NZS rozpoczęli kariery m.in. Paweł Piskorski (przewodniczący w kadencji 1990/1991) czy Adam Bielan (1996–1998).

Najliczniejszy, dziewięcioosobowy Zarząd Krajowy piastuje funkcję w obecnej kadencji 2019/20. Przewodniczącą jest Patrycja Serafin, studentka międzynarodowych stosunków gospodarczych drugiego stopnia na Wydziale Ekonomicznym Uniwersytetu Gdańskiego. W trakcie roku Zarząd Krajowy obraduje średnio 60 razy. Wyliczono, że statystyczny członek władz NZS odbywa rocznie 13 wyjazdów, spędza 78 godzin w pociągu i – jak żartobliwie mówią w NZS – hoduje 102 siwe włosy.

NZS działa obecnie na 29 uczelniach, w tym m.in. we wszystkich uniwersytetach ekonomicznych, jednym medycznym (w Białymstoku), dziewięciu uczelniach technicznych oraz w PWSZ w Tarnowie. Najwięcej aktywistów jest na Uniwersytecie Warszawskim (108 członków i 182 sympatyków), w Szkole Głównej Handlowej (125 + 104) oraz na Uniwersytecie Gdańskim (84 + 77).

Uczelnie NZS-y cieszą się dużą autonomią, co oznacza możliwość realizowania przez nie swoich projektów, ale nie brakuje także inicjatyw ogólnopolskich. Jedną z najstarszych jest Wampiriada (zainaugurowana w 2000 r., od 2002 r. jako projekt krajowy). W ostatniej, jesiennej, odsłonie akcji oddawania krwi na 20 uczelniach zebrano 3371 donacji, czyli 1517 litrów krwi.

Akademickie Centrum Edukacji Ekologicznej przeprowadza akcję „Studenci Sadzą Las”. W trakcie kilku wyjazdów w roku akademickim 2018/2019 około 240 „enzetesiaków” posadziło ponad 13,5 tys. drzewek. Od chwili zainicjowania akcji w 2005 roku posadzono już ponad 202 tys. drzewek.

Od 11 lat organizowany jest konkurs „Studencki Nobel”, którego celem jest uhonorowanie żaków wyróżniających się swoją ambicją i zaangażowaniem w dziewięciu kategoriach. W ub.r. napłynęło 150 zgłoszeń.

NZS przeprowadza też Konkurs Konstrukcji Studenckiej KOKOS, wyłaniający najbardziej utalentowanych konstruktorów spośród studentów najlepszych polskich uczelni technicznych. W ubiegłorocznym startowało 36 projektów. Ponadto: Ogólnopolski Konkurs Fotografii Studenckiej, Drogowskazy Kariery – program edukacyjny podnoszący kompetencje studentów oraz ich konkurencyjność na rynku pracy, a także nieodpłatne spotkania, pokazy i warsztaty filmowe w ramach projektu „Prawie kino”. Organizacja dba też o integrację swoich członków. W 2003 i 2007 odbyły się pielgrzymki do Rzymu, a w ub.r. zorganizowano wycieczkę promem do Szwecji, w której uczestniczyło 250 osób.

Cztery lata temu NZS, wraz z PSRP, odegrał ważną rolę w ujawnieniu próby fałszerstwa podczas wyborów elektorów studenckich na Wydziale Zarządzania Politechniki Częstochowskiej.

Mariusz Karwowski

Bezkompromisowi i nieobojętni

Patrycja Serafin, przewodnicząca Zarządu Krajowego NZS

Przez 40 lat NZS przeżył strajki na uczelniach i w zakładach pracy, stan wojenny, zmianę ustroju oraz odzyskanie wolności, o którą walczył. Po tym wszystkim musiał odnaleźć się w nowej rzeczywistości i znaleźć swoje miejsce w tak naprawdę innym świecie. Cemu nazywam to innym światem?

W 1980 roku, kiedy powstawało Niezależne Zrzeszenie Studentów, cel naszej działalności był jasno określony. Studenci stawali przeciwko władzy komunistycznej. Walczyli o niezależną od władz państwowych organizację studencką, o przestrzeganie podstawowych swobód politycznych i praw człowieka oraz o poszanowanie polskich tradycji niepodległościowych. Dzięki ich staraniom NZS został zarejestrowany jako pierwsza niezależna od władzy organizacja studencka w bloku państw komunistycznych. W czasie stanu wojennego został zdelegalizowany, więc przeniósł swoją działalność do podziemia. Lata 80. i 90. były dla enzetesiaków czasem walki o prawa przysługujące im jako obywatelom. Był to czas buntu i wyrażania niezadowolonia.

Dziś członkowie NZS (i studenci w ogóle) mierzą się z innymi problemami. Martwi nas przyszłość planety i nasza własna, uczymy się

i obserwujemy świat. Działamy na różnych polach. Czerpiąc z tradycji organizacji, zajmujemy się obroną praw studentów i poprawianiem ich sytuacji. Prowadzimy projekty kulturalne, ekologiczne, charytatywne, konkursy ogólnopolskie, które pozwalają zdobywać naszym członkom cenne doświadczenie. Jesteśmy patriotami – w związku ze zbliżającymi się wyborami prezydenckimi przygotowujemy akcję „Studiuję Głosuję”, w ramach której będziemy zachęcać młodych do pójścia w maju do urn oraz tłumaczyć programy wyborcze kandydatów.

Podsumowując, naszym dzisiejszym celem jest rozwijanie się i tworzenie organizacji, która pozwala członkom na wymianę najróżniejszych, czasem nawet przeciwnych, opinii.

Za nami stoi długa historia pełna pięknych chwil i wielu nauczek. Od roku 1980 wiele się

zmieniło, jednak tym, co łączy dawnego studenta z obecnym jest chęć działania dla swojego otoczenia. Organizując obchody 40-lecia, chcemy stworzyć okazję do utrwalenia relacji między różnymi pokoleniami NZS-u. Co wyróżnia nasze Pokolenie Przemian? Bezkompromisowość i brak obojętności, zarówno w 1980, jak i w 2020 roku.



Fot. Agnieszka Hübner

Byliśmy studencką „Solidarnością”

Z **Jarosławem Guzym**, pierwszym przewodniczącym Niezależnego Zrzeszenia Studentów, rozmawia Mariusz Karwowski

W jakich okolicznościach został Pan przewodniczącym NZS-u?

Pierwszy po rejestracji Zjazd NZS, na którym wybierano władze organizacji, odbywał się w moim rodzinnym Krakowie na początku kwietnia 1981 roku. Kończyłem wtedy na Uniwersytecie Jagiellońskim studia socjologiczne, a zaczynałem historyczne. Trzydniowe obrady toczyły się w Wyższej Szkole Pedagogicznej. Byłem delegatem UJ na Zjazd, ale nie planowałem kandydowania na przewodniczącego. Koledzy, m.in. Jan Maria Rokita, pod koniec Zjazdu usilnie mnie jednak do tego namawiali i ostatecznie dałem się przekonać. Najpierw wybierano skład Krajowej Komisji Koordynacyjnej, w której uczelnie były reprezentowane na zasadzie proporcjonalności. Później, już wewnątrz Komisji, dokonano wyboru przewodniczącego. Były chyba trzy tury głosowań i ostatecznie nie-dużą większością stanąłem na czele NZS. Nie byłem zbyt aktywny podczas Zjazdu, bo w czasie obrad chorowałem. Ale, jak widać, lepiej było milczeć niż męczyć delegatów wystąpieniami. Wpływ mogło mieć to, że dołączyłem wcześniej do Ogólnopolskiego Komitetu Założycielskiego NZS i zdobyłem pewien autorytet prowadząc negocjacje w sprawie realizacji wystrajkowanych porozumień łódzkich. A może przeważało niepisane prawo gospodarza? Trzeba pamiętać, że Kraków był wówczas bardzo silnym ośrodkiem NZS-u. W każdym razie

nasze wybory nie były tak spontaniczne i dramatyczne, jak na robotniczych strajkach.

Ośmielili was trochę, podpisując porozumienia sierpniowe?

Nie trzeba było nas ośmielać. Całe społeczeństwo było gotowe na bunt. Środowisko akademickie już przed Sierpniem wykazywało silną aktywność opozycyjną. Działał Studencki Komitet Solidarności, który powstał w Krakowie po zamordowaniu przez SB Staszka Pyjasa, potem kolejne, w innych miastach. Byłem związany z tym środowiskiem, m.in. kolportowałem bibułę. Jednym z postulatów SKS było powołanie niezależnej organizacji studenckiej. Idea więc była, a zwycięstwo robotników w stoczniach, kopalniach i innych zakładach pracy tylko stworzyło warunki do legalnej działalności. Nie było przypadkiem, że już na strajku w Stoczni Gdańskiej studenci podpisali się pod deklaracją powstania pierwszego NZS-u. Potem, jak grzyby po deszczu, w poszczególnych ośrodkach zaczęły wyrastać NZS-y (o powstaniu NZS na KUL czytaj na str. 13 – red). Nie trzeba było specjalnie nikogo zachęcać. Hasło „solidarność” dotyczyło przecież nie tylko związków zawodowych, ale całego ruchu, którego część stanowią NZS. Nasza organizacja była po prostu studencką „Solidarnością”. Pamiętam, jak spotykając się ze studentami w Krakowie, Marian Jur-



Fot. NZS

czyk, przywódca strajku w Szczecinie, powiedział: „To wszystko jest robione bardziej dla was niż dla nas, robotników. To wy wykształcicie się i skorzystacie z nowych możliwości, które dają przemiany”. I w dużym stopniu miał rację.

Który z wysuwanych postulatów uważał Pan za najważniejszy?

Hasłem organizującym nasze działanie była wolność. W sprawach akademickich działaliśmy na dwóch frontach. Z jednej strony walczyliśmy o sprawy bieżące, z drugiej – horyzont wyznaczał projekt nowej ustawy o szkolnictwie wyższym, która miała m.in. zapewnić wpływ studentów i kadry naukowej na funkcjonowanie autonomicznej uczelni. Zmiany w tym projekcie, dokonane arbitralnie przez władze i ograniczające wolności akademickie, były zresztą zarzewiem strajków, które zaczęły się jesienią '81 roku. Nałożyły się na to lokalne, prowokowane konflikty i w efekcie strajki: w Wyższej Szkole Inżynierskiej w Radomiu, gdzie łamiąc reguły demokracji wybrano nomenklaturowego rektora, czy w Wyższej Oficerskiej Szkole Pożarnictwa, której studenci-podchorążowie chcieli wyzwolić się spod kurateli MSW, aparatu represji. To było już preludium stanu wojennego, w WOSP wobec pokojowego strajku po raz pierwszy użyto siły. Paradoksalnie jednak z ustawą się udało. W pożądanym przez nas kształcie, z minimalnymi zmianami, przeszła przez PRL-owski sejm i dawała dużą swobodę uczelniom do połowy lat 80. Nam chodziło o zasadniczą reformę systemu kształcenia, m.in. o możliwość wyboru lektoratu, a nie uczenie się narzuconego języka rosyjskiego. Chcieliśmy się pozbyć tego peerelowskiego bagażu, który był koszmarem nie tylko dla studentów, ale i naukowców. Próbowaliśmy więc, obok walki o przemiany w całym kraju, zmieniać uczelnie wspólnie z pracownikami naukowymi i wybieranymi już także przez nas rektorami.

Jak radziliście sobie organizacyjnie? Nie było przecież maili, komórek...

Podstawowym urządzeniem obok telefonu był teleks, którym, zwłaszcza w czasie strajku, spływały uchwały, informacje, decyzje... Nie było Twittera, Facebooka czy Instagrama, ale dało się i bez tego. Obieg informacji to były dla nas gazetki, ulotki, książki... I osobiste kontakty. Działaliśmy po prostu tak, jakby wyłączono Internet. A decydowaliśmy z reguły kolegiąlnie, bo to był czas kwitnącej demokracji, często bezpośredniej. Oczywiście ktoś tym musiał kierować, reprezentować na zewnątrz, np. w rozmowach z władzą, Kościołem czy „S”, i to była m.in. moja rola jako przewodniczącego. Czuję na sobie tę odpowiedzialność. Ale o ogólnopolskim strajku studenckim jesienią 1981 roku decydowały tzw. konferencje strajkowe, które polegały na tym, że przedstawiciele uczelni zjeżdżali się, najczęściej na Politechnikę Warszawską. To w tym gronie, łącznie z Krajową Komisją NZS, inicjatorem strajku, toczyły się dyskusje, wypracowywano decyzje. Przy czym nawet jeśli konferencja ogłaszała zakończenie strajku, komitety strajkowe uczelni same decydowały o wprowadzeniu jej w życie. Na Uniwersytecie Warszawskim nawet odbywały się referenda i to na wszystkich wydziałach.

Na takiej „zbuntowanej” konferencji zwolenników kontynuowania strajku, w Poznaniu, przeszedłem prawdziwy chrzest bojowy jako przewodniczący. Pojechałem tam przekonywać o konieczności zawieszenia protestu i uzgodnieniu dalszych działań z „Solidarnością”. Koledzy z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza chcieli kontynuować. Będąc w kontakcie z „S”, Episkopatem, zdawałem sobie sprawę że przed nami mur, którego sami już nie przebijemy. Oni nie przyjmowali tego do wiadomości. Kiedy więc udało mi się przekonać konferencję do zakończenia strajku, byli mocno poirytowani. Gdy wychodziłem rozwinięto przede mną czerwony dywan i obsypano złotówkami symbolizującymi Judasza, zdradając sprawy studenckiej. Dumnie, będąc przekonany do swoich argumentów, przeparadowałem po tym dywanie. W NZS różniliśmy się bardzo, ale ważne było to, co się z różnic wykluwało. NZS był szkołą demo-

kracji. Osobiście przekonałem się, że prawdziwe demokratyczne przywództwo nie jest schlebaniem, ani uleganiem nastrojom. A procedur demokratycznych uczyliśmy się zewsząd, nawet z podręcznika wydanego jeszcze przed I wojną światową w... carskiej Rosji. Z niego dowiadaliśmy się, czym jest votum separatum, a czym wniosek formalny, jak się go powinno zgłaszać... Przy wszystkich potknięciach, szanowaliśmy się nawzajem i przestrzegaliśmy reguł gry, które sami przyjęliśmy.

Był Pan przewodniczącym NZS do czasu jego delegalizacji w styczniu 1982 roku...

Jedno z drugim nie ma nic wspólnego... O tym, że przestałem być przewodniczącym decydował czas i zmiany, jakie zaszły w NZS w podziemiu, a nie władze stanu wojennego. Nas rzeczywiście zdelegalizowano jako pierwszych, z „Solidarnością” woleli poczekać do października. Bardzo ich uwieraliśmy, szybko postanowili więc rozstrzygnąć sprawę. Byliśmy dumni, że zaraz po nas rozwiązano Konferencję Rektorów Szkół Wyższych. Powstała w 1981 roku, kiedy rektorów wybierali już w demokratycznych wyborach studenci i pracownicy nauki. Były to osoby z ogromnym autorytetem – naukowym i osobistym, a potraktowano ich tak, jak „studenckich radykałów” z NZS. Po delegalizacji nasza organizacja dalej działała. Na przykład największy pod względem liczby oskarżonych proces w stanie wojennym odbył się w Białymstoku, gdzie wśród dwudziestu kilku osób kontynuujących działalność dominowali członkowie NZS. Te podziemne działania, m.in. mojego zastępcy, Teosia Klincewicza, obserwowałem już jednak z perspektywy Białoleki, gdzie mnie internowano.

Jak dziś ocenia Pan kondycję 40-latk?

Z podziwem i zaskoczeniem odbieram, że NZS jeszcze istnieje. W końcu dla organizacji studenckiej, gdzie następuje permanentna wymiana członków, funkcjonowanie przez 40 lat już samo w sobie jest fenomenem. Oczywiście zmiany, jakie przez ten czas się wokół dokonały sprawiają, że młodzi ludzie mają dziś przed sobą zupełnie innego rodzaju zadania niż my. Inaczej się dziś studiuje i nie mówię tylko o masowości, ale też o komforcie, braku barier, czy to w programach nauczania, zwłaszcza na kierunkach humanistycznych, społecznych, czy w wyjazdach zagranicznych... Przywileje, które dostępne były kiedyś tylko dla robiących kariery w aparacie władzy, np. działaczy Socjalistycznego Związku Studentów Polskich, mają wszyscy. Poznając z upływem lat moich następców, starałem się nie mieć wobec nich przesadnych wymagań ani oczekiwań. Sami odpowiadają za to, co robią, dla mnie istotne jest, by trzymali się wartości, które leżały u podstaw powołania NZS.

Kiedyś ideały, dziś interesy?

Nie, tak nie można powiedzieć. Wartości, o które nam chodziło, były fundamentem i pewnym drogowskazem, walka o nie dawała szansę na realizację uzasadnionych interesów. Dbaliśmy przecież także o sprawy czysto przyziemne: przydział akademików, stypendia, warunki studiowania, możliwość wyboru programu studiów, dostępność publikacji naukowych na poziomie światowym, jakość żywienia w stołówkach, wyjazdy za granicę... Jednym słowem, zależało nam na normalności, a to oznaczało wyzwolenie się z gorsetu komunistycznej władzy, pozbycie się marksistowskiej ideologii, oczyszczenie z niej i peerelowskiej patologii studiów oraz publicznego życia. Zabawnym przykładem realizacji hasła „wolność” był konkurs, który ogłosiliśmy w '81 roku. Dotyczył ilości odmów paszportowych wśród studentów. Pamiętam, że wygrał kolega z Politechniki Krakowskiej, który na koncie miał ich kilkanaście. W nagrodę obiecaliśmy interwencję u władz. W jej wyniku udało mu się w końcu wyjechać na Zachód, z którego... już do PRL nie wrócił. Jego prawo. Nie walczyliśmy więc tylko o jakieś abstrakcyjne idee. One przekładały się na konkrety, które można realizować już w wolnej Polsce.

Jak powstał NZS na KUL

Podpisanie 31 sierpnia 1980 w Gdańsku porozumienia przewidującego powołanie niezależnych od władzy politycznej związków zawodowych NSZZ „Solidarność” ośmieliło także inne środowiska. Na uczelniach, gdzie monopol należał dotychczas do kontrolowanego przez Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą Socjalistycznego Związku Studentów Polskich, zaczęły powstawać zaczątki niezależnej organizacji studentów. Także na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, postrzegany jako oaza wolności, już we wrześniu (sesja poprawkowa) powstał komitet założycielski przyszłego stowarzyszenia.

Warto zauważyć, że wiele miesięcy wcześniej grupa studentów negocjowała z władzami KUL zgodę na powołanie samorządu studentów i udział w zarządzaniu uczelnią. Wydawało się, że jako przedstawiciele ogólnopolskiego związku studentów, korzystającego z aury solidarnościowego ruchu społecznego, łatwiej osiągną ten cel. Po rozwiązaniu w latach siedemdziesiątych Zrzeszenia Studentów Polskich (oficjalnego poprzednika SZSP), na KUL-u nie było żadnej organizacji studenckiej. Uniwersytet, pomny fatalnych doświadczeń z niektórymi socjalistycznymi aktywistami tej organizacji (!), obronił się przed wpuszczeniem na swój teren SZSP. Zapewniono natomiast możliwość działania kół naukowych, grup artystycznych, PTTK. Trudno nie wspomnieć tu o rewelacyjnym corocznym Kullages – imprezie, o której wyobrażenie daje obecna lubelska Noc Kultury.

Inicjatorami powstania Niezależnego Zrzeszenia Studentów na KUL były osoby działające w tych formach studenckiej aktywności, zwłaszcza te, które już wcześniej starały się o powołanie Rady Studentów. Chwilę później dołączyła grupa studentów prowadzących działalność opozycyjną, często takich, którzy rok, dwa lata wcześniej zetknęli się z komunistycznymi represjami jeszcze jako uczniowie szkół średnich. Jedni i drudzy wyobrażali sobie, że legalna, masowa organizacja pozwoli im działać na naprawdę szeroką skalę. Jedni i drudzy nie darzyli się nawzajem sympatią, co czasami przeradzało się w wojnę podjazdową. „Opozycjoniści” uważali, że bawienie się w samorządy i studenckie imprezy to sabotaż w chwili, gdy trzeba wszelkimi siłami konfrontować się z komunistyczną władzą i budzić ducha narodu. My, „pozytywiści”, zarzucaliśmy im, że wykorzystują zainicjowany i rozwijany przez nas ruch studencki, aby coraz radykalniej prowokować bezpiekę do walki w sferze symbolicznej. Jako zapalony turysta prowadziłem w tamtym okresie spływy kajakowe pod egidą SZSP-owskiego Almaturu. Marzyłem o tym, aby studenci KUL mieli dostęp do podobnej bazy i budżetu we własnej organizacji.

Prawdziwym problemem było jednak to, że idealizm, zapał i entuzjazm twórców kulowskiego NZS-u nie szedł w parze ani z dostatecznym doświadczeniem organizacyjnym, ani z wyczuciem potrzeb i oczekiwań ogółu studentów. Pamiętam wrześniowe, codzienne, wielogodzinne narady, w gęstych kłębach dymu papierosowego, z których nie ostawały się do dnia następnego żadne ustalenia. Potem naiwne oczekiwania, że władze uczelni ot tak sobie spełnią nasze postulaty. Rozczarowanie biernością większości studentów, gdy w całym kraju wrzała rewolucja „Solidarności”. I nie w tym rzecz, że do działania przystąpili kompletni amatorzy – ja miałem na przykład za sobą wiele lat pracy w niezależnym, antykomunistycznym harcerstwie. Jednak z tego rodzaju działalnością publiczną nikt z nas nie miał i w warunkach „demokracji ludowej” nie mógł mieć doświadczenia. Zresztą, patrząc z dzisiejszej perspektywy, większość naszych celów była nie do zrealizowania. Z tym większą satysfakcją wspominam przedsięwzięcia, które jednak się udały: pierwsze i drugie powszechne wybory do zarządu NZS, wiece, na które udawało się ściągnąć tłumy kolegów i koleżanek, niezapomniany bal NZS. Demokratyczne procedury poznawaliśmy i ćwiczyliśmy po raz pierwszy w życiu! Gdy wycią-

gam ze swojego prywatnego archiwum zachowaną fotografię afisza z listą kandydatów do zarządu, ze wzruszeniem przypominam sobie fantastycznych ludzi, z którymi miałem szczęście wtedy pracować. Tam i wtedy poznałem swoją żonę. Wielkie znaczenie miały, prowadzone ręką w rękę z władzami KUL, starania o przywrócenie Wydziału Nauk Społecznych. Dzięki temu psycholog po KUL-u miał w dyplomie napisane, że jest psychologiem, a nie, jak dotąd, „filozofem o specjalności psychologicznej”, co miało znaczenie przy poszukiwaniu pracy.

Jan Strojnowski



Jan Strojnowski, absolwent historii KUL, nauczyciel, urzędnik samorządowy. Henryka Strojnowska, absolwentka psychologii KUL, była wicewojewoda lubelska, polityczka, działaczka Kongresu Kobiet.



Od koncepcji do skutecznego działania

Prace koncepcyjne nad utworzeniem szkoły doktorskiej w Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu rozpoczęły się jesienią 2017 r. Po Narodowym Kongresie Nauki w Krakowie (19-20 września 2017 r.) było już niemal pewne, że nowy model kształcenia doktorantów oparty będzie na szkołach doktorskich. Satisfakcja była tym większa, że taki model kształcenia doktorantów opisaliśmy, wspólnie z prof. Beatą Mikołajczyk, w artykule *Szkoły doktorskie i ich rola w kształceniu doktorantów*, który ukazał się w „wydaniu kongresowym” czasopiśmie „Nauka i Szkolnictwo Wyższe”, nr 2(50) (2017). Rozpoczyna się on słowami: „System kształcenia doktorantów w Polsce wymaga gruntownej przebudowy. Najbardziej efektywnym rozwiązaniem może być system oparty o tzw. szkoły doktorskie, prowadzone przez najlepsze uniwersytety. Szkoły takie mogłyby przyczynić się do poprawy jakości doktorantów i dzięki temu stać się istotnym elementem budowania reputacji i prestiżu uniwersytetu”. Już podczas konferencji programowej Narodowego Kongresu Nauki pt. *Doskonałość naukowa – jak równać do najlepszych*, która odbyła się w UAM w dniach 23-24 lutego 2017 r., problem optymalnego modelu kształcenia doktorantów pojawiał się w wystąpieniach wielu mówców.

Prace nad modelem szkoły doktorskiej UAM rozpoczęliśmy od przyjęcia kilku założeń: szkoła doktorska lub szkoły doktorskie powinny być dobrze wpasowane w nową strukturę organizacyjną uniwersytetu; powinna/y mieć zapewnioną odpowiednią autonomię, która pozwoli na najlepszą realizację jej celów i zadań.

Za ważne uznaliśmy wypracowanie optymalnego modelu zarządzania szkołą dokorską (szef szkoły oraz rada naukowa szkoły) oraz najbardziej efektywnego sposobu obsługi administracyjnej. Musieliśmy też wypracować optymalny model współpracy z podmiotami doktoryzującymi. W ramach roboczych seminariów analizowaliśmy zagraniczne systemy kształcenia doktorantów i przyglądaliśmy się dobremu praktykom w Polsce, np. funkcjonowaniu szkoły doktorskiej w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN.

Braliśmy pod uwagę trzy możliwe modele: szkoła doktorska „ogólnouniwersytecka” – jednostka ogólnouczelniana bezpośrednio podporządkowana rektorowi lub właściwemu prorektorowi; kilka szkół doktorskich, niezależnych od siebie, korespondujących ze strukturą „szkół/wydziałów obszarowych”; szkoła doktorska ogólnouniwersytecka typu „umbrella company” z jedną wspólną strukturą zarządzania (jeden dyrektor, jedna rada naukowa, wspólna administracja, wspólny proces rekrutacji) i obejmująca kilka szkół-sekcji, dobrze korespondujących ze strukturą szkół/wydziałów obszarowych uniwersytetu.

Za zalety ostatniego modelu uznaliśmy czytelną strukturę zarządzania (a także zarządzającej odpowiedzialności), możliwość powołania jednej rady naukowej szkoły, niepowielanie struktur administracyjnych, jeden regulamin szkoły doktorskiej i spójne kryteria rekrutacji i wreszcie brak wewnętrznej, czyli na poziomie uniwersytetu, konkurencji pomiędzy szkołami doktorskimi.

I na taki model szkoły doktorskiej zdecydowaliśmy się na UAM. Szkołą zarządza prorektor, z dobrze określonymi kompetencjami zarządczymi, wraz z kierownikami pięciu szkół-sekcji. Rada naukowa

SD ma być gwarantem jej niezależności oraz stymulatorem działań pro jakościowych, zarówno w zakresie programu kształcenia, jak i badań naukowych i rozpraw doktorskich. Do uczestnictwa w Radzie zaprosiliśmy wybitnych naukowców z UAM oraz spoza uczelni, a także przedstawiciela doktorantów.



Szkoła Doktorska Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu została utworzona zarządzeniem rektora UAM z dnia 19 czerwca 2019 r. W zarządzeniu tym stwierdza się: „Tworzy się Szkołę Dokorską Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, w ramach której funkcjonują: Szkoła Doktorska Szkoły Dziedzinowej Nauk o Języku i Literaturze; Szkoła Doktorska Szkoły Dziedzinowej Nauk Humanistycznych; Szkoła Doktorska Szkoły Dziedzinowej Nauk Społecznych; Szkoła Doktorska Szkoły Dziedzinowej Nauk Ścisłych; Szkoła Doktorska Szkoły Dziedzinowej Nauk Przyrodniczych”.

Senat UAM przyjął Regulamin Szkoły Doktorskiej, w którym zapisano jej organizację, prawa i obowiązki doktoranta, sposób wyznaczania promotora lub promotora

ów, warunki przedłużenia terminu złożenia rozprawy doktorskiej, przebieg kształcenia w szkole doktorskiej, sposób przeprowadzenia oceny śródkonwersyjnej, tryb eksternistyczny oraz sposób dokumentowania przebiegu kształcenia. Zagwarantowano też szkołom-sekcjom oraz kierownikom dużą autonomię programową.

Uznaliśmy, że rekrutacja ma umożliwić wyłonienie najlepszych kandydatów, a jej reguły są jednakowe dla wszystkich zainteresowanych, niezależnie od wybranej dyscypliny naukowej. Kandydaci ubiegali się o przyjęcie na 130 miejsc, podzielonych na 22 dyscypliny naukowe. Liczbę miejsc na poszczególne dyscypliny rozdzielono według algorytmu, który uwzględniał m.in. skład osobowy i potencjał naukowy poszczególnych dyscyplin oraz liczbę kandydatów i liczbę doktorantów na studiach doktoranckich, liczbę absolwentów oraz efektywność tych studiów i wreszcie jakość kandydatów. Rekrutację prowadziły zespoły kwalifikacyjne, odrębne dla każdej dyscypliny, których pracę nadzorowała Komisja Rekrutacyjna Szkoły Doktorskiej. Zespoły sprawdziły, czy wszyscy kandydaci spełniają wymagania formalne, następnie przyznały im punkty zgodnie z algorytmem zawartym w uchwale rekrutacyjnej. Ważnym elementem oceny kandydatów był przygotowany przez kandydatów projekt badawczy oraz rozmowa kwalifikacyjna. Minimalny próg przyjęcia ustalono na poziomie 60%.

We współpracy z Samorządem Doktorantów, a także z Samorządem Studenckim, opracowano ramowy program kształcenia, który obejmuje trzy moduły zajęć: obowiązkowe, obowiązkowe do wyboru (np. dwa z kilku propozycji) oraz dodatkowe (opcjonalne). Po każdym roku kształcenia doktoranci są zobligowani do aktywnego udziału w „forum doktoranckim”, na którym w formie konferencyjnej przedstawia swoje osiągnięcia naukowe.

Za ważne uznaliśmy umiędzynarodowienie szkoły doktorskiej. Zatem priorytetami są: promowanie rozpraw doktorskich pisanych w językach obcych (szczególnie w języku angielskim), silne wsparcie publikowania wyników badań doktorantów w językach kongresowych, wskazanie bardzo dobrych uczelni zagranicznych, które wyrażą gotowość „współprowadzenia” szkoły doktorskiej wraz z wyłonie-

niem dyscyplin, które można będzie uwspólnić. W tym celu wykorzystamy środki na kształcenie doktorantów (międzynarodowe szkoły letnie, wyjazdy naukowe, wyjazdy studyjne, kwerendy biblioteczne, zapraszanie wykładowców) pozyskane w ramach dwóch projek-

tów rozwojowych (Uniwersytet Jutra I i II) oraz projektu „Inicjatywa doskonałości-uczelnia badawcza”.

Prof. dr hab. Ryszard Naskręcki, prorektor UAM, dyrektor Szkoły Doktorskiej UAM

Mniej, ale najlepszych

Szkołę Doktorską Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie powołał w maju ub. roku ks. prof. Wojciech Żyzak, rektor UPJPII. Jej dyrektorem został ks. prof. Robert Tyrała. Powołano też kierowników pięciu dyscyplin, w których uniwersytet ma prawo do doktoryzowania. Są to: nauki teologiczne, filozofia,

Dotychczas na UPJPII stypendia doktoranckie w wysokości 1470 zł wypłacano 111 słuchaczom studiów doktoranckich. Ponadto 64 osoby dostawały stypendia projakościowe w wysokości od 900 do 1100 zł. W szkole doktorskiej wszyscy słuchacze otrzymują stypendia w wysokości ok. 2,5 tys. zł.

historia, dziennikarstwo i komunikacja oraz nauki socjologiczne (dawniej nauki o rodzinie). UPJPII zaplanował przyjęcie do szkoły doktorskiej maksymalnie 5 osób w każdej z dyscyplin. Zmianę sposobu kształcenia doktorantów tak komentuje ks. prof. Tyrała: – Różnica pomiędzy kształceniem doktorantów na studiach doktoranckich i w szkołach doktorskich jest kolosalna. Na studiach doktoranckich realizowanych wg starego systemu na wszystkich wydziałach, we wszystkich dyscyplinach, które prowadzą studia doktoranckie, i które będą je prowadzić do ich wygaśnięcia, czyli do 2023 roku, na UPJPII kształci się niemal 500 doktorantów. Teraz, po zmianie systemu kształcenia doktorskiego, licząc 5 kandydatów w pięciu dyscyplinach, otrzymujemy maksymalnie 25 studentów w jednym roku. Po czterech latach zatem, czyli po pierwszym pełnym cyklu kształcenia w szkole doktorskiej i wygaśnięciu studiów doktoranckich na UPJPII, byłoby powyżej setka doktorantów.

Wiadomo już, że w praktyce będzie mniej. Po dwustopniowym egzaminie – pierwszy etap to ocena projektu badawczego przedstawionego przez kandydata, a drugi rozmowa kwalifikacyjna – przeprowadzonym w pięciu komisjach przyjęto tylko 17 spośród 46 kandydatów. Widać zatem, że uczelnia postawiła przyszłym doktorom wysokie wymagania. Prezentowane przez kandydatów indywidualne plany badawcze oceniała komisja rekrutacyjna, wyłoniona przez dyrektora szkoły doktorskiej na wniosek kierowników dyscyplin. Aby projekt został zaakceptowany przez komisję, musiał przede wszystkim być oryginalny, wносить coś nowego, rzucać światło na sfery dotychczas niebadane. Wskazane jest by był innowacyjny, by jego realizacja przyczyniła się do rozwoju społeczno-gospodarczego. Tylko pozytywnie oceniony projekt dawał możliwość przystąpienia do drugiego etapu rekrutacji, czyli rozmowy kwalifikacyjnej. Kolejnym etapem tego procesu był wybór promotora, którego powołuje dyrektor na wniosek doktoranta nie później niż 3 miesiące od podjęcia przez niego kształcenia w szkole doktorskiej. Warunkiem niezbędnym było pozytywne zaopiniowanie go przez radę dyscypliny.

Najprawdopodobniej w kolejnym roku akademickim limit przyjęć do Szkoły Doktorskiej UPJPII zostanie jeszcze bardziej ograniczony, maksymalnie do 3 osób w każdej z pięciu dostępnych dyscyplin. – Szukamy bowiem najlepszych kandydatów, chcąc im równocześnie zapewnić najwyższy

poziom kształcenia – mówi dyrektor szkoły. – To jest zmiana myślenia o doktoratach, nade wszystko idąca w kierunku zapewnienia wysokiej ich jakości.

Na UPJPII wprowadzono też wewnętrzną ocenę doktorantów po pierwszym semestrze. Ma to dać pewność, że swoją pracę – realizację przedstawionego wcześniej projektu badawczego – traktują poważnie i rzetelnie wykonują. Właściwa ewaluacja, której wymóg zapisano w PSWN, będzie miała miejsce po dwóch latach. Wtedy doktorant będzie musiał udokumentować przebieg swoich działań naukowych, wykazać się publikacjami, udziałem w konferencjach itd. Na UPJPII została powołana rada szkoły doktorskiej z jej dyrektorem i kierownikami dyscyplin, do tego tworzona jest rada naukowa szkoły doktorskiej, do której zostają powołani specjaliści z danej dzie-

Doktoraty na UPJPII:

Studia doktoranckie – 469 doktorantów (dane na dzień 31.12.2018), w tym z teologii 286 osób, z historii 73 osoby, z filozofii 58 osób + 5 osób w trybie niestacjonarnym, z nauk o mediach 30 osób, z nauk o rodzinie 17 osób.

W Szkole Doktorskiej – 17 doktorantów, w tym z nauk teologicznych 4 osoby, z filozofii 2 osoby, z historii 5 osób, z dziennikarstwa i komunikacji 3 osoby, z nauk socjologicznych (dawnie nauki o rodzinie) 3 doktorantów.

dziny z całego świata.

Zdaniem dyrektora szkoły, jest to dobry kierunek, który nie tylko poprawi jakość doktoratów, ale też podniesie ich rangę. Ta forma kształcenia postrzegana jest jako kuźnia przyszłych kadr Uniwersytetu Papieskiego.

Marta Mastyla



Źródło: Wikipedia

Łyżka dziegciu w beczce miodu

Podczas posiedzenia plenarnego Polskiej Komisji Akredytacyjnej 8 stycznia wicepremier, minister szkolnictwa wyższego i nauki Jarosław Gowin przedstawił swoje uwagi dotyczące działalności Komisji.

Minister nauki był gościem pierwszego posiedzenia plenarnego PKA nowej kadencji. Mniej niż połowa członków PKA to osoby, które uczestniczyły również w pracach poprzedniej kadencji. Większość jest w PKA po raz pierwszy.

– Najważniejszą kwestią jest konieczność dalszej profesjonalizacji i standaryzacji prac Polskiej Komisji Akredytacyjnej, zarówno instytucji, jak i poszczególnych jej członków – mówił minister nauki. – W praktyce oznacza to poczucie odpowiedzialności członków PKA za jakość i funkcjonowanie systemu ocen szkolnictwa wyższego. To świadomość wpływania i kształtowania sytuacji konkretnego kierunku, dyscypliny, jak i wreszcie całej uczelni i grup uczelni. To również kwestia stosowania spójnych zasad oceny w ramach obowiązujących kryteriów przez poszczególne zespoły PKA. To także jednolita, ale i szeroka ocena dorobku osób, które „firmują” dany kierunek bez skupiania się na ocenie jego fragmentu, który jest bez większego znaczenia dla całości osiągnięć danej osoby. Wreszcie, to zarówno chęć, jak i umiejętność wypracowywania dobrych wzorców, które trzeba zbierać i propagować wśród uczelni – mówił minister Gowin. Jego zdaniem, dobrym krokiem w kierunku profesjonalizacji działań Komisji są szkolenia członków PKA i współpracujących z nią ekspertów. Nie obyło się bez serdecznych słów pod adresem szefa PKA, prof. Krzysztofa Diksa: – Macie państwo przewodniczącego, któremu też leży na sercu wzmocnienie skuteczności działań Polskiej Komisji Akredytacyjnej i który będzie was w tych działaniach wspierał i wam pomagał – mówił premier.

Ogromne znaczenie ma mieć tzw. ocena kompleksowa. Wypracowanie jej kształtu, kryteriów i procedury to jedno z najważniejszych zadań PKA w tej kadencji – mówił minister szkolnictwa wyższego. To nie ma być nic nie znacząca laurka dla uczelni. Pozytywna ocena kompleksowa w określonej dziedzinie może skutkować nieprzeprawdaniem ocen programowych w uczelni na kierunkach przyporządkowanych do dyscyplin pozytywnie ocenionej dziedziny nawet przez 8 lat. Adekwatne kryteria, a także prawidłowość przeprowadzenia tej oceny są warunkami niezbędnymi dla zapewnienia dobrej jakości kształcenia w uczelniach, które się jej poddają.

– Nie ukrywam, że chciałbym, żeby w nieodległej przyszłości ocenie kompleksowej poddały się uczelnie będące laureatami pierwszego konkursu Inicjatywa Doskonałości – Uczelnia Badawcza. Rozważamy przy tym możliwość wprowadzenia zmian w ustawie, które dodatkowo motywowałyby najlepsze polskie uczelnie do poddania się ocenie kompleksowej, a jej pozytywny wynik, w połączeniu z bardzo dobrymi wynikami ewaluacji działalności naukowej, mogłyby skutkować znaczącymi ułatwieniami w prowadzeniu kształcenia, w tym interdyscyplinarnego – mówił Jarosław Gowin.

Mimo ogólnej wysokiej oceny wkładu PKA w kształtowanie i funkcjonowanie systemu szkolnictwa wyższego w Polsce, minister wyraził wątpliwości co do jej skuteczności w poszczególnych przypadkach. – Zaskakujący był dla mnie niewielki w ostatnich latach odsetek negatywnych ocen jakości kształcenia na poszczególnych kierunkach. Ten wskaźnik, wahający się w okolicach 1%, mógłby świadczyć o tym, że jakość kształcenia w polskich szkołach wyższych jest wręcz doskonała, a przecież wszyscy wiemy, że to nie do końca prawda – mówił. – Nie apeluję o bezwzględne zwiększenie liczby ocen negatywnych, natomiast jednoznacznie oczekuję, że formułowane oceny będą obiektywnie wskazywać, czy na danym kierunku zapewniona jest właściwa jakość kształcenia. Chciałbym, żeby uchwały Prezydium Komisji były dla ministra nauki i szkolnictwa wyższego jednoznaczna wska-

zówką co do podejmowania dalszych działań w ramach nadzoru nad uczelniami.

– Nie mogę pominąć docierających do ministerstwa, ale też do mnie bezpośrednio, uwag dotyczących sposobu działania Komisji jako szeroko rozumianej zbiorowości: członków PKA, ekspertów i pracowników Biura PKA – mówił minister.

Z sygnałów docierających z uczelni wynika, że poszczególne zespoły PKA mają odmienne podejście do wewnętrznych systemów zapewniania jakości, szczególnie do weryfikacji osiągnięcia przez studentów zakładanych efektów uczenia się. Może to skutkować marginalizowaniem przez zespoły oceniające faktycznej realizacji przez uczelnie ich celów w obszarze jakości kształcenia i zastępowanie tego kontrolą sformalizowanych, kazuistycznych procedur, notatek z posiedzeń poświęconych procedurom i sprawozdań z wykonania tych procedur. Wątpliwości niektórych zespołów budzi weryfikacja osiągnięcia przez studentów zakładanych efektów uczenia się, przeprowadzana poprzez wystawienie przez nauczyciela akademickiego zaliczenia, pomimo że student był nieobecny na części zajęć z przedmiotu. Niektóre zespoły PKA stoją na stanowisku, że niemożliwe jest wówczas osiągnięcie efektów uczenia się. Tymczasem osiągnięcie efektów uczenia weryfikuje się zgodnie z opisem przedmiotu. Niektóre zespoły oceniające PKA oczekują, by nauczyciele sprawdzali obecność studentów na wszystkich zajęciach, w tym na wykładach, w których często bierze udział np. 200 lub więcej osób, i posiadali stosowną dokumentację tej czynności.

W skład zespołu oceniającego kierunek studiów wchodzi zarówno członkowie PKA, jak i eksperci. I to właśnie wobec ekspertów współpracujących z Komisją formułowanych jest najwięcej uwag negatywnych dotyczących ich profesjonalizmu, aktualności wiedzy w zakresie obowiązujących przepisów, a czasem także niestety sposobu zachowania w trakcie wizytacji. – Najwyższy czas, by zeweryfikować, a także zaktualizować listę ekspertów PKA – mówił J. Gowin. W ocenie ministerstwa powinien zostać przeprowadzony nowy nabór ekspertów, połączony z weryfikacją ich wiedzy, doświadczenia, a także możliwości i chęci faktycznego zaangażowania się w pracę. – Grupa tak wyłonionych ekspertów, zdecydowanie mniej liczna niż obecnie, powinna uczestniczyć w szkoleniach profesjonalizujących ich działalność – mówił minister. Niejednokrotnie w kontaktach z uczelniami na pytanie, dlaczego opracowywane są dokumenty, np. szczegółowe protokoły egzaminu, średnie ocen z przedmiotów, niewymagane przez powszechnie obowiązujące przepisy prawa, pojawia się odpowiedź: „bo PKA tego wymaga”. Drążąc temat, można się dowiedzieć, że wprawdzie żaden zespół oceniający nie stawiał takiego żądania, ale ekspert PKA doradził, że dobrze by takie dokumenty były w uczelni.

– W ministerstwie od 2015 r. ogromny nacisk kładliśmy na odbiurokratyzowanie funkcjonowania uczelni. Nie chciałbym, żeby niewłaściwe „porady” ekspertów PKA niweczyły ten wysiłek, a także kładły się cieniem na ocenę działalności Komisji – mówił minister nauki.

Jarosław Gowin proponował też, by w przypadku, gdy zespół oceniający nie uwzględni uwag uczelni do raportu z oceny programowej, odpowiedź w tej sprawie była przekazywana wraz z argumentacją pisemną, co mogłoby się przyczynić do większej przejrzystości samej oceny. Sugerował też wykorzystywanie w większym stopniu narzędzi informatycznych do ocen, czyli opracowanie generatora raportów, korzystanie z platformy e-PUAP oraz podpisów elektronicznych, co mogłoby się przyczynić do skrócenia czasu trwania procedur, jak również stanowiłoby ułatwienie w realizacji obowiązków informacyjnych.

– Kończąc chciałbym podkreślić, że moje wystąpienie, w niektórych miejscach może nazbyt szczegółowe i krytyczne, nie ma na celu przedstawienia czarnych barw systemu ocen w szkolnictwie wyż-

szym. Chcę zwrócić państwa uwagę na to, jak Komisja jest odbierana i wskazać obszary, w których państwa działalność można doskonalić. Podkreślam jednoznacznie, że nie do przecenienia jest rola Polskiej Komisji Akredytacyjnej w kształtowaniu polskiego systemu szkolnictwa wyższego i dziękując za dotychczasowy wysiłek, proszę o więcej

– mówił min. Gowin, zapewniając członków PKA, że dołoży wszelkich starań, by utrzymać harmonijną współpracę ministerstwa z Polską Komisją Akredytacyjną.

Oprac. Piotr Kieraciński

Gdyby nie wizy...

Liczba studentów międzynarodowych w naszym kraju przekroczyła 85 tys. i jest wyższa o 7 tys. od tej, którą podano w ostatnim raporcie *Studenci zagraniczni w Polsce* – ogłosił Waldemar Siwiński, prezes FEP, podczas konferencji *Studenci zagraniczni w Polsce 2020*, zorganizowanej w styczniu w Łodzi przez Fundację Edukacyjną Perspektywy, Konferencję Rektorów Akademickich Szkół Polskich oraz Politechnikę Łódzką w ramach projektu Study in Poland. Siwiński dodał, że gdyby nie nasze służby konsularne i dyplomatyczne, zapewne byłoby ich już 100 tys. Narzekania na utrudnienia czynione przez te służby, wsparte konkretnymi przykładami, są stałym elementem tych konferencji. Trudności dotyczą m.in. Dalekiego Wschodu i Afryki – obszarów bardzo perspektywicznych z punktu widzenia pozyskiwania przez polskie uczelnie studentów międzynarodowych. Dr Grażyna Żebrowska, dyrektor Departamentu Współpracy Międzynarodowej MNiSW, intensywnie konsultowała z uczestnikami sytuację studentów i pracowników polskich uczelni przebywających w Chinach bądź szykujących się do wyjazdu do tego kraju, w związku z pojawieniem się epidemii koronawirusa z Wuhan. Okazuje się, że jako pierwsza zgłosiła się z tym problemem do ministerstwa Politechnika Rzeszowska, utrzymująca wymianę z Huazhong University of Science and Technology w Wuhan.

Oprócz wykładów i paneli plenarnych, zorganizowano dyskusje specjalistyczne. Studenci i kadra akademicka przyjeżdżająca do Polski bywa dekodowana jako obcy, co może nadawać pejoratywny sens mobilności. Uczestnicy panelu *Obcy na kampusie* prowadzonego przez prezesa Stowarzyszenia PR i Promocji Uczelni Polskich „PRom” Annę Kiryżow-Radzką, jednoznacznie wskazali, że obcość jest w zasadzie różnorodnością, która niesie w sobie potencjał ubogacenia polskiej akademii i stanowi element umiędzynarodowienia w domu.

Kampusy, jako pierwsze miejsce pobytu studentów z zagranicy, stają się coraz bardziej przyjazne: oznakowane w języku angielskim, dające aplikacje mobilne do poruszania się po terenie (i zastanej rzeczywistości) oraz organizujące wydarzenia prezentujące polską kulturę i tradycję. Kampusy są też miejscem, w którym studenci zagraniczni pokazują

Polakom swoją tożsamość kulturową i prezentują obyczaje wyniesione z domu. Dzięki takim inicjatywom uczelnie otwarte na umiędzynarodowienie stają się tygłem kulturowym wzbogacającym lokalną i narodową tkankę społeczną. Wizja przedstawiona w tym panelu była nieco wyidealizowana. Niewiele kampusów spełnia opisane powyżej standardy. Mówi o tym prof. Sebastian Kołodziejczyk, szef Rady Narodowej Agencji Wymiany Akademickiej (czyt. na str. 48).

Aleksy Borówka, przewodniczący Krajowej Reprezentacji Doktorantów, moderował panel *Szkoły doktorskie szansą na umiędzynarodowienie polskiej nauki?* Katalog dobrych praktyk przedstawiony przez KR D dotyczył rekrutacji, programu nauczania, organizacji kształcenia oraz działalności samorządu doktoranckiego. Doktoranci postulowali organizację rekrutacji w dwóch terminach: czerwcu i wrześniu, publikację informacji o procesie rekrutacji w formie internetowej, przystępnego samouczka oraz możliwość przeprowadzenia rozmowy kwalifikacyjnej za pomocą środków komunikacji na odległość. Dobre praktyki w obszarze programów kształcenia miałyby polegać na ograniczeniu do minimum wykładów na rzecz warsztatów, np. metodologicznych, organizacji kursów z pozyskiwania grantów i realizacji projektów badawczych czy laboratoriów pozwalających na wykorzystanie najnowszych technologii do pozyskiwania i analizy danych. Szczególnie istotna jest organizacja kształcenia – elastyczny dobór przedmiotów w semestrze i kumulowanie zajęć w jednym, maksymalnie dwóch dniach w tygodniu. Wśród dobrych praktyk działalności samorządu doktoranckiego KR D wymieniła wprowadzenie zagranicznych doktorantów w specyfikę działalności uczelni, doraźną pomoc w spełnianiu formalności administracyjnych czy próbę identyfikacji ogólnopolskich barier umiędzynarodowienia szkół doktorskich, do których w szczególności zaliczyli przewlekły proces wydawania wiz.

AKR, AB, PK

Zdjęcia Jacka Szabeli na III stronie okładki

Podczas konferencji wręczono nagrody Interstudent dla najlepszych studentów zagranicznych, a tytułami „Gwiazd umiędzynarodowienia” wyróżniono osoby zasłużone dla internacjonalizacji kształcenia wyższego w Polsce.

Nagrodę Interstudent w kategorii studia licencjackie otrzymała Lien Chau Ton Nu z Wietnamu, kształcąca się w Akademii WSB w Dąbrowie Górniczej na kierunku International Business. W kategorii studia magisterskie nagrodzono mówiącą pięknie po polsku Huiling Zhang z Chin, studiująca na II roku polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Tytuł najlepszego doktora zagranicznego otrzymał Godlove Suila Kuaban z Kamerunu, pracujący w Zespole Mikroinformatyki i Teorii Automatów Cyfrowych w Instytucie Informatyki Politechniki Śląskiej. Nagrody specjalne za działalność na rzecz cudzoziemców oraz działalność charytatywną otrzymali Mikhail Urmich z Uzbekistanu (Politechnika Warszawska) – za aktywność społeczną i integrację zawodową oraz Yauheniya Barkun z Białorusi (Politechnika Białostocka) – za aktywności i zaangażowania społeczne.

Laureatami Nagrody „Gwiazdy Umiędzynarodowienia 2020” w poszczególnych kategoriach zostali: Research Star – prof. Grzegorz Mazurek (prorektor ds. współpracy z zagranicą Akademii Leona Koźmińskiego); Teaching Star – prof. Jacek Szepietowski (kierownik Katedry i Kliniki Dermatologii, Wenerologii i Alergologii na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu); Public Diplomacy Star – prof. Adam Jelonek, pełnomocnik rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie ds. internacjonalizacji; Marketing Star – Marcin Witkowski z Centrum Wsparcia Współpracy Międzynarodowej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu; Management Star – dr Dorota Piotrowska z Centrum Współpracy Międzynarodowej Politechniki Łódzkiej; Rising Star – Wiktoria Herun, kierownik referatu umiędzynarodowienia Urzędu Miasta Lublin. Specjalną nagrodą „Distinguished Star” uhonorowano pośmiertnie prof. Marka Tukiendorfa, byłego rektora Politechniki Opolskiej, byłego przewodniczącego Komisji ds. Współpracy Międzynarodowej Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich.

(MK)

Rada Naukowa ERC w Krakowie

Od 21 do 23 października ubiegłego roku obradowali w Krakowie członkowie Rady Naukowej ERC. Europejska Rada ds. Badań Naukowych pełni rolę agencji grantowej Komisji Europejskiej, której roczny budżet przekracza dwa miliardy euro. ERC posiada bezprecedensową autonomię – wszelkie decyzje dotyczące strategii i programów działania, rodzajów i organizacji konkursów grantowych, podziału dostępnych środków oraz wyłaniania ekspertów oceniających wnioski o finansowanie projektów badawczych podejmuje dwudziestodwuosobowa Rada Naukowa. Jakkolwiek Komisja Europejska ma każdorazowo prawo weta, w ciągu ponad dwunastu lat istnienia agencji ani razu nie skorzystała z tego przywileju.

Członków Rady, mianowanych przez Komisję Europejską na czteroletnie kadencje, proponuje niezależny, złożony z wybitnych naukowców, sześciuosobowy Komitet Identyfikujący. Wśród członków ERC są przedstawiciele różnych dyscyplin naukowych z obszarów nauk: humanistycznych i społecznych, ścisłych i technicznych oraz nauk o życiu. To aktywni badacze pochodzący głównie z krajów europejskich, ale w obecnym składzie dwie osoby mają afiliacje w Stanach Zjednoczonych, na Uniwersytecie Harvarda i na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley. Jest w tym gronie już trzeci laureat Nagrody Nobla, a także laureat *Breakthrough Prize*. Członkowie Rady nie reprezentują krajów, z których pochodzą czy uprawianych przez siebie dyscyplin, a mają na względzie po prostu interesy nauki jako całości. Radę Naukową ERC wspiera i realizuje wyznaczone przez nią zadania znajdujące się w Brukseli biuro (ERC Executive Agency), zatrudniające około pięćset osób.

Główne decyzje Rady Naukowej zapadają na posiedzeniach plenarnych, odbywających się pięć razy w roku, najczęściej w siedzibie ERC w Brukseli. Niektóre z posiedzeń mają charakter wyjazdowy. Ich celem, poza realizacją bieżących zadań, są kontakty z przedstawicielami środowiska naukowego i politycznego wybranych krajów. W ostatnich latach posiedzenia takie odbyły się m.in. w Niemczech, Grecji, Portugalii, we Włoszech i na Malcie.

Gospodarzami 72. plenarnego posiedzenia Rady Naukowej ERC, które odbyło się w październiku ubiegłego roku, były Uniwersytet Jagielloński oraz Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Poza dłużej już działającymi członkami Rady, na posiedzeniu pojawiły się nowo mianowane osoby: Geneviève Almouzni, biolog z Instytutu Curie w Paryżu, Mercedes Garcia-Arenal, historyk religii i kultury z Instytutu Języków i Kultur Śródziemnomorskich i Bliskowschodnich z Madrytu, Eystein Jansen, klimatolog z Uniwersytetu w Bergen, w Norwegii, oraz Duńczyk, biochemik Jesper Qualmann Svejstrup z University College London i Uniwersytetu w Kopenhadze. Gościem specjalnym naszego posiedzenia był Mauro Ferrari, który od stycznia 2020 r. objął funkcję przewodniczącego ERC. W obradach wzięło także udział kilkunastu pracowników biura ERC, z pełniącym obowiązki dyrektora Waldemarem Küttem.

Tematyka obrad plenarnych

Jednym z głównych tematów diskutowanych podczas krakowskiego posiedzenia Rady było zredefiniowanie paneli ewaluacyjnych. Zajmujemy się tym już od około roku, by odpowiedzieć na narastający od jakiegoś czasu problem nierównomiernego napływu wniosków o finansowanie do poszczególnych paneli, a w szczególności znacznego przeciążenia kilku z nich. Jednym z takich szczególnie przeciążonych jest panel PE8 (Products and Processes Engineering). Względny spadek liczby wniosków obserwuje się szczególnie w panelach z obszaru nauk o życiu, w tym w LS1 (Molecular Biology, Biochemistry, Structural Biology and Molecular Biophysics) oraz LS6 (Immunity and Infection). Rozważamy utworzenie nowych paneli i w związku z tym zmianę zakresu tematycznego pozostałych. Niektórzy proponują po prostu podział największych paneli na dwa podpanele o tej samej tematyce, obsługiwane przez osobne zespoły ekspertów. Analizujemy także możliwości dynamicznego definiowania paneli, tworzonych w zależności od liczby i tematyki napływających wniosków. Każde z tych rozwiązań ma swoje zalety i wady. Staramy się starannie przemyśleć różne rozwiązania, by raczej ułatwić niż skomplikować życie aplikującym naukowcom, a także dobrze odpowiedzieć na wyzwania związane z pojawiającą się nową tematyką badań czy ich interdyscyplinarnością. Zdecydowanym priorytetem Rady jest utrzymanie wysokiej jakości procesu oceny wniosków grantowych. Wszystkie propozycje są przedmiotem starannych i wielo-



Fot. Andrzej Jajszczyk

stronnych symulacji wykonywanych przez pracowników biura ERC. Ewentualne zmiany weszłyby w życie dopiero w nowym programie ramowym Horyzont Europa.

Kolejny punkt obrad dotyczył otwartego dostępu do publikacji i wyników naukowych. Dyskutowaliśmy m.in. wyniki naszych wewnętrznych badań oceniających skuteczność polityki otwartego dostępu w projektach finansowanych przez ERC. Polityka ERC w tym zakresie jest coraz bardziej skuteczna. Już 92% publikacji wynikających z grantów ERC w ramach programu Horyzont 2020 ukazuje się w otwartym dostępie. Zastanawialiśmy się także nad dalszymi krokami w tym kierunku, w tym nad koordynacją działań ERC z innymi europejskimi inicjatywami dotyczącymi otwartego dostępu.

Obradowaliśmy też nad informacją na temat bieżącej obsługi trwających grantów. Obecnie są to 5044 projekty programu ramowego H2020 i 976 z 7. Programu Ramowego. Rozmawialiśmy także o zagadnieniach etycznych. Obecnie około 1200 wniosków jest ocenianych w ciągu roku pod kątem etycznym. Ocena trwa średnio 40 dni. Jednym z problemów jest znalezienie odpowiedniej liczby ekspertów do tego rodzaju oceny.

Jak zwykle na posiedzeniach plenarnych wysłuchaliśmy i przedyskutowaliśmy raporty z prac poszczególnych stałych komitetów i grup roboczych, omówiliśmy zagadnienia operacyjne biura, w tym analizę procesu ewaluacji wniosków grantowych. Potem wysłuchaliśmy raportu z przebiegu ostatnio zakończonych bądź trwających konkursów grantowych. Na przykład w konkursie Starting Grant 2020 zgłoszono 3271 wniosków. We wszystkich panelach liczba wniosków wzrosła o 5,3% w stosunku do ubiegłego roku, przy czym wzrost ten wyniósł 8,7% w przypadku wniosków spoza Wielkiej Brytanii. Nastąpił natomiast spadek o 16% wniosków z UK. Z EU13, czyli nowych krajów Unii, było tylko 180 zgłoszeń (wzrost o 15%), przy czym najwięcej, aż 1/3 z Polski. W konkursie Advanced Grants 2019 spadek wniosków z Wielkiej Brytanii był nawet większy, bo wyniósł 24%. W konkursie Synergy Grants 2019 współczynnik sukcesu wyniósł 13,3%. Żaden główny wykonawca nie pochodził z polskiej instytucji naukowej, chociaż byli wykonawcy z innych krajów EU13: Węgier, Chorwacji, Czech i Bułgarii.

Dyskutowano także nad inicjatywą powołania „Stowarzyszenia beneficjentów grantów ERC” (Association of ERC grantees). Pewne kontrowersje w Radzie Naukowej ERC budził kiedyś nie sam fakt powstania takiego stowarzyszenia, ale raczej pomysły na jego rolę i sposób działania. Po długiej dyskusji zapaliliśmy zielone światło dla tej inicjatywy i przyjęliśmy związane z tym krótkie oświadczenie, w którym wyraziliśmy nadzieję, że stowarzyszenie będzie działało zgodnie z regułami ERC, w szczególności dotyczącymi przestrzegania zasad związanych z unikaniem konfliktu interesów i respektowania zasad etycznych. Oczekujemy również, że stowarzyszenie będzie na bieżąco informowało Radę Naukową ERC o swej działalności.

Podjęliśmy też decyzję o wyborze nowego wiceprzewodniczącego Rady Naukowej ERC, odpowiedzialnego za obszar nauk społecznych i humanistycznych, w miejsce kończącego swoją kadencję Martina Stokhofa. W wyniku tajnego głosowania Rady stanowisko to objęła 1 stycznia 2020 roku prof. Eveline Crone z Uniwersytetu w Lejdzie, w Holandii. Eveline zajmuje się neurokognitywną psychologią rozwojową (neurocognitive developmental psychology). Jest m.in. autorką popularnej książki pt. *The Adolescent Brain* (Młody mózg), która rozeszła się w nakładzie ponad stu tysięcy egzemplarzy i którą przetłumaczono na siedem języków.

Posiedzenia stałych komitetów i grup roboczych

Obrady plenarne Rady Naukowej ERC poprzedzają zazwyczaj spotkania stałych komitetów i grup roboczych. Tak też było i tym razem. Obradował m.in. stały komitet ds. konfliktu interesów, naru-

zeń dobrych obyczajów naukowych i etyki (Standing Committee on Conflict of Interest, Scientific Misconduct, and Ethics CoIME). Omawiano obowiązujące w ERC dobre praktyki postępowania z przypadkami nieuczciwości naukowej, a także dokonano przeglądu dziesięciu konkretnych przypadków wykrytych naruszeń zasad etycznych i sposobu reakcji na ich wystąpienie. Przypadki te obejmowały zgłoszenia wniosków o finansowanie, które były plagiatami innych wniosków, nieprawidłowości we współautorstwie publikacji naukowych, a także fałszowanie danych w badaniach finansowanych przez wcześniejsze granty spoza ERC czy manipulacje danymi i ponowne użycie opublikowanych już wcześniej wyników. Podkreślano zdecydowane i skuteczne działania instytucji, w których realizowane są granty ERC. Obradowały także: komitet ds. paneli ewaluacyjnych (Standing Committee on Panels) oraz komitet skoncentrowany na ocenie wyników działania programów grantowych ERC (Standing Committee on Program Impact and Evaluation).

W czasie obrad grupy roboczej zajmującej się innowacjami i kontaktami z gospodarką (Working Group on Innovation and Relations with Industry) mówiono o trudnościach oceny wpływu grantów ERC na pojawiające się innowacje, a także prezentowano sposoby stosowane w próbach takiej oceny. Dyskutowano też funkcjonowanie grantów Proof-of-Concept. Spotkała się także grupa zajmująca się zwiększeniem udziału kobiet w grantach ERC (Working Group on Gender Balance).

Tradycyjnie odbyły się także trzy równoległe posiedzenia członków Rady Naukowej związanych z poszczególnymi obszarami nauki: naukami o życiu, naukami ścisłymi i technicznymi oraz naukami humanistycznymi i społecznymi. Omawiano na nich sprawy utworzenia nowych paneli ewaluacyjnych, a także stan rekrutacji członków poszczególnych paneli. Zwracano uwagę na zwiększenie udziału kobiet wśród ekspertów, a także lepsze zrównoważenie geograficzne paneli.

Wydarzenia towarzyszące

Z posiedzeniem plenarnym były powiązane spotkania mające na celu zapoznanie z ERC naukowców pracujących w Polsce, a członków Rady z polskim środowiskiem naukowym. Swoje uczelnie przedstawił: prof. Bartosz Brożek, prodziekan Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Jagiellońskiego, prof. Ryszard Naskręcki, prorektor ds. szkół doktorskich Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu oraz prof. Marek Pawełczyk, prorektor ds. nauki i rozwoju Politechniki Śląskiej. Przewodniczący Rady Naukowej ERC Jean-Pierre Bourguignon krótko przedstawił zasady funkcjonowania agencji. Potem troje polskich laureatów grantów ERC – Michał Németh z Uniwersytetu Jagiellońskiego, Krzysztof Fic z Politechniki Poznańskiej i Magdalena Król ze Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie – opowiadało, jak wyglądała ich droga do złożenia wniosku grantowego w ERC oraz o swoich badaniach finansowanych z tych grantów.

Kolejna grupa prezentacji należała do młodych polskich naukowców, potencjalnych grantobiorców ERC: prof. Michała Horodeckiego z Uniwersytetu Gdańskiego, dr. Mikołaja Lewandowskiego z Centrum NanoBioMedycznego UAM, dr. Agaty Karskiej z UMK w Toruniu, dr. hab. inż. Przemysława Dąty z Politechniki Śląskiej, dr. Anny Czarnej z Małopolskiego Centrum Biotechnologicznego UJ oraz dr. Błażeja Nikiel-Wroczyńskiego z UJ. Prof. Zbigniew Błocki przedstawił działalność Narodowego Centrum Nauki, wzorowanego w dużej mierze na ERC.

Ostatnim wydarzeniem, w którym wzięło udział kilku członków Rady Naukowej ERC, były Warsztaty ERC w Warszawie, zorganizowane 24 października przez Biuro Doskonałości Naukowej PAN.

Prof. dr hab. inż. Andrzej Jajszczyk,
członek Rady Naukowej ERC

Błędy w statutach i zasadach oceny

Prof. **Maciej Żylicz** komentuje wyniki ostatnich prac Zespołu ds. monitorowania wdrażania reformy szkolnictwa wyższego i nauki

Jako zespół zajmujemy się wieloma sprawami, ostatnio przedstawiliśmy ministrowi nauki uwagi dotyczące statutów uczelni oraz sposobu oceniania indywidualnych nauczycieli akademickich (dokument obok).

Zespół jest bardzo zróżnicowany – są w nim byli i obecni rektorzy dużych i mniejszych uczelni, przedstawiciele środowiska naukowego, w tym m.in. związków zawodowych, studentów i doktorantów, czy przewodniczący Rady Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego – zatem nasz ogląd spraw jest bardzo wszechstronny. Wielokrotnie różnimy się w poglądach na pewne zagadnienia. Na podstawie analizy przedstawionych przez uczelnie statutów stwierdziliśmy jednak wspólnie, że w niewielkim stopniu zmieniły one swoją strukturę, mimo, że dzięki Ustawie 2.0 miały w tym zakresie dużą swobodę. Dlaczego tak się stało? Przypuszczam, że jest to swego rodzaju gra części środowiska naukowego: zmienić się tak, by nic w rzeczywistości się nie zmieniło (podkreślam, że to moja osobista opinia). Czy taka strategia będzie się opłacać? Tego nie wiem. Domyślam się, że niektórzy rektorzy zdawali sobie sprawę z wadliwości dotychczasowych struktur uczelni oraz proponowanych nowych rozwiązań statutowych, ale nie potrafili przekonać społeczności akademickich do głębszych zmian. Może liczą, że teraz to Ministerstwo Nauki uchyli ewidentne niezgodności statutów z ustawą?

Drugi element, na który zwróciliśmy uwagę, to ocena indywidualna pracowników naukowych. To rektor powinien ustalić reguły gry w tym obszarze. Niestety, w wielu uczelniach próbuje się przesunąć kompetencje w tym zakresie na inne organy, np. senaty uczelni, a dla oceny okresowej pracownika ustala się podobne zasady co do oceny dyscypliny naukowej. Narzekamy na „punktozę”, ale wprowadzamy ją dla oceny indywidualnej, gdzie nie tylko nie jest potrzebna, ale wręcz szkodliwa. Jako zespół wskazujemy zatem dobre praktyki w zakresie indywidualnej oceny pracownika, które można znaleźć choćby w Europejskiej Karcie Naukowca. Ponadto przypominamy,



Fot. Magdalena Wiśniewska-Krasńska

że Kodeks Pracy wskazuje, że pracownik może być oceniany jedynie z realizacji uprzednio wyznaczonych zadań.

Notował Piotr Kieraciński

Uwagi Zespołu ds. monitorowania wdrażania reformy szkolnictwa wyższego i nauki dotyczące statutów uczelni i oceny indywidualnej nauczycieli akademickich

Na podstawie przeglądu statutów uczelni, a także zapoznania się z wynikami audytów przeprowadzonych przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego, Zespół do spraw monitorowania wdrażania reformy szkolnictwa wyższego i nauki stwierdza, że struktury uczelni niewiele się zmieniły. Ponadto niepokojące jest umieszczanie w statutach uczelni zapisów, które odbiegają od intencji przyświecającej tworzeniu Ustawy 2.0, albo są wręcz sprzeczne z jej przepisami:

- w przypadku niektórych uczelni w składzie Senatu możliwa jest obecność osób nie pochodzących z wyboru. W nowym stanie prawnym nikt, poza rektorem uczelni, nie wchodzi w skład Senatu z mocy prawa. Niedopuszczalne jest, aby osoby powołane po 1 października 2019 na funkcje kierownicze automatycznie wchodziły w skład Senatu;
- osobom funkcyjnym narzuca się dodatkowe wymagania przy ich wyborze oraz kumuluje się ich niektóre funkcje (jednoczesne peł-

nienie funkcji organu uczelni i funkcji kierowniczej w uczelni, np. rektor, dziekan, prorektor). Za budzące wątpliwości uznaje się pełnienie przez rektora funkcji kierowniczej, na którą rektor musiałby sam siebie powołać. Uważamy, że zakaz kumulacji powinien ograniczyć się tylko do funkcji kierowniczej bezpośrednio podległej rektorowi, tak aby rektor nie podlegał bezpośrednio sam sobie. Nie jest też jasne, jakie skutki zaistniałyby w przypadku, gdyby nastąpiło odwołanie rektora jako organu;

- ogranicza się kompetencje rektora, w tym np. wskazywanie kierowników jednostek (wprowadzając na przykład wymaganie uprzedniego pozyskania pozytywnej opinii innego podmiotu);
- ogranicza się kompetencje niektórych ciał statutowych przewidzianych w ustawie, a w skrajnym przypadku Rada Uczelni pozbawiana jest możliwości wskazania kandydatów na rektora. Treść art. 18 ustawy, określająca uprawnienie do wskazywania kandydatów

- na rektora, skonfrontowana z art. 34 ust. 1 oznacza, że statut może określić inne podmioty (poza Radą) uprawnione do wskazywania kandydatów na rektora, ale nie może pozbawić Rady kompetencji wskazywania kandydatów na rektora;
- tryb odwołania rektora (art. 27 ustawy) powinien zostać rozwinęty w statucie uczelni lub w Zasadach Działania Rady. Można przewidzieć różne scenariusze: wniosek o odwoływanie rektora np. kwalifikowaną większością głosów Rady Uczelni lub/i wprowadzenie wymogu, aby Rada zasięgnęła opinii Senatu w tej sprawie;
 - za niedopuszczalne na gruncie ustawy należy uznać przeniesienie w statucie ustawowych kompetencji uczelni (całej uczelni) na jej wydzieloną część (jednostkę organizacyjną) i związane z tym przeniesienie części uprawnień rektora (wyłącznych) na inny podmiot (jednego z prorektorów), np. w zakresie polityki kadrowej;
 - tryb przyjmowania statutów w niektórych przypadkach nie uwzględniał opinii Rady Uczelni lub/i związków zawodowych.
 - Niepokojący jest także fakt tworzenia systemu oceny indywidualnej nauczycieli akademickich na podstawie zasad oceny dyscyplin naukowych. Zespół wskazuje, że jest to niewłaściwe, a przede wszystkim niezgodny z prawem pracy kierunek działania. Regulacje ustawowe i dobre praktyki (np. Europejska Karta Naukowca) wskazują na to, że indywidualna ocena pracownika powinna dotyczyć oceny wykonania zadań uprzednio wyznaczonych wspólnie z przełożonym w zakresie trzech obszarów (jeśli oceniany jest pracownik zatrudniony na etacie badawczo-dydaktycznym): nauki, dydaktyki i w innych ważnych dla uczelni i społeczeństwa obszarach działalności oraz wynikających z treści stosunku pracy. Jeśli ocena jest negatywna w obszarze nauki lub dydaktyki, końcowa ocena także powinna być negatywna. Zespół zwraca uwagę, że:
 - niezgodne z ustawą jest ograniczanie, poprzez regulację statutu uczelni, kompetencji rektora przez inny organ, najczęściej Senat, w zakresie ustalania zasad i kryteriów oceny nauczyciela akademickiego oraz ustalanie lub zmienianie kryteriów w trakcie trwania okresu oceniania i stosowanie ich z mocą wsteczną. Zgodnie

- z art. 128 ust. 3 ustawy kryteria oceny okresowej dla poszczególnych grup pracowników i rodzajów stanowisk oraz tryb i podmiot dokonujący oceny okresowej określa rektor, po zasięgnięciu opinii Senatu, związków zawodowych, samorządu studenckiego oraz samorządu doktorantów (...). Kryteria nie mogą dotyczyć obowiązku uzyskania stopnia doktora, stopnia doktora habilitowanego lub tytułu profesora. Kryteria przedstawia się nauczycielowi akademickiemu przed rozpoczęciem okresu podlegającego ocenie;
- za niewłaściwe należy uznać przeprowadzanie oceny dokonań naukowych nauczyciela akademickiego wg dokładnie tych samych kryteriów jak ustalone dla oceny dyscyplin naukowych. Nauczyciel akademicki jest oceniany za wykonywanie swoich zadań związanych z zakresem obowiązków, jakie obowiązują go na zajmowanym stanowisku. Muszą zatem także uwzględniać postawę i zaangażowanie pracownika, także wtedy, gdy prowadzone badania naukowe z przyczyn niezależnych od pracownika nie przyniosą zakładanych efektów. Kryteria oceny w uczelni muszą być takie same dla poszczególnych stanowisk i ich grup, bez względu na dyscyplinę naukową lub rodzaj jednostki organizacyjnej uczelni, w której zatrudniony jest oceniany nauczyciel akademicki;
- ocena indywidualna pracownika w zakresie zadań badawczych i nauki nie powinna być zawężona do wyników naukowych uzyskanych w zakresie deklarowanej przez pracownika dyscypliny badawczej, ale na podstawie oceny peer review najważniejszych osiągnięć naukowych (uzyskanych w okresie podlegającym ocenie) przedstawionych przez niego samego. Ocena ta nie może zależeć od punktów wygenerowanych przez dorobek pracownika w ramach oceny dyscyplin naukowych uprawianych w danej uczelni;
- za niewłaściwe należy uznać dokonywanie oceny nauczyciela akademickiego bez uwzględniania warunków (najczęściej finansowych i organizacyjnych), jakie powinien zapewnić mu bezpośredni przełożony (pracodawca) w celu umożliwienia realizacji jego obowiązków naukowych lub dydaktycznych.

Nowi profesorowie

12 grudnia 2019 r. Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Andrzej Duda wręczył akty nominacyjne nauczycielom akademickim oraz pracownikom nauki i sztuki.

NAUKI INŻYNIERYJNO-TECHNICZNE: **Janina Adamus** (PCz), **Jan Danielewicz** (PW), **Mariusz Dudziak** (PŚ), **Katarzyna Gawdzińska** (AMSz), **Bożena Hoła** (PW), **Jarosław Jakubowicz** (PP), **Bogdan Kaźmierczak** (IPPT PAN), **Anna Kucaba-Piętal** (PRz), **Julian Plewa** (UŚ), **Bartosz Powoła** (ZUT), **Wiesław Rokicki** (UW), **Edward Rój** (INSch), **Aleksandra Sas-Bojarska** (PG), **Dariusz Skibicki** (UTP), **Anna Snakowska** (AGH), **Sławomir Sujecki** (PW), **Tomasz Szolc** (IPPT PAN)

NAUKI HUMANISTYCZNE: **Jolanta Daszyńska** (UŁ), **Adam Dobaczewski** (UMK), **Ilona Dobosiewicz** (UO), **Irena Dżurkowska-Kossowska** (UMK), **Andrzej Fabianowski** (UW), **Maciej Franz** (UAM), **Paweł Grata** (URz), **Ryszard Gryglewski** (UJ), **Paweł Kawalec** (KUL), **Ryszard Kulesza** (UW), **Wacław Lewandowski** (UMK), **Jolanta Mafecka-Kukawka** (UMK), **Henryk Mamzer** (IAiE PAN), **Arkadiusz Morawiec** (UŁ), **Danuta Okoń** (USz), **ks. Jacek Pawlik** (UWM), **Andrzej Pelisiak** (URz), **Bożena Rozwadowska** (UWr), **Andrzej Szczerski** (UJ), **Ewa Szczęsna** (UW)

NAUKI MEDYCZNE I O ZDROWIU: **Wioletta Barańska-Rybak** (GUMed), **Krzysztof Błaszyk** (UMP), **Magdalena Bujalska-Zadrozny** (WUM), **Marzanna Cechowska-Pasko** (UMB), **Leszek**

Kalinowski (GUMed), **Małgorzata Kołodziejczak** (Szpital św. Elżbiety Warszawa), **Radosław Lenarczyk** (SUM), **Bartosz Molik** (AWF Warszawa), **Wojciech Naumnik** (UMB), **Monika Podhorecka** (UML), **Nafis Rahman** (UMB), **Teresa Sierpińska** (UMB), **Przemysław Sikora** (UML), **Ewa Słomińska** (GUMed), **Beata Stanisław** (UMP), **Piotr Suwalski** (CSK MSWiA), **Edyta Szurowska** (GUMed), **Piotr Szymański** (CMKP, CSK MSWiA), **Barbara Thiem** (UMP), **Beata Zakrzewska-Pniewska** (WUM)

NAUKI ROLNICZE: **Jarosław Bystron** (UPWr), **Wojciech Jagusiak** (URK), **Paweł Janiszewski** (UWM), **Aleksandra Platt-Samoraj** (UWM), **Edyta Skrzypek** (IFR PAN), **Urszula Wachowska** (UWM)

NAUKI SPOŁECZNE: **Mirosław Bączyk** (UMK), **Anna Giza-Poleszczuk** (UW), **Beata Łaciak** (UW), **Jerzy Sielski** (UHPJD)

NAUKI ŚCIŚŁE I PRZYRODNICZE: **Jarosław Chojnacki** (PG), **Joanna Kałużna-Czaplińska** (PŁ), **Grzegorz Karbowski** (IP PAN), **Leszek Kolendowicz** (UAM), **Marcin Łukaszewicz** (UWr), **Arkadiusz Nowak** (UO), **Marcin Solarz** (UW), **Mariusz Zdrojek** (PW)

NAUKI TEOLOGICZNE: **ks. Marek Tatar** (UKSW)

SZTUKA: **Ewa Braun** (ASP), **Robert Kaja** (ASP Gdańsk), **Mariusz Wideryński** (ASP Warszawa), **Artur Winiarski** (ASP Warszawa), **Irena Żarnowska-Kuszevska** (AMuz Bydgoszcz)

Wyższe szkolnictwo artystyczne a Czwarta Rewolucja Przemysłowa

Prof. dr hab. **Grzegorz Kurzyński**, rektor Akademii Muzycznej im. K. Lipińskiego we Wrocławiu

Czwarta Rewolucja Przemysłowa stała się faktem, a jej poszczególne wyznaczniki (robotyka, sztuczna inteligencja, digitalizacja) dają o sobie znać w wielu obszarach ludzkiej działalności. Czy wpływa ona również na wyższe szkolnictwo artystyczne (muzyczne)? Poprzednie dwie rewolucje: druga, związana z zastosowaniem elektryczności, i trzecia, dotycząca komputeryzacji, przyczyniły się do najbardziej chyba radykalnych zmian w obszarze muzyki (jakkolwiek nie dotyczących jej merytorycznej istoty), a zwłaszcza technologii jej dostarczenia i upowszechniania.

W tak specyficznym obszarze, jakim jest muzyka, umiejętność dostosowania się do nowych realiów będzie wielkim wyzwaniem. Można przypuszczać, że wprowadzanie nowych technologii i cyfryzacja spowodują w najbliższych latach powstanie około 50 nowych zawodów, a wiele innych zaniknie; dotyczy to również muzyki. Jest więc bardzo prawdopodobne, że uczenie się osiągnie rzeczywiście wymiar *lifelong* – trwać będzie przez całe życie. Oznacza to, że absolwenci pojedynczego programu studiów nie będą mogli oczekiwać zatrudnienia na całe życie na „jednej ścieżce kariery”. W przyszłości będą zatrudniani przez różnych pracodawców, czego rezultatem może być konieczność uzupełniania kwalifikacji poprzez uczestniczenie w szkoleniach dostarczających wiedzy w tzw. małych porcjach w postaci specyficznych konkretnych modułów albo krótkich programów wzbogacających ich obecne kompetencje. Dzięki nowym sposobom nauczania (*m.in.* Tutoring, Flipped Education, Problem Based Learning, Peer Learning, Case Learning) pewne obszary wiedzy będą mogły być przyswajane przez studentów w znacznie krótszym czasie. To, na co przeznaczamy w naszym wyższym szkolnictwie muzycznym dwa albo trzy lata, jest często opanowywane w czołowych uczelniach w znacznie szybciej, i wcale nie jest to wiedza powierzchowna.

Oprócz oczywistej potrzeby podniesienia świadomości studentów, że dyplom wyższej uczelni nie oznacza zakończenia ich edukacji, muszą być oni również przygotowani do stania się autonomicznymi, samodzielnie kształtującymi się jednostkami; muszą zrozumieć wagę ustawicznego uczenia się, a nie zadowalać „jednorazowym uczeniem się”, po którym następuje zatrudnienie.

Wiele wskazuje na to, że w obszarze muzyki już niebawem czekają nas istotne zmiany. Przykładem mogą być istniejące już przecież programy komputerowe mogące tworzyć muzykę na poziomie Johanna Sebastiana Bacha, Ludwiga van Beethovena czy innych wielkich twórców, na szczęście na razie tylko ją naśladowujące. Ponadto zagrożony wydaje się wzorzec edukacji muzycznej bazującej na relacji mistrz – uczeń, *one-to-one teaching*. Istnieją przecież możliwości

prowadzenia zajęć wręcz międzykontynentalnych na przykład z gry na fortepianie, w trakcie których dość niepozorny instrument, jakim jest Disklavier (konwencjonalny akustyczny fortepian, wyposażony jednak w elektroniczne czujniki do nagrywania i elektromechaniczne solenoidy do odtwarzania), przesyła sposoby działań na klawiaturze wybitnego mistrza do każdego innego miejsca na świecie, gdzie taki instrument się również znajduje, umożliwiając śledzenie ruchów klawiszy i pedału, oczywiście wraz z całą sferą audiowizualną.

Cyfryzacja nie powinna wpływać na tzw. ludzki wymiar szkolnictwa wyższego. Tymczasem nowe podejście do uczenia się i nauczania oraz do stosowania korzyści płynących z digitalizacji niesie z sobą ryzyko standaryzacji i dehumanizacji. Groźba dehumanizacji, tak często podkreślana przy charakteryzowaniu Czwartej Rewolucji Przemysłowej (w świecie, który w coraz większym stopniu zależy od robotyki i sztucznej inteligencji), jest coraz bardziej realna i wymaga podjęcia działań potrzebnych do stawienia jej czoła. I tu istotną rolę zaczyna odgrywać sztuka, która spełniając w dużym stopniu

przesłanki Czwartej Rewolucji Przemysłowej, może służyć jako pewien moderator w zachodzących zmianach.

Jakkolwiek obecnie nie możemy określić, jakie konkretne umiejętności, kompetencje i wiedza będą potrzebne w obliczu zmian, jakie przyniesie Czwarta Rewolucja Przemysłowa, to jednak uczenie powinno być przygotowane do szybkiego adaptowania się i tworzenia szerokiego spektrum możliwości kształcenia dla znacznie zróżnicowanej grupy studentów. Kluczowym pojęciem będzie w tym kontekście elastyczność i musi być ona postrzegana na wiele sposobów: programy powinny być bardziej elastyczne, aby dostosować się do zmian technologicznych i społecznych oraz do większej różnorodności studentów na rozmaitych etapach ich życia. Cały ten zakres zagadnień został dostrzeżony przez gremia odpowiedzialne za kierunki rozwoju edukacji muzycznej w Europie: European Music Council, European Association of Conservatoires (AEC), International Music Council (IMC) i European Association for Music in Schools.

Dokąd więc zmierza sztuka muzyczna? Powinna być ukierunkowana zarówno w przeszłość, jak i w przyszłość. Oczywiście w żadnym wypadku nie możemy zaniedbać obecnej formuły kształcenia studentów na bazie muzyki klasycznej minionych epok, gdyż stanowi ona istotę naszego dziedzictwa kulturowego. Ale technologia, cyfryzacja umożliwiają teraz całkowicie nowe podejście do tzw. materii muzycznej. Jeśli chodzi o przyszłość muzyki – naszym obowiązkiem jest dotarcie do najnowszej muzyką do szerszego grona odbiorców, wykreowanie nowej publiczności, która tę muzykę będzie chciała



odbierać. Było to zresztą jednym z postulatów programu European Agenda for Music sformułowanego przez Europejską Radę Muzyki (European Music Council).

Bezsprzecznie więc można stwierdzić, że gigantycznym skarbem muzyki jest jej różnorodność, charakteryzująca się wielością stylów, gatunków i idiomów, co zarówno zobowiązuje, jak i inspirowane do dalszego rozwoju oraz ciągłego aktualizowania naszych programów kształcenia. To aktualizowanie wymaga definitywnej zmiany sposobu myślenia pozwalającego na umiejętne wykorzystanie obszarów udostępnionych przez zachodzącą obecnie rewolucję cyfrową. Poprzednie innowacyjne trendy w muzyce – serializm, punktualizm, muzyka aforystyczna, muzyka konkretna, aleatoryzm, muzyka stochastyczna, muzyka mikrotonowa, minimalizm, muzyka spektralna, w których obok istniejących już instrumentów (albo wobec ich braku) używano sporadycznie również elektroniki – powoli stają się przeszłością.

W dzisiejszej dobie cyfryzacji muzyka szuka sobie ciągle nowych obszarów i musimy być na to przygotowani. Dobrym przykładem są tu realizacje Stanford Laptop Orchestra, działającej na słynnym Uniwersytecie Stanforda, osadzone w wymiarze interdyscyplinarnym, łączące muzykę z baletem i sztukami wizualnymi (co zresztą nie jest

już obecnie żadną nowością, jednak podkreślmy, że wymieniony zespół robi to w sposób mistrzowski).

Podjęcie działań mających na celu ustanowienie nowych programów i specjalizacji, w szczególności o charakterze interdyscyplinarnym (także międzyuczelnianym), wymaga ukierunkowania na: • wspieranie procesów adaptacyjnych w obszarze zmian kulturowych zachodzących w Europie i poza nią (Kulturalne i Kreatywne Szkolnictwo Wyższe); • zwiększenie społecznego wpływu edukacji muzycznej; • wspieranie różnorodności muzycznej i kształtowanie nowych odbiorców; • wdrażanie programów nauczania, które wyposażają studentów i absolwentów w wiedzę i umiejętności umożliwiające im zatrudnienie na międzynarodowym rynku pracy.

Tak więc w niedalekiej przyszłości czeka nas dostosowanie obecnych efektów uczenia się do potencjalnie nowych wymagań, a także istotne zmiany w mechanizmach zapewnienia jakości, które w obecnej formie mogą stanowić przeszkodę dla innowacji w projektowaniu programów kształcenia. Należy rozwiązać tę sprzeczność analizując obecne przepisy, standardy, wytyczne i upewnić się, że mechanizmy zapewnienia jakości pomagają reagować na różne nowe rodzaje wymagań.

Pablo – szara eminencja

Senat Uniwersytetu Warszawskiego powołał Zespół roboczy ds. wyjaśnienia publicznie sformułowanych zarzutów dotyczących wywierania wpływu na funkcjonowanie uczelni. Mogą się do niego zgłaszać osoby posiadające informacje na temat działań Pawła „Pabla” Piwowara, do niedawna p.o. kierownika Sekcji Promocji i Informacji Wydziału Prawa i Administracji UW.

To efekt artykułu Pawła Lenartowicza *Pablo – szara eminencja*, jaki opublikowaliśmy w styczniu na naszym portalu. Autor, działacz Uniwersytetu Zaangażowanego i student ekonomii, a wcześniej Kolegium MISH na UW, opisał w nim działania Piwowara. Określił go mianem szarej eminencji Wydziału Prawa i Administracji. „Choć formalnie nie sprawuje on żadnej funkcji uzasadniającej spotkania ze studentami, to właśnie w jego gabinecie senatorom studenckim przekazywane są dyspozycje, w jaki sposób głosować podczas posiedzeń Senatu UW. Posiedzenia odbywają się za zamkniętymi drzwiami, jednak jeden z obecnych studentów jest «zobowiązany» do prowadzenia transmisji na żywo” – opisywał Lenartowicz.

Z jego informacji wynika, że spotkania ze studentami dotyczą także Samorządu Studentów UW, zwłaszcza ustawiania głosowań na najważniejsze funkcje w samorządzie, w szczególności te związane z reprezentowaniem studentów w organach uczelni. „Paweł Piwowar ma opinię bardzo wpływowej osoby, nie tylko na WPiA, lecz także na wydziałach, które mają zbieżne z WPiA interesy w polityce senackiej. W czasie zbierania materiału do artykułu słyszę o sytuacji, w której miało dojść do groźby: «uważaj, bo twój egzamin może źle pójść». Dowiedziałem się od kilku osób, że byłemu studentowi WPiA, zajmującemu ważną funkcję w Samorządzie Studenckim, uniemożliwiono podejście do obrony pracy magisterskiej, a tym samym ukończenie studiów”. Autor zarzucił bohaterowi nie tylko ustawianie głosowań, ale także zastraszanie i przemoc. „Po jednym ze spotkań Piwowar, jak mówią świadkowie, wpadł do siedziby samorządu, wrzeszczał, groził przewodniczącemu, że «odwoła go z funkcji» oraz naruszał przestrzeń osobistą znajdujących się tam osób. Pretekstem do wszczęcia awantury była niechęć zarządu Samorządu Studentów do wspierania kandydatury osoby, której powołania oczekiwał Pablo”.

Po tym, jak artykuł pojawił się na naszej stronie internetowej, od razu zareagowały władze uniwersytetu. Rektor prof. Mar-

cin Pałys zapowiedział, że „sprawa musi być bezwzględnie wyjaśniona. Studenci UW mają prawo do samorządności”. Z kolei prorektor ds. naukowych, prof. Maciej Duszczyk określił zarzuty jako „bardzo poważne” i przyznał, że „należy za wszelką cenę zadbać, aby najgorsze praktyki z polityki nie przenikały na UW”. Na posiedzeniu Senatu UW, 23 stycznia, powołano zespół, który ma zająć się wyjaśnieniem zarzutów sformułowanych w tekście. W jego skład weszli przewodniczący stałych komisji senackich: prof. dr hab. Ewa Czerniawska, prof. dr hab. Paweł Kulesza, prof. dr hab. Roman Kuźniar, prof. dr hab. Zbigniew Marciniak (przewodniczący), dr Mariola Zaleska, prof. dr hab. Tomasz Żylicz.

Jak informuje Anna Korzekwa-Józefowicz, rzecznik UW, jeszcze tego samego dnia rektor wysłał do dziekana WPiA pismo w tej sprawie. „Zważywszy, że wątki sprawy wiążą się z wykonywaniem bądź zaniechaniem obowiązków pracowniczych, oczekuję, że w ramach sprawowanego nadzoru nad organizacją i porządkiem pracy na Wydziale Prawa i Administracji dokona Pan stosownych ustaleń i zastosuje odpowiednie środki porządkowe i dyscyplinujące” – napisał prof. Pałys, dodając, że chce być informowany na bieżąco „o poczynionych wyjaśnieniach, a w przypadku ustalenia ewidentnych naruszeń lub zaniedbań, o podjętych krokach dyscyplinujących”.

Na publikację zareagował również sam Paweł Piwowar. Najpierw złożył rezygnację ze studiów doktoranckich (kopia decyzji o skreśleniu go ze studiów dotarła do sekretariatu rektora 28 stycznia), a następnie złożył wypowiedzenie z pracy z dniem 31 stycznia (wpłynęło do Biura Spraw Pracowniczych). Jak zapewnia rzecznik UW, rezygnacja ta nie kończy sprawy. Zadaniem senackiego Zespołu jest bowiem prześledzenie mechanizmu opisanego w artykule i wypracowanie rekomendacji na przyszłość, by takie sytuacje nie mogły mieć miejsca.

– Zespół będzie chciał się spotkać m.in. z autorem artykułu, Pawłem Lenartowiczem, i senatorami studenckimi. Otwarty jest też na informacje od innych członków naszej społeczności. Wszystkie osoby, które mają więcej informacji w tej sprawie i chciałyby o tym opowiedzieć, mogą się zgłaszać do zespołu – informuje Anna Korzekwa-Józefowicz.

Rozmowa z dr. Jarosławem Gowinem, wicepremierem RP, ministrem nauki i szkolnictwa wyższego

Likwidujemy bariery w rozwoju nauki

Chcemy w 2020 r. zamiast zwiększenia subwencji przekazać uczelniom obligacje skarbowe, ale o statusie nieograniczonej rozporządzalności. To znaczy, że już pierwszego dnia, gdy uczelnie je otrzymają, będą mogły zamienić je na gotówkę. Postanowiliśmy, co ważne, przekazać uczelniom badawczym o 10% więcej środków niż przewidywała ustawa.

Jak ocenia pan reformę po roku od wejścia w życie nowej ustawy, po zapoznaniu się z opiniami zespołu monitorującego jej wdrażanie?

Uważam, że wdrażanie reformy przebiega harmonijnie, nie rodzi większych napięć ani perturbacji dla uczelni. Obserwujemy jednak, że uczelnie, jeśli chodzi o rozwiązania statutowe, na ogół bardzo zachowawczo podchodzą do możliwości skorzystania z szerszej autonomii. Mamy wstępną analizę. Wydaje się, że większość uczelni postanowiła zachować dotychczasową strukturę, tj. podział na wiele stosunkowo wąsko definiowanych wydziałów, co w ocenie ministerstwa nie zawsze jest najlepsze dla dalszego ich rozwoju. Jednocześnie są takie uczelnie, i to nie tylko w gronie tych, które brały udział w konkursie na uczelnie badawcze lub nie znalazły się w dziesiątce laureatów, które przeprowadzają zmiany dużo śmielsze. Wśród tych ostatnich wymieniałbym Uniwersytet Medyczny w Białymstoku, Uniwersytet Jana Kochanowskiego w Kielcach czy Uniwersytet Rzeszowski. Wśród uczelni badawczych wyróżnia się statut Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu.

Czy zadowolony jest pan z poziomem finansowania, jaki udało się zapewnić tej reformie?

Na pewno poziom finansowania szkolnictwa wyższego i nauki, w tym nakładów budżetowych na B+R, jest wciąż za niski, ale w 2019 roku uzyskaliśmy ze środków budżetowych dodatkowe 5 miliardów złotych, a w roku 2020 projekt budżetu przewiduje wzrost nakładów o kolejne 4,2 miliarda. Z tej kwoty 800 milionów zostanie przeznaczonych na wzrost płac w szkolnictwie wyższym – jest to 6% funduszu wynagrodzeń uczelni. Znaczna część środków zostanie przeznaczona na finansowanie programu Inicjatywa Doskonałości – Uczelnia Badawcza. Chciałbym przeznaczyć też dodatkowe środki między innymi na wzrost finansowania Sieci Badawczej Łukasiewicz oraz Narodowego Centrum Nauki.

Czy to prawda, że zamiast pieniędzy uczelnie badawcze dostaną obligacje?

Na wstępie podkreślę, że w grudniu ubiegłego roku uczelnie badawcze podległe naszemu resortowi otrzymały dodatkowe

środki w wysokości 202 milionów złotych, czyli niemal połowę środków przewidzianych dla nich z tytułu programu Inicjatywa Doskonałości – Uczelnia Badawcza. Środki te powinny być traktowane jako swego rodzaju dodatkowa „wyprawka” dla laureatów konkursu. Rzeczywiście chcemy w 2020 r. zamiast zwiększenia subwencji przekazać uczelniom obligacje skarbowe, ale o statusie nieograniczonej rozporządzalności. To znaczy, że już pierwszego dnia, gdy uczelnie je otrzymają, będą mogły zamienić je na gotówkę. Postanowiliśmy, co ważne, przekazać uczelniom badawczym o 10% więcej środków niż przewidywała ustawa. Na przykład Uniwersytet Jagielloński zamiast zwiększenia subwencji o 78,1 mln zł otrzyma obligacje skarbowe o wartości nominalnej ok. 85,9 mln zł, a Uniwersytet im. Adama Mickiewicza zamiast 49,2 mln zł, otrzyma ok. 54,1 mln zł. Przypomnę, że w ubiegłym roku do uczelni oraz Międzynarodowego Instytutu Biologii Molekularnej trafiło w tej formie (tj. obligacji skarbowych) 3 miliardy złotych, żeby zwiększyć ich możliwości inwestycyjne. Zarówno forma finansowania, jak i wysokość otrzymanego dofinansowania, zostały generalnie dobrze przyjęte przez środowisko akademickie.

Czy ten dziesięcioprocentowy wzrost środków dotyczy także uczelni, które brały udział w konkursie, ale nie znalazły się w gronie laureatów?

Nie. Te uczelnie otrzymają subwencję zwiększoną o 2%. Chcę podkreślić, że międzynarodowy zespół ekspercki, który ocenił wnioski złożone w konkursie IDUB, przedstawił szczegółowe rekomendacje dotyczące także drugiej dziesiątki, sugerując wsparcie szczególnie ambitnych elementów programu uczelni, które statusu laureata nie uzyskały. Będę szukał w budżecie ministerstwa środków na realizację tych planów, o ile zobowiążą się one do ich wypełnienia. Na pewno zagwarantuję środki na projekt Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku, bo ten wniosek został oceniony przez ekspertów jako wyraźnie się wyróżniający, choć potencjał naukowy młodej i niewielkiej uczelni spowodował, że nie znalazła się ona w gronie uczelni badawczych. Będę szukał wsparcia u ministra zdrowia Łukasza Szumowskiego.

O ile uczelnie badawcze dostają dość duże finansowanie, to zostaje ogromna większość uczelni publicznych, które mogą wziąć udział jedynie w Regionalnej Inicjatywie Doskonałości. Jakże ma pan plany wobec tego programu?

Oceniam RID bardzo pozytywnie. Wspólnie z Komitetem Polityki Naukowej przeprowadziliśmy wstępną ocenę pilotażowej edycji programu, realizowanej jeszcze na podstawie uchylonej już ustawy o zasadach finansowania nauki. Widać, że na większości uczelni, w których realizowane są projekty RID, program zadziałał jako znakomite narzędzie pro jakościowe. Poziom finansowania projektów wydaje się wystarczająco wysoki. Pewnym problemem są natomiast ograniczenia natury formalnej, które uniemożliwiły realizację potencjalnie dobrych projektów, zwłaszcza w regionach, w których była największa konkurencja. Zamierzamy zasady programu uelastyczyć, dzięki czemu w kolejnym konkursie moglibyśmy sfinansować większą liczbę projektów. W przyszłości chcemy zatem zwiększyć nakłady na cały program.

Jak pan ocenia działalność Sieci Łukasiewicz po niemal roku od jej utworzenia?

Z zadowoleniem obserwuję tempo prac nad osiągnięciem pełnej możliwości działania Sieci Badawczej Łukasiewicz. Jak w przypadku każdej nowej organizacji, pewne działania organizacyjne muszą zostać przeprowadzone, aby w pełni korzystać z potencjału badawczego instytutów Łukasiewicz. Cieszy mnie również rosnące zainteresowanie Łukasiewiczem przedsiębiorców, zarówno polskich, jak i zagranicznych. Efektem prowadzonych z biznesem rozmów są już realizowane, na różnym stopniu zaawansowania, projekty badawcze z firmami, które są liderami w swoich segmentach rynku, z Grupą Azoty, KGHM, PKP czy globalnymi markami, jak Amgen i LG.

A jaki będzie los pozostających poza nią instytutów?

Ich los jest w rękach ministrów, którzy je nadzorują. Zachęcam ich do włączania instytutów do sieci, ale każdy ma wobec podległych placówek własne plany. Z pewnością korzyści z konsolidacji są zauważalne, chociażby z uwagi na synergię wynikająca ze wspólnych działań na rzecz interdyscyplinarnych projektów, optymalizację kosztów i maksymalizację wykorzystania zaplecza badawczego. Wiem, że minister rolnictwa planuje konsolidację podlegających mu jednostek.

Wciąż słychać narzekania na system POLon. Co z informatyzacją nauki?

Prace nad systemem trwają. Zdaję sobie sprawę z tego, że nastrożają uczelniom trudności. Analizujemy ustawę pod kątem tego, czy nie nałożyła na jednostki naukowe zbyt dużych obowiązków sprawozdawczych. Jeśli dojdziemy do takiego wniosku, nie wykluczam odpowiedniej nowelizacji ustawy. Należy jednak pamiętać, że dane z POLonu służą do realizacji bardzo ważnych procesów, w tym podziału subwencji i dotacji, a także ewaluacji. Do tej pory co cztery lata jednostki musiały przygotowywać ankiety, w których przekazywały dane. Teraz będą one pochodziły z POLonu.

W przyszłym roku nastąpi bardzo ważny element reformy – ewaluacja nauki. Nie obawia się pan, że perturbacje związane z przygotowaniem ewaluacji i terminami publikacji jej zasad sprawią, że nie będzie ona miarodajna?

Ubolewam, że w kryterium odnoszącym się do publikacji zasady punktacji artykułów w czasopiśmie naukowych opublikowanych w latach 2017-2018 są zupełnie odmienne od reguł dotyczących artykułów w kolejnych dwóch latach okresu objętego ewaluacją. To jest rozwiązanie wprowadzone w parlamencie,

moim zdaniem niefortunne. W rozporządzeniu w sprawie ewaluacji udało się zawrzeć rozwiązanie, dzięki któremu dorobek publikacyjny z pierwszych dwóch lat „nie przepada” w kontekście ewaluacji. Nie ma natomiast żadnych przesłanek, aby uważać, że jej wynik będzie wypaczony. Wprost przeciwnie, uważam, że to będzie o wiele bardziej miarodajna ewaluacja niż którakolwiek z wcześniejszych. Będzie też inna, bo oceniane będą dyscypliny, a nie jednostki organizacyjne.

Wspominał pan kiedyś, że tracimy na unijnym budżecie nauki, tj. nie odzyskujemy w grantach tego, co wkładamy do unijnej puli środków na badania.

Dwa lata temu byliśmy 7 miliardów złotych na minusie. Dzisiaj ta kwota jest pewnie wyższa.

Jakie są pomysły na zmianę tej sytuacji?

Podniesienie poziomu wykorzystania przez polskich uczonych środków w programie Horyzont Europa jest priorytetem Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego w najbliższych latach. Tego zadania podjął się wybitny uczyony, ekspert Komisji Europejskiej i wielu innych międzynarodowych gremiów, prof. Grzegorz Wrochna, który został podsekretarzem stanu w MNiSW. Pierwszą, kluczową zmianę mogą już zapowiedzieć: chodzi o zasady wynagradzania polskich uczonych w grantach Horyzontu Europa. W Horyzoncie 2020 polscy badacze, ale także naukowcy z pozostałych krajów tzw. nowych członków UE, zarabiali znacząco mniej niż ich koledzy ze starej Unii. Nowe zasady umożliwią zwiększenie wynagrodzeń beneficjentów unijnych grantów. Wymaga to jednak wprowadzenia przez uczelnie i instytuty naukowe systemowych rozwiązań motywacyjnych w sposobie wynagradzania uczonych. Finalizujemy też przeniesienie KPK do NCBR, co powinno usprawnić działanie tej instytucji.

Czy to znaczy, że Krajowy Punkt Kontaktowy będzie częścią struktury NCBR?

Tak. Prace są bardzo zaawansowane. To działanie jest zgodne z rekomendacjami ekspertów Komisji Europejskiej, którzy uważają, że włączenie KPK do centrum umożliwi punktowi dostęp do ogromnego zasobu danych, którymi dysponuje NCBR i choćby w ten sposób podniesie możliwości KPK. Chcę podkreślić, że bardzo wysoko oceniamy jakość pracy osób zatrudnionych w KPK i wszystkie one otrzymały propozycję zatrudnienia w NCBR.

Wróćmy do wynagradzania naukowców w programach europejskich.

Zasady Horyzontu Europa przewidują, że uczeni uzyskujący granty mają być finansowani w sposób systemowo zgodny z rozwiązaniami funkcjonującymi w danym kraju. Jeżeli zatem chcemy, aby polscy badacze byli wynagradzani analogicznie do badaczy z krajów zachodnich, musimy wprowadzić system pro jakościowy, dający gwarancje, że naukowcy uzyskujący granty europejskie będą wynagradzani w odpowiedni sposób. Ministerstwo przedstawi wkrótce rozwiązanie modelowe, które może służyć uczelniom jako inspiracja, wzór. Część instytutów PAN i niektóre uczelnie już takie systemy opracowało. Musi to jednak stać się powszechne. Chodzi z grubsza biorąc o to, że podstawowe wynagrodzenie badacza pozostanie na poziomie krajowym, ale w momencie uzyskania grantu europejskiego przysługiwać będzie badaczowi zwiększone wynagrodzenie, w całości pokrywane ze środków unijnych. Uczelnie i instytuty zyskają na tym potrójnie: unijne finansowanie wynagrodzenia naukowca odciążą budżet uczelni, od wyższych wynagrodzeń uczelnia otrzyma

wyższe środki na koszty pośrednie, większa liczba naukowców zachęconych zwiększeniem wynagrodzeń pomnoży dwa pierwsze efekty.

Kto będzie miał granty europejskie, dobrze zarobi.

Tak. Chodzi nam o to, aby te wynagrodzenia były konkurencyjne i aby budowały prestiż badacza i czytelny system w instytucji.

Proszę powiedzieć, jakie są plany dotyczące reformy Polskiej Akademii Nauk? Wiem, że dostał pan co najmniej dwie koncepcje ustawy o PAN.

Tak i są to bardzo odmienne propozycje. Widać, że w środowisku akademii ścierają się różne poglądy na temat jej przyszłości. W najbliższych tygodniach rozpoczniemy konsultacje w tej sprawie, nie tylko ze środowiskiem PAN – akademia jest zbyt ważnym elementem systemu nauki, aby w konsultacjach pominąć opinie środowiska uczelni.

A jakie jest pana zdanie w tej sprawie?

Gdybym teraz przedstawiał moje zdanie, to konsultacje uznane zostałyby za iluzoryczne. Tak jak w przypadku Konstytucji dla Nauki ministerstwo jest otwarte na różne rozwiązania pod warunkiem, że nie będą one petryfikowały status quo, zwłaszcza w kontekście dynamicznych zmian zachodzących w środowisku uczelni, w tym wyłonienia uczelni badawczych, które stają się poważną konkurencją dla instytutów PAN w obecnym kształcie.

W tej chwili instytuty PAN są niemal zupełnie niezależne od korporacji i zarządu akademii.

Wydaje się, że obecny kształt relacji między korporacją a instytutami jest dysfunkcyjny. Jednym z podstawowych mankamentów obowiązującej ustawy o PAN jest brak precyzyjnego określenia nadzoru i relacji między władzami PAN a dyrektorami instytutów PAN. Potwierdziły to wyniki kontroli NIK dotyczącej wynagrodzeń, przeprowadzonej w 2018 r. w akademii i pięciu instytutach naukowych PAN. Pracując nad reformą PAN będziemy się wspólnie ze środowiskiem naukowym zastanawiać, czy zwiększyć nadzór prezydium Akademii nad instytutami, jak zalecił NIK w zaleceniach pokontrolnych, czy wręcz przeciwnie – rozdzielić te ciała.

Zapowiedział pan też reformę dydaktyki. O co chodzi?

Likwidacja minimów kadrowych już przynosi rezultaty. Np. w uczelniach zawodowych pozwoliło to na wykorzystanie w znacznie większym stopniu niż dotychczas kadr z gospodarki. Możliwość swobodnego kształtowania pensum dydaktycznego sprawia, że coraz większa liczba uczelni decyduje się na obniżanie liczby zajęć ze studentami najbardziej twórczym naukowo pracownikom. Te rozwiązania traktujemy jako zdecydowanie pozytywne. Czekamy na wypracowanie zasad oceny kompleksowej, którą przeprowadzała będzie Polska Komisja Akredytacyjna. Pracujemy też nad zwiększeniem autonomii najlepszych uczelni, w tym badawczych, jeżeli chodzi o proces dydaktyczny, aby wyłączyć je spod rygorów obecnych przepisów. Rozważamy zniesienie obowiązku wskazywania w programie studiów dyscypliny wiodącej, by wzmocnić interdyscyplinarność. Myślimy też nad umożliwieniem uczelniom swobodnego tworzenia studiów poza siedzibą. Mamy w ministerstwie poczucie, że o ile w przypadku nauki wprowadziliśmy wiele rozwiązań pro jakościowych, to w przypadku podstawowej misji uczelni, jaką jest dydaktyka, zarówno nam, jak i środowisku akademickiemu zabrakło pomysłów na to, jak proces kształcenia udoskonalać.

Mam wrażenie, że programy zajęć wciąż kształtowane są ze względu na zasoby kadrowe uczelni, a nie potrzeby studentów czy kierunku studiów.

Nie mamy w ministerstwie instrumentów, które by pozwoliły zweryfikować takie wrażenia, w związku z tym trudno mi to oceniać. Gdyby tak było, to byłoby to zjawisko zdecydowanie negatywne. Obserwuję działania uczelni, które zdecydowały się na śmielsze reformy i tam takich zjawisk negatywnych ubywa.

O ile wypracowaliśmy i doskonalimy metody ewaluacji nauki, to z ewaluacją dydaktyki jest znacznie gorzej.

Z ewaluacją procesu dydaktyki ma problem cały świat. Nigdzie nie udało się tego zrobić. Trzeba udoskonalać narzędzia, które w międzynarodowym środowisku akademickim uznawane są za miarodajne, czyli działalność Polskiej Komisji Akredytacyjnej.

Czy planuje pan powołanie zespołu, który wypracowałby kryteria oceny dydaktyki, inne niż Ekonomiczne Losy Absolwentów?

KDN przewiduje wspomnianą przed chwilą ocenę kompleksową. W jej ramach uczelnia będzie oceniona całościowo w zakresie działań na rzecz zapewnienia najlepszej jakości kształcenia. Kryteria tej oceny będą wypracowane w ciągu najbliższych miesięcy przez powołany przeze mnie zespół ekspercki działający we współpracy z PKA.

Dlaczego trzeba zmienić ustawę o Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej, zrobić wyjątek w systemie finansowania uczelni?

Dlatego, że przy obecnych zasadach finansowania trudno będzie zapewnić tej uczelni stabilny rozwój. Tymczasem jest ona bardzo ważna, bo kształcą elity mniejszości religijnych w Polsce. Uważam, że obowiązkiem państwa jest zagwarantowanie takiej uczelni stabilności finansowej. To jest element wspierania przez państwo wewnętrznego pluralizmu, w tym przypadku zarówno naukowego, jak i pluralizmu wartości.

Dyskutujemy o miejscu polskiej nauki w świecie i oceniamy ją bardzo nisko. Tymczasem są dane, które pokazują, że miejsce nauki jest wyższe, niżby to wynikało ze stanu polskiej gospodarki.

To prawda. Głosy krytyczne na temat funkcjonowania polskich uczelni wyrastają z różnych przesłanek. Z jednej strony mamy wskaźnik liczby cytowanych publikacji, który sytuuje nasz kraj wyżej, niż to by wynikało z pozycji polskiej gospodarki mierzonej wielkością PKB. Z drugiej jednak strony lokaty zajmowane przez najlepsze polskie uczelnie w międzynarodowych rankingach są zdecydowanie zbyt niskie, biorąc pod uwagę nasz naukowy potencjał. Problem polega na tym, że w polskim systemie szkolnictwa wyższego i nauki jest wiele barier. Ich usunięcie doprowadziłoby do szybkiego wzrostu rozpoznawalności polskiej nauki i polskich uczelni na świecie. Pouczające są rekomendacje zespołu ekspertów, który rozstrzygał konkurs na uczelnie badawcze. Byli oni pod wrażeniem niektórych osiągnięć polskich uczonych, ale też wskazali trzy główne bariery rozwoju. Pierwszą jest kolegialny model zarządzania, co Konstytucja dla Nauki pozwala zmienić. Kolejną są rozwiązania utrudniające rozwój kadry naukowej, zwłaszcza utrzymywanie habilitacji, szczególnie że w systemie oprócz niej jest profesura belwederska. Trzecia bariera to nadmierne rozproszenie potencjału. Zwrócili oni uwagę, że np. uniwersytet powstały w wyniku konsolidacji Uniwersytetu Gdańskiego, Politechniki Gdańskiej i Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego byłby jednym z najbardziej znaczących ośrodków naukowych w Europie.



Dr **Jarosław Gowin** (ur. w 1961 r.) jest filozofem i politologiem, absolwentem Uniwersytetu Jagiellońskiego. W latach osiemdziesiątych był członkiem Niezależnego Zrzeszenia Studentów oraz „Solidarności”. Był stypendystą Uniwersytetu Cambridge. Był redaktorem naczelnym miesięcznika „Znak”. Był założycielem i rektorem Wyższej Szkoły Europejskiej im. ks. Józefa Tischnera w Krakowie. W latach 2011-2013 pełnił funkcję ministra sprawiedliwości. Od 2015 r. jest wicepremierem i ministrem nauki i szkolnictwa wyższego. Jako minister nauki zrealizował reformę szkolnictwa wyższego i nauki. Był senatorem RP, jest posłem na Sejm RP.

Współpracuje z Fundacją św. Mikołaja, działającą na rzecz tworzenia domów samotnych matek i hospicjów, a także ze stowarzyszeniem SIEMACHA. Zasiada w Radzie Patronackiej Krakowskiego Hospicjum dla Dzieci imienia ks. Józefa Tischnera.

Prezydent podpisał ustawę o ustanowieniu 19 lutego, dnia urodzin Mikołaja Kopernika, świętem państwowym – Dniem Nauki Polskiej. Nie wzięto pod uwagę opinii wyrażonych przez środowisko akademickie w konsultacjach społecznych.

Nie wykluczam realizacji w przyszłości propozycji prezesa PAN, profesora Jerzego Duszyńskiego, aby ustanowić specjalne Stypendia Rzeczypospolitej dla wybitnych badaczy. Co do uwagi przewodniczącego KRASP, że lepiej byłoby uchwalić ustawę o zwiększeniu finansowania nauki, podzielam przekonanie środowiska akademickiego, że wzrost poziomu finansowania nauki powinien być szybszy, aczkolwiek chcę zauważyć, że system grantowy w Polsce – nie jest to zasługa obecnego rządu,

ale także poprzednich – dobrze funkcjonuje i jest wysoko oceniany w Europie.

Czy Dzień Nauki Polskiej będzie dniem wolnym na polskich uniwersytetach i w instytutach naukowych?

Nie przewidujemy takiego rozwiązania. Uważam, że najlepszym sposobem na świętowanie dorobku polskiej nauki będzie jego pomnażanie, także w dniu samego święta. Uczymy je dodatkowo, wręczając wybitnym badaczom nagrody ministra nauki i nagrody Prezesa Rady Ministrów podczas specjalnej uroczystości, w tym akurat roku w Toruniu.

Rozmawiał Piotr Kieraciński

Toruń, 19 lutego 2020

Nagrody Prezesa Rady Ministrów

Nagrody Prezesa Rady Ministrów za wyróżnione rozprawy doktorskie i habilitacyjne oraz działalność naukową zostały ustanowione w 1994 roku z inicjatywy Prezesa Polskiej Akademii Nauk. Wypełniły lukę powstałą po zlikwidowaniu nagród państwowych i nagród Sekretarza Naukowego PAN. Gremium kwalifikującym do nagród jest Zespół ds. Nagród Prezesa Rady Ministrów, powołany przez premiera na pięcioletnią kadencję. Przewodniczy mu prof. Tomasz Giaro, prawnik z Uniwersytetu Warszawskiego.

W rozporządzeniu określono trzy kategorie nagród: za wyróżnione prace doktorskie, za wysoko ocenione osiągnięcia będące podstawą nadania stopnia doktora habilitowanego oraz za osiągnięcia w zakresie działalności naukowej, w tym twórczości artystycznej lub działalności wdrożeniowej.

Do konkursu w 2019 r. nadesłano 224 wnioski, z których 129 dotyczyło doktoratów, 75 osiągnięć będących podstawą nadania stopnia doktora habilitowanego i 20 osiągnięć w zakresie działalności naukowej. Najwięcej wniosków – 91 – dotyczyło prac i osiągnięć w dziedzinach nauk ścisłych i technicznych. Nauk humanistycznych, społecznych i artystycznych dotyczyło 79 wniosków, a 54 nauk przyrodniczych i medycznych.

W danym roku premier może przyznać nie więcej niż 45 nagród, z tego do 25 nagród za rozprawy doktorskie, do 10 nagród za habilitacje oraz do 10 nagród za osiągnięcia w zakresie działalności naukowej. W 2019 r., zgodnie z sugestią Zespołu, Prezes Rady Ministrów postanowił uhonorować swoją nagrodą autorów: dwunastu rozpraw doktorskich, dziesięciu osiągnięć habilitacyjnych oraz dwóch osiągnięć z zakresu działalności naukowej.

Nagrody Prezesa Rady Ministrów w roku 2019

| Za osiągnięcia w zakresie działalności naukowej w tym twórczości artystycznej | |
|--|---|
| Prof. dr hab. Danuta Kisielewska | Akademia Górniczo-Hutnicza im. Stanisława Staszica w Krakowie |
| Prof. dr hab. Ewa Kula-Świeżewska | Instytut Biochemii i Biofizyki PAN |
| Za wysoko ocenione osiągnięcia będące podstawą nadania stopnia doktora habilitowanego | |
| dr hab. Przemysław Jerzy Błyszczuk, prof. UJ | Uniwersytet Jagielloński |
| dr hab. Wojciech Brzezicki | Uniwersytet Jagielloński |
| dr hab. Janusz Marcin Dąbrowski | Uniwersytet Jagielloński |
| dr hab. Miłosz Paweł Giersz | Uniwersytet Warszawski |
| dr hab. Jerzy Kaliszuk | Instytut Historii Nauki PAN |
| dr hab. Tomasz Klimsiak | Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu |
| dr hab. inż. Małgorzata Elżbieta Kopytko | Wojskowa Akademia Techniczna |
| dr hab. Agata Lucyna Starosta | Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej |
| dr hab. Joanna Urban-Ciecko | Instytut Biologii Doświadczalnej PAN im. M. Nenckiego |
| dr hab. Arkadiusz Wudarski | Uniwersytet Zielonogórski |
| Za wyróżniającą się rozprawę doktorską | |
| dr Anna Andrzejewska | Instytut Medycyny Doświadczalnej i Klinicznej im. M. Mossakowskiego PAN |
| dr Łukasz Bola | Uniwersytet Jagielloński |
| dr Michał Lesiuk | Uniwersytet Warszawski |
| dr Mateusz Jan Olbromski | Uniwersytet Medyczny we Wrocławiu |
| dr inż. Agnieszka Pęska-Siwik | Akademia Górniczo-Hutnicza im. Stanisława Staszica w Krakowie |
| dr Urszula Helena Piotrowska | Uniwersytet Technologiczno-Humanistyczny w Radomiu |
| dr Tomasz Smoleński | Uniwersytet Warszawski |
| dr inż. Mariusz Tadeusz Szkoda | Politechnika Gdańska |
| dr Wojciech Piotr Włoskowitz | Instytut Języka Polskiego Polskiej Akademii Nauk |
| dr Marcin Wrochna | Uniwersytet Warszawski |
| dr Ewa Zawojcka | Uniwersytet Warszawski |
| dr inż. Adam Zieliński | Zachodniopomorski Uniwersytet Technologiczny w Szczecinie |

Nagrody Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego

Zespół doradczy do oceny wniosków o przyznanie nagród ministra właściwego do spraw szkolnictwa wyższego i nauki dokonał w 2019 r. oceny merytorycznej wniosków o przyznanie Nagród Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Dorobek prezentowany w aplikacjach obejmował dwa lata działalności naukowców.

W skład zespołu powołano 31 członków reprezentujących środowisko szkolnictwa wyższego i nauki oraz stosowne dziedziny i dyscypliny nauki bądź sztuki, a pracom zespołu przewodniczył profesor Bogdan Szlachta, prawnik i filozof polityki z Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Nagrody przyznawane są w 5 kategoriach, za: całokształt dorobku, znaczące osiągnięcia w zakresie działalności naukowej, znaczące osiągnięcia w zakresie działalności dydaktycznej, znaczące osiągnięcia w zakresie działalności wdrożeniowej, znaczące osiągnięcia w zakresie działalności organizacyjnej.

Minister podjął także decyzję o przyznaniu z inicjatywy własnej nagród za znaczący wkład w działania podejmowane na rzecz szkolnictwa wyższego i nauki, w tym dla członków Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów oraz członków Rady Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego.

Ocenie zespołu poddanych zostało 129 wniosków. Minister Nauki i Szkolnictwa Wyższego podjął decyzję o przyznaniu 88 nagród w wymienionych wcześniej kategoriach, w tym 75 indywidualnych i 13 zespołowych. Do szkół wyższych trafiły 54 nagrody, 10 do instytutów PAN, 13 wzięli reprezentanci Rady Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego, 10 członkowie Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów, a jedną prezes Fundacji na rzecz Nauki Polskiej. Łącznie minister nauki nagrodził 138 naukowców. Warto zauważyć obecność przedstawicieli uczelni niepublicznych wśród nagrodzonych. Reprezentują oni SWPS Uniwersytet Humanistycznospołeczny (2 osoby), Akademię WSB i Dolnośląską Szkołę Wyższą.

Nagrody Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego w roku 2019

 Nagroda indywidualna

 Nagroda zespołowa

| Całokształt dorobku | |
|--|--|
| prof. dr hab. inż. Tadeusz Kaczorek | Politechnika Białostocka |
| prof. dr hab. Stanisław Jadach | Instytut Fizyki Jądrowej im. Henryka Niewodniczańskiego PAN |
| prof. dr hab. Bogusław Buszewski | Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu |
| prof. dr dr h.c. Oded Stark | Uniwersytet Warszawski |
| prof. dr hab. inż. Juliusz Pernak | Politechnika Poznańska |
| prof. dr hab. inż. Jacek Franciszek Gieras | Uniwersytet Technologiczno-Przyrodniczy im. Jana i Jędrzeja Śniadeckich w Bydgoszczy |
| prof. dr hab. inż. Edward Chlebus | Politechnika Wrocławska |
| prof. dr hab. Aleksandra Łuszczryńska | SWPS Uniwersytet Humanistycznospołeczny |
| prof. dr hab. Maciej Żylicz | Fundacja na rzecz Nauki Polskiej |
| prof. dr hab. Włodzimierz Bolecki | Instytut Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk |
| prof. dr hab. Józef Marecki | Uniwersytet Papieski Jana Pawła II w Krakowie |
| Znaczące osiągnięcia w zakresie działalności naukowej | |
| prof. dr hab. n. med. Marcin Przemysław Mycko | Uniwersytet Warmińsko-Mazurski w Olsztynie |
| prof. dr hab. Marcin Wodziński | Uniwersytet Wrocławski |
| dr hab. Jacek Zaucha, prof. UG | Uniwersytet Gdański |
| dr hab. Edyta Rudawska, prof. US, dr hab. Ewa Frąckiewicz, prof. US, dr Małgorzata Wiścicka-Fernando | Uniwersytet Szczeciński |
| dr hab. inż. Katarzyna Piórkowska, prof. UE | Uniwersytet Ekonomiczny we Wrocławiu |
| prof. dr hab. inż. Katarzyna Pernal, dr inż. Ewa Pastorczak, dr Michał Hapka | Politechnika Łódzka |
| dr hab. inż. Jacek Mariusz Żmojda, prof. PB | Politechnika Białostocka |
| dr hab. Marcin Chrzyszcz | Instytut Fizyki Jądrowej im. Henryka Niewodniczańskiego PAN |

| | |
|---|--|
| dr hab. inż. Agnieszka Piwkowska, prof. IMDiK, dr hab. Dorota Rogacka, dr Irena Audzeyenka, mgr Patrycja Rachubik, prof. dr hab. Stefan Angielski | Instytut Medycyny Doświadczalnej i Klinicznej im. Mirosława Mossakowskiego PAN |
| prof. dr hab. Dariusz Doliński | SWPS Uniwersytet Humanistycznospołeczny |
| dr hab. Roman Józef Szczęśny | Instytut Biochemii i Biofizyki PAN |
| dr hab. Joanna Ida Sułkowska | Uniwersytet Warszawski |
| prof. dr hab. Ewa Wanda Ziemia | Uniwersytet Ekonomiczny w Katowicach |
| prof. dr hab. inż. Dariusz Andrzej Kaczorowski | Instytut Niskich Temperatur i Badań Strukturalnych im. Włodzimierza Trzebiatowskiego PAN |
| prof. dr hab. Andrzej Ślebarski | Uniwersytet Śląski w Katowicach |
| dr hab. Paweł Jacek Kras | Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II |
| prof. dr hab. Dorota Gryko | Instytut Chemii Organicznej PAN |
| dr hab. inż. Konstantin V. Tretjakov | Instytut Fizyki Molekularnej PAN |
| prof. dr hab. Jacek Radwan | Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu |
| dr hab. Piotr Szymon Żuchowski, prof. UMK | Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu |
| Znaczące osiągnięcia w zakresie działalności dydaktycznej | |
| prof. dr hab. Janusz Jurczak | Instytut Chemii Organicznej PAN |
| dr hab. Wiesław Alejziak, prof. AWF, dr hab. Jadwiga Berbeka, prof. UEK, dr hab. Katarzyna Czernek-Marszałek, prof. UE, dr Małgorzata Kryczka, dr Łukasz Nawrot, dr Karolina Nessel, dr hab. Renata Seweryn, prof. UEK, mgr Paweł Stelmach, dr Bartosz Szczechowicz, dr hab. Robert Wojciech Włodarczyk, prof. UEK, dr hab. Piotr Zmysłony, prof. UEP, mgr Witold Zych, dr Danuta Żylak | Akademia Wychowania Fizycznego im. Bronisława Czecha w Krakowie |
| dr hab. Stanisław Marek Samborski, prof. SGGW, dr hab. inż. Dariusz Gozdowski, dr inż. Jan Szatyłowicz, dr hab. inż. Tomasz Gnatowski, dr inż. Michał Stępień, dr hab. Rafał Pudełko, dr inż. Anna Nieróbca, dr hab. Jerzy Kozyra | Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie |
| prof. dr hab. Jarosław Burczyk | Uniwersytet Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy |
| prof. dr hab. inż. Kazimierz Darowicki | Politechnika Gdańska |
| prof. dr hab. Wiesław Wątopek, dr Justyna Ciuraszkiewicz, dr Elżbieta Gocek, dr Marta Kołodziejczak | Uniwersytet Wrocławski |
| prof. dr hab. n. med. Jacek Józef Pietrzyk, prof. dr hab. n. med. Przemko Kwinta | Uniwersytet Jagielloński w Krakowie |
| prof. dr hab. Ewa Małgorzata Rott-Pietrzyk | Uniwersytet Śląski w Katowicach |
| dr hab. Tomasz Zalega, prof. UW | Uniwersytet Warszawski |
| dr Barbara Muszyńska | Dolnośląska Szkoła Wyższa |
| Znaczące osiągnięcia w zakresie działalności wdrożeniowej | |
| dr hab. Andrzej Rokita, prof. AWF, dr Ireneusz Cichy, dr Tadeusz Rzepa, Marek Nowicki | Akademia Wychowania Fizycznego we Wrocławiu |
| dr hab. Aneta Ptaszyńska, prof. UMCS, prof. dr hab. Wanda Małek, prof. dr hab. Małgorzata Cytryńska, dr hab. Agnieszka Zdybicka-Barabas, prof. dr hab. Wiesław Mułenko | Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie |
| dr hab. inż. Dariusz Arkadiusz Bartocha, prof. PŚ, dr inż. Czesław Baron | Politechnika Śląska w Gliwicach |
| prof. dr hab. Jacek Karol Bardowski | Instytut Biochemii i Biofizyki PAN |
| dr hab. Aleksandra Anna Radtke, dr hab. Piotr Franciszek Piszczek, prof. UMK, prof. dr hab. n. med. Waldemar Jędrzejczyk | Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu |
| dr hab. Bogumił Kamiński, prof. SGH, dr Przemysław Aleksander Szufel | Szkoła Główna Handlowa w Warszawie |

| | |
|--|---|
| dr hab. Łukasz Drewniak, prof. UW, mgr Martyna Ciężkowska, dr hab. Łukasz Dziewit, mgr Tomasz Krucoń, mgr Pola Łomża, mgr Katarzyna Piątkowska, mgr Krzysztof Poszytek, prof. dr hab. Aleksandra Skłodowska, mgr Witold Uhrynowski | Uniwersytet Warszawski |
| prof. dr hab. Tomasz Niedzielski | Uniwersytet Wrocławski |
| Znaczące osiągnięcia w zakresie działalności organizacyjnej (nagroda indywidualna I stopnia) | |
| dr hab. Marcin Maciejczyk, prof. AWF | Akademia Wychowania Fizycznego im. Bronisława Czecha w Krakowie |
| dr hab. Jan Klimek, prof. SGH | Szkoła Główna Handlowa w Warszawie |
| dr hab. inż. arch. Magdalena Małgorzata Żmudzińska-Nowak, prof. PŚ | Politechnika Śląska w Gliwicach |
| dr Agata Karska | Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu |
| dr Robert Musiałkiewicz | Państwowa Wyższa Szkoła Zawodowa we Włocławku |
| dr inż. Agnieszka Smarzewska | Państwowa Szkoła Wyższa im. Papieża Jana Pawła II w Białej Podlaskiej |
| prof. dr hab. Kazimierz Pająk | Państwowa Uczelnia Stanisława Staszica w Pile |
| ks. dr Wit Eugeniusz Pasierbek | Akademia Ignatianum w Krakowie |
| dr hab. Anna Machnikowska, prof. UG | Uniwersytet Gdański |
| prof. dr hab. Jarosław Górniak | Uniwersytet Jagielloński w Krakowie |
| prof. dr hab. Zbigniew Marciniak | Rada Główna Nauki i Szkolnictwa Wyższego |
| prof. dr hab. inż. Kazimierz Furtak | Centralna Komisja ds. Stopni i Tytułów |
| Znaczące osiągnięcia w zakresie działalności organizacyjnej (nagroda indywidualna II stopnia) | |
| dr inż. Łukasz Krzysztof Wróblewski | Akademia WSB |
| dr hab. Aldona Izabela Wiktorska-Święcka, prof. UWR | Uniwersytet Wrocławski |
| dr hab. n. med. Dorota Tarnawska, prof. UŚ | Uniwersytet Śląski w Katowicach |
| dr inż. Dorota Łucja Piotrowska | Politechnika Łódzka |
| prof. dr hab. Arkadiusz Żukowski | Uniwersytet Warmińsko-Mazurski w Olsztynie |
| dr inż. arch. Krzysztof Koszewski | Politechnika Warszawska |
| prof. dr hab. Wiesław Baniś | Rada Główna Nauki i Szkolnictwa Wyższego |
| prof. dr hab. Tomasz Szapiro | Rada Główna Nauki i Szkolnictwa Wyższego |
| prof. dr hab. Jan Szambelańczyk | Rada Główna Nauki i Szkolnictwa Wyższego |
| prof. dr hab. inż. Janusz Żmija | Rada Główna Nauki i Szkolnictwa Wyższego |
| prof. dr hab. Bronisław Marciniak | Rada Główna Nauki i Szkolnictwa Wyższego |
| prof. dr hab. Ewa Gruza | Rada Główna Nauki i Szkolnictwa Wyższego |
| dr hab. Andrzej Harla | Rada Główna Nauki i Szkolnictwa Wyższego |
| dr hab. inż. Zbigniew Ciekanski, prof. ucz. | Rada Główna Nauki i Szkolnictwa Wyższego |
| dr hab. inż. Lech Kruś | Rada Główna Nauki i Szkolnictwa Wyższego |
| dr hab. inż. Jarosław Pytka, prof. PL | Rada Główna Nauki i Szkolnictwa Wyższego |
| dr hab. Mirosław Murat | Rada Główna Nauki i Szkolnictwa Wyższego |
| dr hab. inż. Wiktor Adamus, prof. UJ | Rada Główna Nauki i Szkolnictwa Wyższego |
| prof. dr hab. Marek Stanisław Szczepański | Centralna Komisja ds. Stopni i Tytułów |
| prof. dr hab. Tomasz Schramm | Centralna Komisja ds. Stopni i Tytułów |
| prof. dr hab. Marek Kazimierz Ratajczak | Centralna Komisja ds. Stopni i Tytułów |
| prof. dr hab. Maria Hanna Romanowska | Centralna Komisja ds. Stopni i Tytułów |
| prof. dr hab. Grzegorz Władysław Węgrzyn | Centralna Komisja ds. Stopni i Tytułów |
| prof. dr hab. inż. Tomasz Jan Borecki | Centralna Komisja ds. Stopni i Tytułów |
| prof. dr hab. inż. Zbigniew Jan Florjańczyk | Centralna Komisja ds. Stopni i Tytułów |
| prof. dr hab. inż. Roman Bolesław Barlik | Centralna Komisja ds. Stopni i Tytułów |
| prof. dr hab. Jacek Kossut | Centralna Komisja ds. Stopni i Tytułów |

Bibliotekarstwo w odwrocie

Nie ma co opowiadać bajek: to jest kasacja zawodowego kształcenia bibliotekarzy na wszystkich poziomach i we wszystkich formach. W perspektywie zatem kiełkuje też zanik porządnego bibliotekarstwa akademickiego oraz każdego innego. Diabli wiedzą, dlaczego akurat i wyłącznie w Polsce.

Komunikowanie edukacyjne oraz naukowe niemal od samego początku było wielojęzyczne, czyli po dzisiejszemu multisemiotyczne. Na dłużej niż długo utrzymała się zwłaszcza dominująca transmisja treści w trybie werbalnym, więc lekcji oraz wykładów, a także w formie pisemnej: podręczników i monografii. Inne warianty przekazu miały charakter wspomagający. Ale do czasu. Oto bowiem szturm przysięła digitalna komunikacja sieciowa i powstało nieliczne zamieszanie.

Zamieszanie

Okazało się otóż nagle, że istnieje jeszcze jeden skuteczny sposób rozległego rozpowszechniania treści (nie tylko naukowych, właśnie przez elektroniczną sieć. To rozwiązanie, użytkowo rzeczywiście świetne, zostało jednak od zarania obarczone bezasadną sugestią, że jest w komunikacji absolutnie uniwersalne, zatem może być jedyne. No i taka właśnie apologia wyłączności zaczyna teraz (nie wszędzie, ale u nas owszem) brać górę oraz podpowiada rozwiązania praktyczne.

Zarówno bowiem zmasowane, obiegowe opinie naukowe, jak też ogólnonaukowe procedury praktyczne, zaczęły podporządkowywać się hipotezie, że digitalna formuła transmisji treści jest już w tej chwili dla nauki najlepsza (choć brak potwierdzenia psychologicznego), w przyszłości zaś może albo nawet musi być wyłączna. Przechył postępowania w takiej intencji oraz w tym kierunku jest dostrzegalny, chociaż w różnych krajach niekoniecznie tak samo. Czasami wyraźnie, a niekiedy mniej. U nas akurat nadwyraźnie, nie wiadomo jednak, czy to aby dobrze. Nie jesteśmy bowiem liderem światowej nauki, toteż nieostrożność może być ryzykowna.

Namnożonych wątpliwości dałoby się zapewne w znacznym stopniu uniknąć i uciec od zamieszania, przyjmując, że żadna komunikacja – więc naukowa też nie – jednorodna semiotycznie wcale być nie musi, a nawet nie może. W rozmaitych wariantach, a co najmniej w werbalnym, pisemnym i w digitalnym, powinna funkcjonować równolegle, obok, we wzajemnym uzupełnieniu. Bez żadnej dla siebie szkody, a wręcz odwrotnie: z wielkim pożytkiem. Z takiej mianowicie przyczyny, że

procesy nadania, transmisji oraz odbioru treści nie są w żadnym z tych systemów komunikowania identyczne ani tożsame, a nieraz bywają nawet mało zbieżne. Nie każdy więc sposób rejestracji oraz dostarczania powiadomień sprawdza się podobnie w dokumentowaniu, a tym bardziej w przejmowaniu treści, zwłaszcza naukowych.

Dlatego bogactwo form transmisji powiadomień znajduje uzasadnienie na różnych poziomach złożoności. Więcej: to jedno z najważniejszych osiągnięć współczesnej komunikacji. Także naukowej. Ale pod rygiem funkcjonowania w pełnej skali istniejących wariantów. Zatem mnożące się coraz liczniej praktyki redukcji tych wariantów i jednostronnych preferencji semiotycznych wyglądają na szkodliwe.

Kierunek: redukcja

W tej chwili wygląda to tak, jakby komunikacyjna różnorodność – mimo że niewyuzdana przecież – niejednemu wydała się jednak nadmierna i zbyt uciążliwa, kłopotliwa oraz czasochłonna. Słuchać, klikać i ponadto jeszcze czytać? Bez przesady.

W rezultacie, z przyczyn niedookreślonych i zapewne trzeciorzędnych, spontaniczna(?) euforia przypisała wszystkim transmisyjne możliwości i zalety wyłącznie komunikacji digitalnej. Sugerując tym samym ograniczenie, albo nawet zanik, użyteczności pozostałych form naukowego komunikowania.

Niepodważalnym świadectwem jest w nauce autorytarna hegemonia ewaluacyjna postHirschowych wskaźników indeksacyjnych (np. indeks h, indeks g), kreowanych prawie wyłącznie na podstawie cytowań internetowych. Taka punktoza jest wygodna dla okołonaukowej administracji, ale dla samej nauki – nie całkiem.

Wygląda to tak, że jeżeli przywołują cię z sieci i w sieci, to w nauce jakoś istniejesz, lepiej albo gorzej, o czym decyduje indeks. Lecz jeżeli nie – to już niekoniecznie. Drukowana monografia naukowa zatem to jest twoje ryzyko osobiste.

Na razie to wszystko wygląda na fazę wstępną mało wymyślnej i niesprawdzonej opinii, że digitaliami da się w końcu wypeł-

nić bez reszty wszystkie powinności edukacyjne oraz naukowe. Ale z takiej właśnie presupozycji wyłania się z kolei przyszła koncepcja zredukowania komunikacji naukowej do jednosemiotycznego wariantu digitalnego. Nie do przyjęcia.

Ostatnimi laty piśmiennictwo naukowe zaczyna być u nas kierowane na tory niszowe – już nawet zdarzają się 25-egzemplarzowe nakłady książek naukowych – niewykluczone więc, że i trendy w pełni likwidacyjne też ujawnią się niebawem. Inny zaś, możliwy później krok, to redukcja werbalnych objaśnień i wykładów naukowych do roli instrukcji używania. Wprawdzie nikt jeszcze takich skrajności nie deklaruje wprost, ale nieśmiało przebąkiewania już są.

Bywają też namacalne skutki, akurat u nas wyraźniejsze aniżeli za granicą. Kurczy się mianowicie obieg – a co z autorytetem? – naukowych monografii drukowanych. Mało komu chce się (o ile nie musi) ślęczyć przez kilka lat nad monograficznym wywodem naukowym, jeżeli w wyniku punktozy pozyska lepszą ocenę oraz opinię za kilka internetowych półproduktów. Jednocześnie zaś niekoniernie liczna jest publiczność czytająca sążniste drukowane tomiska. Skoro wystarczy trochę poklikać...

Niestety nikła jest świadomość, że zgodnie z globalnym prawem autorskim żadna biblioteka i w ogóle nikt nie ma uprawnień do digitalizacji na własną rękę drukowanych publikacji bieżących i retrospektywnych – w uproszczeniu: do 70 lat od śmierci autora. A to przecież zasadniczo zmienia postać rzeczy.

Tak więc obecnie najkonkretniejszym, mimo że chyba nieoczekiwanym, a w dodatku wyjątkowo kiepskim, rezultatem takiej sytuacji jest – w Polsce jak nigdzie indziej – dramatyczny kryzys bibliotekarstwa akademickiego oraz agonია nauki o bibliotekarstwie (bibliologii, bibliotekoznawstwa). W konsekwencji zaś zagrożenie dotyczy całego naszego bibliotekarstwa. W innych krajach aż tak źle nie jest.

Bibliotekofobie

Biblioteki, przesadnie i w niezgodzie z rzeczywistością kojarzone głównie z samym tylko piśmiennictwem, niemal natychmiast rozeznały bogate możliwości komunikacji digitalnej i włączyły ją w obszar własnej oferty, przełamując przeszkody techniczne i bariery finansowe. Z tym jednak, że na zasadzie wielosemiotycznej równoległości wobec innych form przekazu (więc nie zamiast), a także kontynuując regułę nieodpłatności obsługi. I nastąpiło to zarówno w wymiarze ogólnym, powszechnym (biblioteki publiczne), jak też w sferze wsparcia edukacji (biblioteki szkolne i pedagogiczne) oraz nauki (biblioteki akademickie).

Dzisiejsze biblioteki to wielokomunikacyjne konsorcja i w dodatku na tyle ze sobą wzajemnie powiązane, że prawie każdemu mogą zapewnić dostęp (w skali globalnej) do niemal całej podaży naukowej, edukacyjnej, informacyjnej oraz literackiej, w każdej obecnie istniejącej formie. No i są jedyne, które wszystko oferują za darmo. Czy ktoś policzył, jakie indywidualnie należałoby ponosić koszty? A jednak to nie wystarczyło do przezwyciężenia swegoistego odium ani powstrzymania marginalizacji bibliotekarstwa.

Górcę wzięło i trzyma bałamutne hasło, że sieć elektroniczna dostarczy wszystkim wszystko, czego potrzebują, a gdyby nie, to w odwodzie pozostaje jeszcze telewizja. O jakości takiej dostawy, o zakresie ani o wydatkach z tego tytułu dżentelmeni nie rozmawiają. Jak też: kto miałby to robić. Wychodzi jednak na to, że w rezultacie rozpoczął się jednokierunkowy proces sekowania bibliotek. U nas szczególnie intensywny i na skalę nigdzie indziej nienotowaną.

Polikwidowanych – z bezrefleksyjnej woli różnych burmistrzów i wójtów oraz ich przybocznych rad – bibliotek publicznych da się w Polsce w ostatnich latach policzyć ponad tysiąc.

Sieć nietypowych w europejskiej praktyce bibliotek pedagogicznych skurczyła się o połowę. Ile padło bibliotek akademickich, w bezpośrednim lub pośrednim następstwie ustawy 2.0, tego jeszcze nie wiadomo. A o losy około pięciu tysięcy bibliotek (dawniej) gimnazjalnych, nikt nawet nie zechciał spytać. Nie ma ich i już.

Jednak systemowa degrengolada naszego bibliotekarstwa zaczęła się na dobre od centralnej decyzji w sprawie otwierania niektórych zawodów, w tym najbardziej licznego: właśnie bibliotekarskiego (co najmniej 60 tys. osób). Definicja otwartości oznacza powszechne prawo uprawiania zawodu bez żadnych wymagań kwalifikacyjnych. W ten sposób profesja bibliotekarska została zrównana jakościowo z zajęciem babci kłozetowej albo brzuchomówcy. Ze stosownym wyzerowaniem autorytetu i z pauperyzacją zarobków. W ślad za otwarciem zawodu nastąpiła urzędowa likwidacja form pomaturalnego kształcenia zawodowego bibliotekarzy, dotychczas w Polsce całkiem przyzwoitego. Te bibliofobijne rozwiązania spowodowały, że w tej profesji (teraz paraprofesji?) prawie nikt się już nie widzi. Chyba, że musi albo brakuje mu wyobraźni. Lecz na tym jeszcze nie koniec.

Ciąg dalszy: kiepski

Nie mogło to bowiem pozostać bez niekorzystnego wpływu na biblioteczną obsługę nauki oraz oczywiście na obsługujące ją bibliotekarstwo akademickie, w którym nie wszyscy zatrudnieni muszą mieć zawodowe kwalifikacje magisterskie. Wystarczy, że wielotysięczny biblioteczny personel obsługowy zna się odpowiednio na swoich powinnościach głównych i należyście wykonuje wszystko, co tak właśnie wykonywać powinien. Ale ktoś musi tego nauczyć. No więc teraz niespodzianka: wkrótce nikogo takiego nie będzie.

Oraz zabraknie też wyższej kategorii specjalistów z zakresu bibliotekarstwa. Nie będzie mianowicie w Polsce osób z magisterskim wykształceniem bibliotekoznawczym, ponieważ bibliologia (bibliotekoznawstwo), tak jak i nauka o informacji (informatologia), z czyjejs woli przestała być dyscypliną naukową. Wyłącznie w Polsce! Zbieżność tych różnych rozwiązań wyklucza sprawstwo przypadku.

Z dwunastu ośrodków magisterskiego kształcenia bibliotekoznawców w Polsce trzy już całkowicie wyzerowano. Kolejne cztery uległy katedralizacji: weszły w skład jednostek ogólniejszych, więc mało który kandydat na studia kierunkowe zdoła je zidentyfikować. Dalsze trzy pozostają na razie w stadium metamorfoz, ale skoro dyscyplina nie istnieje, to na co można liczyć? No i jeszcze dwa uchowały się jako instytucje, ale informacji naukowej. Tymczasem nauka o informacji ma się tak do bibliotekarstwa, jak sznurowadła do butów: bez nich nie pochodzisz, ale spróbuj maszerować w samych sznurówkach.

Nie ma co więc opowiadać bajek: to jest kasacja zawodowego kształcenia bibliotekarzy na wszystkich poziomach i we wszystkich formach. W perspektywie zatem kiekuje też zanik porządnego bibliotekarstwa akademickiego oraz każdego innego. Diabli wiedzą, dlaczego akurat i wyłącznie w Polsce. No bo wszak nie może istnieć, poprawnie funkcjonować i rozwijać się zawód, specjalność, zespół umiejętności przy całkowitej eliminacji rodzimego, teoretycznego i naukowego zaplecza koncepcyjnego. Chyba, że na zasadzie cudu.

Poza tym jest jeszcze coś. Oto spośród 32 polskich naukowych czasopism bibliologicznych oraz informatologicznych, z przyznaniem przez resort nauki punktami uchowało się raptem siedem, z czego zresztą pięć to roczniki. Przypisano im minimalną wartość po 20 punktów;



rys. Sławomir Makal

wszystkim, z wyjątkiem jednego. Ten wyjątek, to rocznik „Archiwa, Biblioteki i Muzea Kościelne”, który załapał się był na 40 punktów. Nikt chyba nie wątpi, że z przyczyn wyłącznie merytorycznych. Na wszelki wypadek nie zaszkodzi dopowiedzieć, że powołany do ewaluacji tych periodyków podzespół nie miał w tym zakresie nic do gadania. Złożone, nieliczne zresztą, wnioski kwalifikacyjne zostały całkowicie zignorowane.

W dalszym etapie odbiblioteczniwania naszych uczelni następuje teraz likwidacja – niezbyt licznej, ale ważnej – elity tutejszego bibliotekarstwa akademickiego, mianowicie bibliotekarzy dyplomowanych. Na świecie jest taka, wysoko ceniona, kategoria specjalistów, którzy razem z bibliotekarzami dziedzinowymi (u nas takich nie ma), zapewniają pracownikom nauki oraz studentom optymalne warunki śledzenia całego dorobku naukowego w wymiarze globalnym, jak też archiwizacyjnego utrwalania dokonań na półkach i w chmurze (czy ktoś robi to sam?) oraz rozległego rozpowszechniania informacji naukowej. Rzeczywiście wszędzie tak jest, ale u nas zanosi się na odstępstwo. Nie upieram się, że to dobrze.

W tych dramatycznych okolicznościach daje ponadto o sobie znać – w złym sensie – istniejące od dawna rozwiązania organizacyjne. Mianowicie wśród uczelnianych, merytorycznych decydentów funkcyjnych jedynie dyrektor biblioteki głównej nie obejmuje stanowiska w trybie elekcyjnym. Powołuje go i odwołuje szef uczelni według swojego uznania. Co to ma do rzeczy? Otóż, jeżeli osoba kierująca główną biblioteką uczelnianą zacznie zgłaszać ostrzeżenia oraz mnożyć opory i kontrargumenty, to... Niby nic, ale tak się jakoś porobiło, że o dramatycznych kolejach losu naszego bibliotekarstwa akademickiego publicznych wypowiedzi nie ma. Wszystko ma swoje przyczyny.

Z innej bajki

Pora jednak na antraktowy odskok od tej jeremiady, więc na krok ku innej bajce, w dodatku realnej oraz konkretnej. To coś więcej, aniżeli światło w tunelu: już raczej silny reflektor. Ale z ograniczonym zasięgiem autonomicznym. Zatem cała sytuacja oczywiście nie zmienia.

Otóż od dłuższego czasu funkcjonuje i rozbudowuje się ogólnodostępna biblioteka digitalna Polona, licząca aktualnie ponad trzy miliony obiektów już w sieci, a każdego dnia dochodzą kolejne dwa tysiące. W ciągu ostatnich trzech lat doskanowano okrągły milion jednostek, za kwotę 82 milionów złotych, głównie z kasy Funduszy Europejskich oraz naszego resortu kultury – w ramach projektu o nazwie Patrimonium. To jest rzadkość nawet w skali europejskiej, a w kontekście smutnego portretu naszego bibliotekarstwa wydaje się wyczytnym wręcz niewiarygodnym. A jednak to prawda i w dodatku prawda imponująca.

Realizacja jest dokonaniem dwóch książnic: Biblioteki Narodowej (resort kultury – dyrektor dr Tomasz Makowski) oraz Biblioteki Jagiellońskiej (resort nauki – dyrektor prof. Zdzisław Pietrzyk). Jak widać, z niekoniernie kochających się dwóch metropolii oraz z odmiennych obszarów resortowych. Tak więc niekiedy, jeżeli jest taka wola, udaje się przełamać najrozmaitsze przeszkody, poczynić skuteczne zabiegi (takie pieniądze nie leżały i nie leżą na ulicy), przetrzymać gehennę przetargów i wdać się w przedsięwzięcia, które od samego początku wymagają wymyślenia od zera i koncepcyjnego opracowania. Ani bowiem u nas, ani gdzie indziej, nie ma odpowiednio przygotowanych biblio-informatyków (informatologia to zupełnie nie ta specjalność). Potrzebne więc było także kreatywne samouctwo – niektórzy z wykonawców to... muzykologdy – ale nade wszystko niezbędny

okazał się spontaniczny entuzjazm. No i gołym okiem widać, że był oraz jest.

Przedsięwzięcie obejmuje skanowanie i digitalizację oraz powszechną dystrybucję (przez sieć) wybranych materiałów bibliotecznych: drukowanych książek, czasopism, starodruków, rękopisów oraz innych dokumentów. Ale uwaga: tylko dopuszczonych do domeny publicznej! Zatem niedawnych, nowych i najnowszych już nie. Kto myśli, że tak można postępować ze wszystkim, ten nie ma pojęcia, o czym mówi. Materiały wprowadzone do Polony są niezwykle ważne dla niektórych procesów naukowych oraz dla części przedsięwzięć ogólnopoznawczych. Lecz przedmiotowo i zakresowo ograniczonych oraz głównie retrospektywnych.

Zatem jest to jasny, ale tylko fragment naszej bibliotecznej rzeczywistości. Jak grządka trawy na lodowcu albo bajoro na pustyni. Nie zmienia natomiast smutnej sytuacji całego bibliotekarstwa w Polsce, w tym zwłaszcza bibliotekarstwa akademickiego.

Czas regresu

To zdumiewające, jak łatwo można – bez żadnego powodu i sensu – zdemolować coś, co przynosi pożytek oraz funkcjonuje dobrze, a przynajmniej poprawnie. W dodatku psujów nikt nie powstrzymuje, nie staje przeciw nim w obronie, nawet w swoim własnym interesie. Wszystko odbywa się w ciszy. Oczywiście plamę dali oraz nadal dają sami bibliotekarze. Wszak bezgłówna, milcząca zgoda kilkudziesięciu tysięcy osób na kasację własnej profesji to jest szokujący mariaż samobójstwa z obstrukcją. Istnieje przecież kilka stowarzyszeń bibliotekarskich, lecz żadne w tej sprawie nie kiwnęło palcem. Najwyraźniej wszystkim amputowano kciuki. Dopiero niedawno kilka osób podjęło próbę powołania zrzeszenia bibliotekarzy akademickich, żeby powstrzymać postępujący regres. Teraz? Za późno co najmniej o trzy lata. Zanim coś takiego uzyska możliwość – przecież tylko wypowiadania się, nie będzie już za czym optować.

Jednak bibliotekarstwo nie istnieje samo dla siebie ani też jedynie po to, żeby bibliotekarze mieli zajęcie. W Polsce, tak jak wszędzie, wielomilionowa publiczność korzysta z bibliotek nie z tego powodu, że tak mamusi kazały, ale dlatego, że chce i ma taką potrzebę. Jej reakcji na psucie na razie nie ma, głównie z braku stosownego rozeznania. Ale w końcu sprawa się wyda.

Konkretnie zaś: bibliotekarstwo akademickie jest potrzebne (albo nie?) pracownikom nauki oraz studentom. Bez bibliotek trudno wyobrazić sobie efektywność naukowych przedsięwzięć oraz uniwersyteckiego kształcenia. Zagrożenia więc wyglądają wysoce niepokojąco. Mimo zaawansowanej biurokratyzacji naszego życia akademickiego pracownicy nauki wciąż mają na uczelniach niemałe wpływy, uprawnień decydenckich nie wykluczając. Z ich ewentualną pomocą nasze bibliotekarstwo akademickie zdołałoby jeszcze przezwyciężyć skutki fatalnych rozwiązań i decyzji oraz przetrwać czas regresu. Z szansami w przyszłości na regenerację.

Ale warunkiem jest aktywne i jednoznaczne wsparcie ze strony społeczności akademickiej. Trudne do pozyskania w wymiarze wspólnoty, bo w epoce powszechnej smartfonizacji coś takiego jak opinia publiczna ulega zamazaniu. Lecz przecież w rzeczywistości nie znika. Trzeba ją jednak zaktywizować. Natomiast przy biernej obojętności oraz przeświadczeniu, że elektroniczna sieć wszystko zagwarantuje sama, nie ma na co liczyć. Regres połknie to, co połknąć zdoła.

Prof. dr hab. em. Jacek Wojciechowski, Kraków

Jak odrodzić kształcenie bibliotekarzy

Aby poprawić postrzeganie zawodu bibliotekarza, studiów bibliotekoznawczych i tym samym przyczynić się do wzrostu zainteresowania kandydatów studiami w tym zakresie, nie wystarczy jednak modernizacja programów studiów. Potrzebne jest szerokie społeczne wsparcie.

W swoim tekście prof. Jacek Wojciechowski poruszył bardzo ważny problem obecnej sytuacji w polskim bibliotekarstwie. Przedstawiony w nim stan jest nie tylko prawdziwy, lecz wręcz przerażający, jeśli na poważnie myślimy o przyszłości naszych dzieci, o ich roli w dorosłym życiu.

Przede wszystkim konieczne jest przypomnienie oczywistej, wydawałoby się, sprawy, że biblioteki to nie tylko zbiory, lokal i wyposażenie, ale w głównej mierze ludzie w nich pracujący, od których zależy i wizerunek, i efektywność tych placówek. I zastanawiając się nad sytuacją polskiego bibliotekarstwa, nie wolno nie dostrzegać czy pomijać sprawy związane z bibliotekarzami, ich kwalifikacjami i kompetencjami.

Na początek należy zwrócić uwagę na powody, które doprowadziły do widocznej dziś zapaści polskiego bibliotekarstwa. Dopiero analiza związków przyczynowo-skutkowych pozwoli na rozpoznanie tych zależności, złożoności problemu i będzie podstawą do wyznaczenia dalszych działań, które mogłyby doprowadzić do poprawy tej nieudolnej i niebezpiecznej sytuacji oraz przysłużyć się do odbudowy kształcenia kadr do bibliotek.

Wydaje się, że podstawową przyczyną złej kondycji bibliotekarstwa w Polsce jest negatywny stosunek społeczeństwa do edukacji, w której ważną rolę odgrywa czytanie i kontakt ze słowem pisanym, upowszechnianie się bylejakości, brak rzetelnej wiedzy, promowanie wzorców obywateli znających się na wszystkim i na niczym, chodzących „na skrót” i robiących karierę bez niezbędnych kwalifikacji i kompetencji. Choć w profesjonalnych kręgach podkreśla się znaczenie czytania w rozwoju człowieka, to w szerszym odbiorze mało kto rozumie i dostrzega, że poziom czytelnictwa przekłada się (jak pokazują to np. badania przeprowadzone w Danii) na wyniki gospodarcze i stan demokracji w państwie. Warto przypomnieć, że w bliskich nam geograficznie krajach skandynawskich wskaźnik czytelnictwa jest najwyższy na świecie. Czytelnictwo rozwijają tam przede wszystkim biblioteki publiczne. Prężnie działające biblioteki innych sieci, np. naukowe czy narodowe, mają inne zadania do spełnienia, choć oczywiście włączają się w różne akcje popularyzujące książkę i inicjują

przedsięwzięcia w tym zakresie. Tym samym czytelnictwo, a także kształcenie obywateli i przygotowanie ich do życia, są silnie powiązane z działaniami bibliotek. I nie ma tam potrzeby tłumaczyć mieszkańcom, jaka jest rola bibliotek. Są one bowiem obecne w codziennym życiu, w pełni urzeczywistniają koncepcję amerykańskiego socjologa Raya Oldendurga o bibliotece jako trzecim miejscu, neutralnej przestrzeni, w której mogą się uczyć, zdobywać różnorodne informacje potrzebne do codziennego funkcjonowania, a także rozwijać swoje pasje i służyć rozrywce.

Nie są to tylko ładnie brzmiące stwierdzenia. Badania Europejskiego Biura Stowarzyszeń Bibliotek i Dokumentacji (EBLIDA) pokazują, że Finowie w przeliczeniu na liczbę mieszkańców należą do najaktywniejszych użytkowników bibliotek. Znaczenia tych placówek dowodzą także wyniki badań PISA (Programme for International Student Assessment), prowadzone przez OECD. Wynika z nich, że poziom alfabetyzacji i czytelnictwa w Finlandii jest jednym z najwyższych na świecie. Władze oświatowe Finlandii skomentowały wprost, że wynik zawdzięczają sprawnie działającym bibliotekom publicznym i profesjonalnym bibliotekarzom rozwijającym czytelnictwo. Warto podkreślić, że biblioteki publiczne uznawane są przez Finów za najbardziej lubiane instytucje kultury, a Szwedzi, tak użytkownicy, jak i organizatorzy bibliotek, uważają je za dobry społecznie biznes. Potwierdzeniem pozytywnego stosunku do bibliotek jest także otwarcie w 2019 r. w Helsinkach, w centrum miasta, nowoczesnej biblioteki Oodi, traktowanej jako prezent dla narodu z okazji uczczenia niepodległości Finlandii. Ma ona symbolizować fińskie ideały cywilizacyjne, ale również podkreśla wyjątkowy stosunek władz i społeczeństwa do bibliotek. To właśnie mieszkańcy zdecydowali, aby środki pochodzące z budżetu partycypacyjnego przeznaczyć na tę bibliotekę. W przeszłości również, kiedy z powodu kryzysu ekonomicznego pojawiały się myśli o likwidacji niektórych z nich, społeczeństwo skutecznie stanęło w ich obronie.

Podobna sytuacja ma miejsce w innych krajach skandynawskich. Mieszkańcy i władze rozumieją, że zaniechanie czyteln-

nictwa jest groźne dla demokracji, ogranicza kształtowanie się świadomego społeczeństwa obywatelskiego, aktywnie uczestniczącego w życiu publicznym. Dostrzegają, że czytelnictwo korzystnie wpływa na poziom innowacyjności obywateli, poszerza ich horyzonty, ale także łagodzi obyczaje i zwiększa empatię.

W Polsce nie zauważa się korelacji między poziomem czytelnictwa, jakością życia i demokracją a stanem bibliotek. Choć wielokrotnie wypowiedane są stwierdzenia o znaczeniu czytania dla rozwoju człowieka, często w powiązaniu z informacjami o spadku czytelnictwa w naszym kraju (ok. 60% Polaków nie czyta), to niestety bardzo rzadko wiąże się poziom i stan czytelnictwa z bibliotekami, ich sytuacją, efektywnością pracy i zatrudnionymi w nich bibliotekarzami.

Niezbędni ludzie odpowiednio wykształceni

Konieczne jest dostrzeżenie u nas, tak jak w przywoływanych przykładach skandynawskich, znaczenia bibliotek, także cyfrowych, dla wyrównywania poziomu kształcenia i zmniejszania dystansu w dostępie do wiedzy i informacji w małych ośrodkach, środowiskach osób wykluczonych, co pozwoli na ujednolicenie szans dla wszystkich w dostępie do osiągnięć naukowych, myśli technologicznych i zwiększenie szans na rynku pracy także w skali globalnej. Dobrym wzorcem zaczerpniętym z krajów o wysokiej kulturze bibliotecznej może być rozwijanie bibliotek jako lokalnych centrów informacji, odpowiednio wyposażonych, także technologicznie, umożliwiających dostęp do różnorodnych zasobów, zapewniających pomoc w odrabianiu lekcji, realizacji swoich zainteresowań i pasji.

Niezbędni są zatem ludzie odpowiednio wykształceni, bibliotekarze mogący twórczo realizować i organizować narodowe programy rozwoju czytelnictwa (drukowanego i cyfrowego), rozumiejący długofalowe dobroczynne i społeczne skutki czytelnictwa. Potrzebujemy nowoczesnie wykształconych kadr, które będą rozumiały i potrafiły wykorzystać synergię połączonego potencjału różnych instytucji kultury, bibliotek, także cyfrowych, bo to także biblioteki. Ktoś musi wiedzieć, jak skutecznie prowadzić dystrybucję „cyfrowych plików”, by miały wagę informacyjną, treściową, zostały zauważone, mogły być wykorzystane. Bibliotekarz-amator i odbiorca-amator to groźna sytuacja. Może warto przypomnieć nadal aktualną, choć rzadko dziś przywoływaną sentencję z czasu pierwszych komputerów „Garbage In – Garbage Out”? Profesjonalnie przygotowani bibliotekarze potrafili oczyścić obszary aktywności użytkowników, czytelników z tych „śmieci”. Nie na darmo mówi się dziś o potopie czy przeciążeniu informacyjnym, którego przyczyną nie jest jedynie masowa produkcja informacji, lecz także, a może przede wszystkim, brak indywidualnych zdolności do selekcjonowania informacji i niewystarczające wsparcie ze strony zbyt małej liczby dobrze przygotowanych do zawodu bibliotekarzy i pracowników informacji.

Taki profil wykształcenia zapewniały tylko studia bibliotekoznawcze, szczególnie dobrze przyjmowane i oceniane przez studentów – czynnych zawodowo bibliotekarzy. Zawisła nad nami groźba wygaszenia tych studiów w całym kraju, podczas gdy w innych krajach bibliotekarstwo i bibliotekoznawstwo przeżywa renesans powodowany i technologiami informacyjnymi, i rozwojem społeczeństw obywatelskich, i potrzebą stymulowania innowacyjności.

Szkodliwe dla zawodu, samych bibliotek i akademickiego kształcenia bibliotekarzy jest publiczne ośmieszanie zawodu, także prezentowanie wypaczonego wizerunku bibliotekarzy/

bibliotekarek (siwa, zaniedbana, zazwyczaj starsza pani w okularach i przydeptanych kapciach), podczas gdy np. w fabularnych filmach amerykańskich biblioteka jest często obecna w życiu różnych społeczności (też zakładów karnych), podkreślana jest ich przydatność do rozwoju osobowości, ale także jako forma spędzania wolnego czasu, jako miejsce w którym bywanie nie jest wstydliwie ukrywane, lecz uważane za sprawę zupełnie naturalną.

Program odbudowy społecznego wizerunku

Pozycji i prestiżowi zawodu bibliotekarza nie sprzyja także bardzo niskie uposażenie bibliotekarzy, kształtujące się często poniżej średniej krajowej. W zawodzie pozostają wielcy pasjonaci lub ci, którzy nie mają możliwości znalezienia innej pracy z różnych powodów, czy też mają bogatych współmałżonków, tolerujących zawodowe „fanaberie” partnera.

Dziś należałoby stworzyć program odbudowy społecznego wizerunku i prestiżu bibliotek i bibliotekarzy, zaczynając od bibliotekarstwa publicznego, jego udziału w budowaniu kapitału społecznego wokół bibliotek, partnerstwa lokalnego itp. To jest zadanie i wyzwanie na przykład dla Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich.

W Polsce na biblioteki zbyt często patrzy się stereotypowo i przez pryzmat pewnej, niewielkiej liczby przykładów negatywnych. I trzeba walczyć z tym stereotypem. W warunkach polskich, w wyniku deregulacji zawodu, do pracy w bibliotekach trafiają w zasadzie wszyscy, którzy chcą tam podjąć pracę – bez znaczenia, czy mają kompetencje, czy też nie, bo panuje przekonanie, że do wykonywania obowiązków bibliotekarskich mogą się przyuczyc szybko i przyswoić to, co się składa na kompetencje bibliotekarza, uprawniające go do zajmowania określonego stanowiska.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że praca w bibliotekach, zwłaszcza w dużych, czy to naukowych, czy publicznych, stała się często synekurą dla osób niemających przygotowania bibliotekarskiego, możliwością znalezienia pracy „cichiej, milej i przyjemnej, w dodatku w pobliżu domu”. I w wielu bibliotekach panuje wśród dyrekcji przekonanie, że każdy do wykonywania tej pracy będzie się nadawał, jeśli nawet nie na początku, to nauczy się tego szybko.

I tu znów należy powtórzyć, że w bibliotekach od zawsze istniały stanowiska, które wymagały innego niż bibliotekarskie przygotowania zawodowego. I jest to prawidłowość, której nikt poważnie myślący o bibliotekach, o ich organizacyjnej sprawności, nie zamierza kwestionować. Wykorzystanie specjalistycznych kwalifikacji odpowiadających specyfice danej biblioteki, danego działu (np. przy opracowaniu zbiorów), realizacji specjalnych zadań będzie tylko poprawiało jakość i efektywność pracy danej biblioteki. Jednak na stanowiskach bibliotekarskich powinny pracować osoby mające kwalifikacje bibliotekarskie. A specjaliści z innymi niż bibliotekarskie (akademickie) kwalifikacjami w bibliotekach nie powinni stanowić dominującej większości, funkcjonującej obok tych właśnie profesjonalnych bibliotekarzy. I taka sytuacja ma miejsce na świecie, a szczególnie to widać w krajach, które są w czołówce światowego bibliotekarstwa, jak kraje skandynawskie, Holandia czy kraje Ameryki Północnej. Także wypowiedzi i prezentacje na dorocznych kongresach IFLA pokazują, że nawet w krajach azjatyckich, np. w Malezji, aby zostać zatrudnionym na stanowisku bibliotekarza, trzeba mieć właściwe do tego przygotowanie, czyli ukończone studia bibliotekoznawcze. Także przy ubieganiu się o stanowisko kierownika/dyrektora biblioteki wymagane jest wykształcenie kierunkowe lub – w przypadku innego niż bibliotekoznawcze – konieczne jest uzupełnienie go o sto-



sowne studia podyplomowe czy kursy z tego zakresu o przepisywanej liczbie godzin.

Jeszcze mamy od kogo się uczyć

Należy się także zastanowić nad interesem społecznym związanym z przyuczaniem do zawodu osób bez kwalifikacji, czy nie marnujemy czasu i naszych społecznych pieniędzy na przygotowanie nowych adeptów do zawodu. Dziś w bibliotekach jeszcze mamy od kogo się uczyć: od tych starszych stażem bibliotekarzy, których już za chwilę nie będzie, gdy odejdą na emeryturę. Jeśli zależy nam, nie tylko w sferze werbalnej, na jakości życia społeczeństwa i przyszłości naszych dzieci, to wykształconych bibliotekarzy nie może zabraknąć. I trudno zgodzić się z głosem, że „wykształcony bibliotekarz to oksymoron”, bo może być nim każdy, kto ma wykształcenie co najmniej średnie i przeciętny poziom inteligencji.

Myszę, że warto zadać sobie, nam, retoryczne pytanie: jak w bliższej lub dalszej przyszłości biblioteki polskie będą współpracować z bibliotekami innych krajów UE i państw spoza niej, jeśli nie będziemy potrafili z powodu braku profesjonalistów włączyć się w międzynarodowy dialog, nie będziemy znali i zachowywali norm i standardów, jeśli nasi bibliotekarze z powodu braku fachowej wiedzy nie będą rozumieli płynącego do nich przekazu itd. To jeszcze jeden obszar, w którym jako państwo spychamy się na obrzeża życia wspólnotowego. Czy w którymkolwiek państwie UE, poza Polską, zawód bibliotekarza jest „uwolniony”? Nie każdy, kto pracuje w bibliotece, jest bibliotekarzem, ale każdy, kto jest bibliotekarzem, musi legitymować się wiedzą, umiejętnościami i kompetencjami typowymi dla tego zawodu. Studia bibliotekoznawcze (z całą świadomością ułomności studiów w ogóle) były formą nabywania i weryfikacji wiedzy i umiejętności profesjonalnych. Egzamin państwowe także. Obecnie zmierzamy w kierunku modelu, w którym nie ma sformalizowanych sposobów nabywania wiedzy ani weryfikacji wiedzy nabytej w innych warunkach. Wsobne uznawanie kwalifikacji jest nietransparentne i nieporównywalne.

Szukając przyczyn zapaści w polskim bibliotekarstwie, należy się także zastanowić nad tym, czy my, środowisko bibliotekarzy, nauczycieli akademickich, organizacji pozarządowych o charakterze zawodowym czy naukowym, robimy wszystko, aby promować ten zawód, pokazywać jego społeczną misję i użyteczność dla rozwoju naszego społeczeństwa, budowy dobrobytu, podnoszenia naszych szans na rynkach pracy czy dla zachowania naszego kulturowego dziedzictwa. Czy sami nie deprecjonujemy tego kierunku studiów, czy walczymy o niego, lobbujemy w celu uzyskania wsparcia władz uczelni, wydziału, samorządu, państwa, czy z dużą łatwością na bazie dotychczasowych zasobów kadrowych w dawnych instytutach (katedrach) kształcących bibliotekarzy nie tworzymy nowych kierunków dających iluzoryczne wrażenie, że przygotowują kandydatów do zawodu bibliotekarza, choć nie ma w nich treści przydatnych do pracy bibliotekarza, raczej dla specjalisty-niebibliotekarza, jak to wynika np. z opisu sylwetki absolwenta. A rozmowy z dyrektorami bibliotek pokazują, iż coraz częściej dostrzegają oni potrzebę zatrudniania bibliotekoznawców, a nie jakichkolwiek absolwentów studiów magisterskich czy licencjackich na stanowiska bibliotekarskie.

Opracowanie programu studiów bibliotekoznawczych

W efekcie przedstawionych przyczyn obserwujemy wśród potencjalnych kandydatów spadek zainteresowania podej-

mowaniem studiów na kierunku bibliotekoznawstwo. Zdajemy sobie sprawę z potrzeby modyfikacji programów nauczania, tak by odpowiadały potrzebom i oczekiwaniom bibliotek, ale również, aby były atrakcyjne dla kandydatów, a zawód oferowany po ich ukończeniu cieszył się prestiżem. Czasem pojawiają się głosy, że uczelnie wyposażają absolwentów w mało przydatną wiedzę teoretyczną, ale tu właśnie potrzebne jest sprzężenie zwrotne, doskonalenie praktyk zawodowych dla studentów, organizowanych przez biblioteki i pokazujących arkana pracy bibliotecznej, aby mogli teorię łączyć z praktyką. Choć w 2013 pojawiła się próba wypracowania pożądanego od bibliotekarzy kwalifikacji i kompetencji, to z różnych przyczyn nie przyniosła ona spodziewanych rezultatów. Tym samym w niewielkim stopniu przyczyniła się do modernizacji kształcenia, zwłaszcza że w wielu uczelniach kierunki informacji naukowej i bibliotekoznawstwa po prostu przestały istnieć. Konieczna jest jednak intensywniejsza współpraca z władzami bibliotek i środowiskiem, by artykułowały swoje potrzeby, a uczelnie przygotowały spełniające je programy. To może sprawić, że społeczeństwo będzie lepiej postrzegało zawód i studia w tym zakresie.

Jest to także moment, by państwo polskie zechciało choćby w jednej uczelni, na przykład na Uniwersytecie Warszawskim, „zamówić” opracowanie programu studiów bibliotekoznawczych na europejskim poziomie, może we współpracy z jakimś ośrodkiem akademickim w UE? Mamy cotutelle (doktorat międzynarodowy, pisany na dwóch uniwersytetach) na poziomie studiów trzeciego stopnia, dającego w dobre wzmaganie uznawania kwalifikacji nie pomyśleć o czymś na wzór cotutelle na poziomie studiów pierwszego czy drugiego stopnia?

Aby poprawić postrzeganie zawodu, studiów bibliotekoznawczych i tym samym przyczynić się do wzrostu zainteresowania kandydatów studiami w tym zakresie, nie wystarczy jedynie modernizacja programów studiów. Potrzebne jest szerokie społeczne wsparcie. Samych bibliotekarzy bowiem nikt nie posłucha i nie umie się za zawodem, kondycją i stanem bibliotek. Nikogo nie wzruszy, i tym samym nie przyniesie żadnego efektu, np. protest czy strajk bibliotekarzy, zwłaszcza że w naszym kraju nie jest to dobry czas dla bibliotek, a podaż kandydatów (z kwalifikacjami czy bez) chętnych do pracy jest większa niż popyt. Myszę, że również powrót do regulacji zawodu, a także poprawienie sytuacji ekonomicznej bibliotekarzy przyczyniłyby się w istotny sposób do przyciągnięcia na studia kandydatów do zawodu bibliotekarza.

W tej krótkiej wypowiedzi na temat sytuacji w zakresie bibliotekarstwa i kształcenia bibliotekoznawczego starałam się ukazać różne istotne związki zachodzące między różnymi przyczynami, by pokazać źródło obecnej sytuacji a także złożoność problemu. Ich rozwiązanie, przy aktywizacji środowiska, ale koniecznie przy społecznym zrozumieniu społeczeństwa i władz, może przynieść efekt w postaci rozkwitu polskiego bibliotekarstwa, podniesienia poziomu edukacji i dostępu do kultury, wzrostu czytelnictwa i wszystkich tych osiągnięć, o których była mowa w kontekście skandynawskim. Wówczas także będzie duża szansa na odrodzenie akademickiego kształcenia bibliotekarzy.

Prof. dr hab. Elżbieta Barbara Zybort, bibliolog.

Przez dwie kadencje dziekan Wydziału Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego, obecnie kierownik Katedry Badań nad Bibliotekami i Innymi Instytucjami Kultury Wydziału Dziennikarstwa, Informacji i Bibliologii UW.

Wiekowi profesorowie „z ograniczeniem”

Wiele zależy od tego, jak wiekowy profesor funkcjonował wcześniej, jaką miał i ma pozycję naukową, doświadczenia i przyzwyczajenia, a przede wszystkim jaką miał i ma osobowość. Wyróżnię dwa typy wiekowych profesorów, tj. profesora „uwolnionego” i profesora „uzależnionego”.

Minęły czasy, gdy starców usuwano z plemiennej wspólnoty w taki sposób, aby nie mogli sięgać łyżką do kotła, skoro nie byli w stanie do niego dołożyć. Jednak coś z tych obyczajów pozostało nawet w środowisku akademickim. Potwierdzeniem są m.in. zapisy Ustawy 2.0 ograniczające uprawnienia 67-latków+. Do zabrania głosu w tej kwestii ośmielają mnie pojawiające się głosy sprzeciwu wobec tego ograniczenia. Sprawa jest dyskusyjna. Spróbuję spojrzeć na ten problem z różnych punktów widzenia. Nie twierdzę przy tym, że moje uwagi są w pełni obiektywne.

Punkty widzenia obrońców wykluczenia

Prezentowane były one nie tylko podczas środowiskowych dyskusji nad projektem Ustawy 2.0, ale także w komisjach parlamentarnych i broniłoby tak skutecznie, że od tego swoistego „muru” odbijały się wszystkie argumenty krytyków wykluczenia z uwagi na wiek. Niestety nie udało mi się znaleźć żadnego przekonywującego argumentu za jego utrzymaniem. Pozostaje mi zatem zdanie się na domysły.

Być może autorzy zapisu wychodzili z założenia, że Polska jest lub wkrótce będzie potęgą naukową w grupie młodszych pracowników naukowych i może sobie pozwolić na ograniczenie udziału w życiu akademickim wiekowych profesorów; a stanowią oni przecież sporą część akademickiej społeczności (nie od dzisiaj wiadomo, że średnia wieku tytularnego profesora jest w naszym kraju wysoka). Takie myślenie świadczyłoby jednak o słabej znajomości realiów naszego środowiska.

Nie można także wykluczyć, że autorzy wychodzili z założenia, iż generalnie środowisko to jest na „nie” wobec rządzących w naszym kraju, a główną siłą napędową sprzeciwu są różnego rodzaju „lewacy”, w tym tzw. postkomuniści. Do takiego przypuszczenia skłaniają mnie wypowiedzi niektórych polityków. O ile jednak w przypadku polityków takie mówienie może mieć pewne uzasadnienie (rzecz jasna, polityczne), to w przypadku osób sprawujących władzę nad nauką i szkolnictwem wyższym w Polsce jest ono trudne do obrony. W każdym razie stanowi zbyt daleko idące uogólnienie. Natomiast w części dotyczącej postkomunistów jest zasadniczo nietrafne. Osoby

te bowiem powinny wiedzieć, że w środowisku akademickim występuje duże zróżnicowanie opcji światopoglądowych i ideowych, a postkomuniści stanowią w nim gatunek na wymarcie (i nie bardzo widać chętnych do jego obrony). Niedowiarkom sugerowałbym lekturę książki Marii Libiszowskiej-Żółtkowskiej *Wiara uczonych*; przyznam, że również byłem zaskoczony tym, jak tradycjonalistyczne są wierzenia zdecydowanej większości polskich profesorów.

Nie można w końcu również wykluczyć, że autorzy tego zapisu przyjmowali założenie nie o bogactwie polskiej nauki, lecz o jej biedzie, i uznali, że skoro „bochenek” jest tak mały i nie da się go cudownie rozmnożyć, to należy go pozostawić do podziału przede wszystkim młodym, aby ewentualnie w przyszłości coś pożytecznego zrobili dla nauki. To założenie wydaje mi się prawdopodobne. Jednak jest ono stosunkowo najbliższe wspomnianym na wstępie plemiennym praktykom.

Punkty widzenia młodych uczonych

Odpowiedz na pytanie, kto jest, a kto nie jest młodym uczonym, nie jest i nie może być na tyle jednoznaczna, aby nie wywoływała dyskusji. Nawet ministerialni urzędnicy mają z tym pewien kłopot. Jeszcze do niedawna w świetle ich rozporządzenia była to osoba, która nie ukończyła 35. roku życia, a obecnie oznacza osobę, której nie upłynęło osiem lat od obrony doktoratu; a można go przecież bronić nawet w zaawansowanym wieku. Dyskusyjne jest również przyjęcie kryterium młodego samopoczucia i zachowania, jakby się miało legitymację do wypominania wiekowym profesorom, że w gruncie rzeczy nie ma z nich w nauce wielkiego pożytku. Zdarza się, że młodzi lub względnie młodzi uczeni mówią to profesorom niemal otwarcie; np. poprzez publiczne przedstawienie takiego wykazu osiągnięć naukowych, z którego wynika, że efektywność profesury radykalnie spada po przekroczeniu określonego wieku (członkowie senatu mojej uczelni zapewne się orientują, o kim myślę). Mają oni jednak wiele innych okazji, aby dać to do zrozumienia, np. pokazując nieporadność profesury w poruszaniu się po internetowych stronach lub w budowaniu pozycji naukowej poprzez podwyższanie wskaźnika Hirscha.



Fot. Stefan Cechan

W czasach gdy rządy sprawowała tylko jedna „śluszna” partia i tylko jedna „prawdomówna” telewizja, pojawiło się powiedzenie, że jeśli coś nie jest pokazywane, to jakby nie istniało. Dzisiaj przez niejednego z młodych uczonych podobnie traktowany jest internet i kreowanie wspomnianego wskaźnika cytowań. Wypowiadałem się szerzej na temat takiego podejścia do nauki i uczonych przy innych okazjach. Dopowiem zatem jedynie, że w nauce (i nie tylko zresztą w niej) nie można żyć wyłącznie lub głównie wirtualną rzeczywistością. Nie tylko dlatego, że istnieje nie mniej ciekawy od niej świat rzeczywisty, ale także, a nawet przede wszystkim dlatego, że zadaniem nauki jest badanie w pierwszej kolejności rzeczywistego świata.

Punkty widzenia wiekowych profesorów

Postrzeganie i ocenianie ustawowego ograniczenia 67-latków+ przez samych profesorów jest mi stosunkowo bliskie. W końcu zawodowe funkcjonowanie przez kilkadziesiąt lat w środowisku akademickim robi swoje i daje okazję do niejednej obserwacji. Co najmniej jedna kwestia wydaje mi się bezdyskusyjna: wiekowi profesorowie różnie postrzegają i oceniają ograniczenie wiekowe. Są tacy, którzy nie tylko potrafią w tym znaleźć strony pozytywne, lecz także dojść do wniosku, że przeważają one nad negatywnymi. Są jednak również tacy, którzy znajdują w nim wyłącznie lub głównie negatywy. Wiele zależy od tego, jak wiekowy profesor funkcjonował wcześniej, jaką miał i ma pozycję naukową, doświadczenia i przyzwyczajenia, a przede wszystkim jaką miał i ma osobowość.

Wyróżnię dwa typy wiekowych profesorów, tj. profesora „uwolnionego” i profesora „uzależnionego”.

Profesor „uwolniony”

Jest to profesor, który na mocy Ustawy 2.0 „uwolniony” został nie tylko od sprawowania funkcji kierowniczych na uczelni, ale także od zabiegania o przychyłność i poparcie tych, od których zależy powierzanie mu tych obowiązków. Dla jednych może to stanowić powód do zmartwień, natomiast inni wręcz przeciwnie – mogą uznać, że w końcu nie muszą się tłumaczyć, dlaczego nie podejmują tych obowiązków. Takich profesorów można znaleźć m.in. wśród zawdzięczających naukowe osiągnięcia przede wszystkim sobie, tj. swojej pomysłowości, pracowitości, odporności na zniechęcenia i pokusy lekkiego życia, stosunkowo niedużej wrażliwości na słowa uznania i komplementy ze strony bliższego i dalszego otoczenia. Lista cech osobowościowych nie jest kompletna. Jednak nawet te wskazane mogą budzić wątpliwości, czy tacy profesorowie w ogóle istnieją, lub też podejrzanie, że są to „oryginały”, które wywołują wprawdzie zaciekawienie otoczenia, ale raczej nie stanowią wzorca do naśladowania dla przeważającej części akademickiej społeczności. Z tym ostatnim zresztą się zgadzam.

Problem jednak nie tyle w masowości występowania profesorów „uwolnionych”, co w korzyściach, które osiągają oni z kulturowania przez lata cech osobniczych. Ponieważ dla takiego profesora ustawowe ograniczenie może być faktycznie uwolnieniem od wykonywania obowiązków, w których wypełnianiu nie znajdował zawodowej satysfakcji. Jaką bowiem można mieć przyjemność z podpisywania tytułu dokumentów, że nawet nie ma czasu na zapoznanie się z ich treścią, czy też z wysiadania na posiedzeniach rad naukowych i komisji, gdy dyskutowane są mało interesujące kwestie.

Dla tego typu profesora powodem do zadowolenia mogłoby być również uwolnienie od obowiązku opiniowania wniosków w procedurach o nadanie stopnia lub tytułu naukowego (niestety, mało kiedy osób legitymujących się dorobkiem naukowym z najwyższej półki). Nie ma jednak tak dobrze. Regulacje prawne bowiem nie tylko nie dopuszczają takiego rozwią-

zania, ale nawet skracają do kilku tygodni okres, w którym powinna być sporządzona ocena dorobku i przewidują sankcje za niewywiązanie się z tego obowiązku. Jest w tym nawet pewna logika. Skoro bowiem profesor został pozbawiony pełnoprawnego uczestnictwa w radach naukowych i pełnienia uczelnianych funkcji kierowniczych, to powinien mieć motywację do wykazania pożyteczności w postępowaniach awansowych. Ta logika opiera się jednak na dyskusyjnym założeniu, że profesor „uwolniony” wybierze taki sposób wykazywania swojego pożytku w nauce lub skusi go finansowa gratyfikacja.

Profesor „uzależniony”

Do tego typu profesorów zaliczam nie tylko uzależnionych mentalnie od pełnienia funkcji kierowniczych czy udziału w różnego rodzaju radach i komisjach, lecz także uzależnionych w swojej naukowej karierze od pomocy przełożonych i współpracowników. Ten sposób pokonywania kolejnych progów kariery zawodowej generuje różnorakie zobowiązania, a także więzi międzypersonalne, które można nazwać „sztafetą pokoleń”. Teoretycznie „pałeczka” w „sztafecie” powinna być przekazywana bezproblemowo. Jednak w praktyce zdarza się, że profesorowie zasłużeni w osiągnięciach „sztafety”, ale z uwagi na wiek zmuszeni do przekazania „pałeczki” młodszym, mocno się przed tym bronią. Podejmę próbę wskazania przynajmniej niektórych motywacji takiej postawy oraz odpowiem na pytanie o pożytki z nich dla nauki.

Motywacje mogą być i bywają różne: począwszy od prozaicznych, jak wynagrodzenie za pracę na dotychczasowym stanowisku, a skończywszy na drażliwych, jak kwestia prestiżu i liczenia się z opinią wiekowego profesora. Istotne jest przy tym, aby miał on możliwość przedstawienia swojej opinii, aby brano ją poważnie pod uwagę i aby miała ona wpływ na decyzje w kwestiach istotnych dla nauki.

Nie chodzi wyłącznie o tzw. swobodę wypowiedzi. Ta bowiem w praktyce występuje, a nawet czasami wystawia na próbę cierpliwość słuchaczy. Byłem świadkiem sytuacji, w których wiekowy profesor zabierał głos na spotkaniach naukowych, a audytorium zmuszone było wysłuchać długiej mowy (ponoć gadulstwo przychodzi z wiekiem), jednak bez zainteresowania. Natomiast prowadzący obrady coraz częściej spoglądał na zegarek i bezskutecznie apelował o dyscyplinę czasową. Jedynie nieliczni uczestnicy spotkania słuchali wypowiedzi profesora uważnie; przypuszczam, że byli to jego współpracownicy lub liczący się z tym, że może on być opiniodawcą w ich procedurze awansowej.

Nie chcę powiedzieć, że w gruncie rzeczy nie ma poważniejszych pożytków z wystąpień wiekowych profesorów. Większe widziałbym jednak w koncentrowaniu się na pracy badawczej i publikowaniu wyników w książkach, które nie są kolejną wersją kilku poprzednich. Być może dla niektórych młodych pracowników naukowych będzie pewnym zaskoczeniem, że wiekowi i aktywni naukowo profesorowie jeszcze istnieją. Znam dwóch takich. Jestem jednak przekonany, że jest ich znacznie więcej.

* * *

Zastanawiałem się, do którego typu profesorów mógłbym zaliczyć siebie. Chciałbym oczywiście należeć do pierwszego, bowiem wypada on lepiej niż drugi. Jednak moje krytyczne wypowiedzi (zresztą nie pierwsze) na temat ustawowego ograniczenia uprawnień wiekowych profesorów wskazywałyby na przynależność w większym stopniu do typu profesorów „uzależnionych” niż „uwolnionych”. Przyznam, że próbuję zachować również niektóre cechy tych drugich. Jednak nie jest to łatwe.

Oskar Kopczyński

Patologie w akademickim świecie

Autorka tej książki oddaje głos doktorantom (również sobie samej), by mogli samodzielnie wyrazić niekiedy dość stanowcze, brutalnie szczere opinie na temat osobistych doświadczeń w środowisku akademickim.

Książka *Koszmar doktoratu* (Łódź 2020) porusza tematykę patologii na studiach doktoranckich w polskich uczelniach. Poza przedmową i posłowiem stanowi zbiór szesnastu niedługich wywiadów z osobami, które podczas własnych studiów doktoranckich zetknęły się z różnego rodzaju nadużyciami ze strony promotorów, utrudniającymi lub uniemożliwiającymi zdobycie stopnia, a w niektórych przypadkach naruszającymi dobra osobiste rozmówców. Ich personalia zostały zmienione, a jeden wywiad to zakamuflowana historia samej autorki.

Nadużycia na uczelniach często stanowią w środowisku tajemnicę poliszynela, nieznaną jednak szerzej poza światem akademickim. *Koszmar doktoratu* wyciąga niektóre niepochlebne sprawy na światło dzienne, przedstawiając szerszej publiczności arkaną życia akademickiego. Doktorat w założeniu jest wstępem do kariery naukowej, inicjacją w specyficznym środowisku naukowców z danej dziedziny. Powinien być więc ambitnym i wymagającym wyzwaniem, tak by jego obrona stanowiła potwierdzenie przynależności do stosunkowo wąskiej elity intelektualnej. Jak jednak pokazują historie opisane w książce, owa inicjacja często przebiega w sposób wypaczający jej opisany w poprzednim zdaniu sens. O osiągnięciu stopnia naukowego, a zarazem możliwości kontynuacji kariery naukowej często decydują nie tyle przymioty intelektualne oraz wysiłek włożony w pracę nad naukowym projektem, ile czynniki zupełnie pozamerytoryczne, niekiedy wychodzące poza granice przyzwoitości lub prawa. O przyznaniu lub odmowie przyznania stopnia, miast obiektywnej oceny pracy, decydują często osobiste układy promotora z doktorantem i kolegami w środowisku akademickim.

Poczucie ducha wymiany korespondencji

Dobrą ilustracją stanowi przedmowa. Po ogólnym przedstawieniu celu książki został tam przedstawiony problem roli pro-

motora. Jest to dość skomplikowane zagadnienie zasługujące na szerszą dyskusję, autorka jednak, po krótkim omówieniu słownikowej definicji, zdecydowała się zaprezentować osobistą historię, na podstawie cytowanej korespondencji e-mailowej z promotorem, z komentarzami opisującymi kontekst.

Historia ta pokazana jest w przedmowie od strony czysto formalnej, naukowej, przy czym autorka zaznacza, że przyczyny takiego, a nie innego zachowania promotora miały charakter nieformalny, osobisty. Od tej drugiej strony historia opowiedziana jest w sposób anonimowy w jednym z wywiadów.

Uważam przytoczenie korespondencji za kapitalny pomysł, bezpośrednio ukazujący, jak wyglądają relacje między doktorantem a promotorem występującymi w ich formalnych rolach. Jest to bardzo dobry wstęp do dalszych historii, w których temat tych relacji, zarówno od strony formalnej, jak i nieformalnej, zostanie rozszerzony. Aby w pełni poczuć ducha wymiany korespondencji między doktorantem a promotorem, trzeba się samemu znaleźć w tej pierwszej roli, jednak kome-

tarze autorki wyjaśniające kontekst, niekiedy dwuznaczność przekazu i treści między wierszami, stanowią dobre wprowadzenie, objaśnienie jak ta komunikacja wygląda.

Zasadniczą część książki stanowią wywiady z doktorantami. Zwykle zaczynają się one od omówienia motywacji osób, które zdecydowały się na podjęcie studiów doktorskich. Mamy tam przekrój historii, postaw oraz osób, zarówno mężczyzn, jak i kobiety, tych, które zdobyły tytuł doktorski, oraz tych, którym się to nie udało, przedstawicieli nauk humanistycznych i przyrodniczych. Czytamy historie straszne i śmieszne, odkrywając różne podejścia rozmówców – o różnym charakterze i odporności psychicznej – do tego, co ich spotkało. Mamy historie ludzi, którzy przeszli przez tytułowy „koszmar” z sukcesem i z powodzeniem kontynuowali karierę, oraz takich, którzy



w czasie powstawania książki dopiero ten „koszmar” przechodzili, a także tych, dla których zakończył się on życiową tragedią.

Przekrój patologii ze strony promotorów jest też różny, od zwykłej dokuczliwości, po historie kryminalne. Wspólnym ich jednak mianownikiem jest nadużywanie pozycji przez promotorów, osoby o wyższym statusie w hierarchii społeczności naukowej. Nadużywanie to może przyjmować postać wykorzystywania doktorantów do prywatnych celów, podkradania dorobku naukowego podopiecznych, jak i prób wymuszeń pieniędzy lub określonej posady w formie łapówki czy molestowania seksualnego, a nawet w jednej historii – gwałtu dokonanego na kobiecie zamężnej, co zrodziło kolejne problemy w jej życiu. Inne zaś opowiadanie dotyczy doktoranta, którego promotor nie tylko zmuszał do ciągłych zmian koncepcji pracy, lecz także do wożenia samochodem na różne konferencje, aż w końcu doszło do tego, iż promotor zamieszkał przez dłuższy okres w mieszkaniu doktoranta.

Czasem dla osobistej zemsty

Bardzo częstym motywem jest również brak zainteresowania promotora tematyką badawczą doktoranta, brak wiedzy na dany temat oraz pomocy podopiecznemu. Dominuje za to postawa przeciwna, mniej lub bardziej otwarte szkodzenie podopiecznemu, czasem w celu osobistej zemsty.

Jedna historia dotyczy doktorantki pochodzącej z ubogiej, pełnej konfliktów rodziny, dla której doktorat miał być szansą na lepsze życie. Niestety promotorka w sadystyczny sposób okazywała wyższość nad doktorantkami. Z trzech osób pod jej opieką przynajmniej dwie, w tym i bohaterka wywiadu, bardzo szybko zrezygnowały. Wielu doktorantów prawdopodobnie mogłoby się identyfikować z bohaterką tego wywiadu w jej opisie reakcji stresowych przed kolejnym spotkaniem z promotorem.

Życie osobiste i grzechy powszednie promotorów, których mimowolnymi świadkami są doktoranci, pojawiają się w kilku opowiadaniach. W takiej sytuacji doktorant często nie może zajmować postawy neutralnej, stawiany jest bowiem w sytuacji dylematu pomiędzy przyzwoitością a lojalnością; ceną może być dalsza kariera. Jako przykład niech posłuży historia pewnego doktoranta chemii. Dobrze układająca się współpraca badawcza z promotorem została nagle przerwana, gdy ten na pewnej imprezie wyznał doktorantowi po pijanemu, że kiedy sam był doktorantem, to z promotorem wprowadzali na czarny rynek narkotyki. Gdy już na trzeźwo, doktorant zwrócił na to uwagę, współpraca z promotorem nagle się urwała, uniemożliwiając dokończenie przewodu i obronę pracy doktorskiej. Na tego typu przykładach widać, że często kariera naukowa zależy nie tyle od własnych zdolności, ile od dość dramatycznych wyborów. Mechanizm ten niekiedy preferuje osoby, które odpowiedniego wyboru dokonały i posiadają przymioty, by przetrwać cudzym kosztem w środowisku pełnym patologii, ale niekoniecznie stanowiąc wzór dla nowej generacji badaczy.

Nie należy uogólniać

Bardzo istotną sprawą jest to, że na podstawie wywiadów zawartych w książce można ułożyć wzór, pewien standardowy sposób ukazywania rzekomej niższości intelektualnej doktorantów przez promotorów. Pokazuje on, na czym w praktyce polega hipokryzja ludzi, którzy „inicjację” już kiedyś przeszli i funkcjonują jako ekskluzywna grupa o określonej pozycji. To moim zdaniem najistotniejsza lekcja, jaką można wyciągnąć z lektury książki.

Z drugiej jednak strony należy być ostrożnym z wyciągnięciem jednoznacznych wniosków. Mamy tu przedstawione

jedynie anonimowe historie doktorantów, nie wysłuchano drugiej strony, stanowiska promotorów. Także opowiadania, niemożliwe do potwierdzenia, mają charakter anegdotyczny. Ich liczba (16) jest również za mała, by ukazać statystyczny obraz sytuacji na polskich uczelniach. Przy czym oczywiście są to historie ludzi, do których autorce udało się dotrzeć, i którzy doświadczyli sytuacji patologicznych, co już na wstępie wprowadza pewną selekcję i rodzi problem, na ile tego typu sytuacje są powszechne. Ze słów autorki wynika, że wybrała ona z kilkudziesięciu historii te, które miały stanowić mniej lub bardziej reprezentatywny przekrój sytuacji doświadczanych przez doktorantów.

Ocena niektórych spraw niekoniecznie musi być jednoznaczna; trudno, szczególnie w przypadku nieobronionych doktorantów, opiniować np. w jakim stopniu niska ocena kompetencji naukowego doktoranta przez promotora ma oparcie w rzeczywistości, a w jakim jest rezultatem osobistych uprzedzeń. Także niektóre obyczaje przytaczane w książce, np. zwyczaj fundowania na koszt doktoranta, po zakończonej sukcesem obronie, obiadu dla członków komisji, mogą być niezrozumiałe dla laików, którzy nie podejmowali studiów doktoranckich. Autorka oraz niektórzy jej rozmówcy również podkreślają, że



nie należy uogólniać, że nie jest to całościowa ocena środowiska akademickiego w Polsce.

Analiza czy reportaż?

W posłowniu zostały jeszcze raz przedstawione motywacje autorki do napisania książki. Mają one dość osobisty charakter, brak szerszej analizy przeprowadzonych wywiadów. Taką formę przedstawienia problemu trudno ocenić bez znajomości wstępnych założeń na temat celów pracy. Czy miała być ona naukową analizą problematyki patologii w kręgach akademickich, czy przybrać bardziej reporterski charakter przedstawienia „od środka” tegoż środowiska? Czy jest przeznaczona dla świata akademickiego, czy także dla ogółu społeczeństwa, które ten problem też ma poruszyć? Od tego zależy też dobór stosowanych środków retorycznych i stylu, tak by książka mogła osiągnąć zamierzony cel; w przypadku analizy – raczej chłodnego, obiektywnego języka, w przypadku reportażu – swobodniejszej narracji, zogniskowanej na przedstawieniu najistotniejszych przykładów. W pierwszym przypadku szczegółowa analiza jest niezbędna, w drugim należy ją, i wyciąganie wniosków, pozostawić czytelnikowi (podsuwając najwyżej w formie pytań najważniejsze problemy do rozważenia). Wydaje się, że książka

bardziej odpowiada formie reporterskiej. Autorka oddaje głos doktorantom, również sobie samej, by mogli samodzielnie wyrazić niekiedy dość stanowcze, brutalnie szczere opinie na temat osobistych doświadczeń w środowisku akademickim.

Dość mocny nacisk w posłowniu kładzie autorka również na potępienie praktyk wykorzystywania seksualnego doktorantek przez promotorów, a dopiero później przyznaje, że molestowanie jest tylko jednym z przejawów wykorzystywania wyższej pozycji i związanego z tym poczucia wyższości. W moim odczuciu lepiej byłoby zastosować odwrotną kolejność, od ogółu do szczegółu, najpierw opisując „korzeń zła”, jakim jest poczucie wyższości nad drugą osobą (jako przyczynę problemu), a dopiero później, przechodząc do przykładów, potępić szczególnie haniebną praktykę molestowania, wynikającą z uprzywilejowanej pozycji.

Praca Katarzyny Dawidowicz stanowi bardzo istotną pozycję, przełamującą tabu i otwierającą dyskusję na temat sytuacji doktorantów w relacjach z promotorami w środowisku akademickim. Jest to wstęp do dyskusji, bo wielu kwestii jeszcze nie poruszono lub poruszono pobieżnie. Wydaje się jednak, że mogą one zostać opracowane w ewentualnych kolejnych wydaniach lub innych pracach autorki w zakresie tejże tematyki.



Fot. Stefan Ciechan



Zofia Tarajło-Lipowska

Nieetatowy pracownik naukowy

Kolejni sędziowie nie widzieli różnicy między radą wydziału a radą instytutu. Zeznający przed sądem rektor Bojarski, profesor prawa karnego, nie pamiętał dokładnie, co obiecywał. . .

Fot. Stefan Czerhan

Na Uniwersytecie Wrocławskim nie pracuję etatowo już od ośmiu lat, ale ostatnie zaliczeniowe wpisy w indeksach uczyniłam trzy lata temu. Te wpisy głoszą, że w latach 2011-2016 przeprowadziłam 700 godzin seminarium doktoranckiego, jeśli na seminariach liczyć wszystkich troje doktorantów jednocześnie, choć z przyczyn niezależnych (praca zarobkowa podopiecznych) umawiałam się z każdym z nich oddzielnie.

W internetowym spisie pracowników figurowałam wtedy jako „nieetatowy pracownik naukowy”. Żadne czynności, które w tym czasie wykonywałam, nie zostały jednak pokwitowane wynagrodzeniem za pracę, z czym zresztą zgodził się wrocławski sąd pracy (rejonowy, a potem apelacyjny), do którego swoje pretensje skierowałam. W sentencji wyroku pojawia się wszak nuta współczucia, że okoliczności tej brzydko pachnącej sprawy (moje określenie) miałam prawo odczuwać jako krzywdę.

Chodzi tu o Instytut Filologii Słowiańskiej Uniwersytetu Wrocławskiego, placówkę oddaloną od uniwersyteckiego centrum, co upośledza jej kontakt z codziennym życiem uczelni. Pracowałam tam od roku 1990, w ostatnich dziesięciu latach na stanowisku profesora nadzwyczajnego, cały czas będąc kierownikiem, najpierw Studium Języka i Kultury Czeskiej, a potem Zakładu Bohemistyki, który za mego kierownictwa rozwijał się nader obiecująco.

W latach 2008–2010 zostałam odznaczona Srebrnym Krzyżem Zasługi, Medalem Komisji Edukacji Narodowej i Medalem za Długoletnią Służbę, wystąpiono też o tytuł profesora, który otrzymałam, i o nagrodę Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego za książkę *Historia literatury czeskiej. Zarys* (Zakład Narodowy im. Ossolińskich 2010), którą otrzymałam. Tymczasem osiągnęłam wiek upoważniający do emerytury i dowiedziałam się, że rówieśniczki na Wydziale Filologicznym powszech-

nie łączą status pracownika z jej pobieraniem. Podczas wizyty na Radzie Wydziału Filologicznego w maju 2011 rektor Marek Bojarski zakomunikował nam o tej możliwości i objaśnił, jakie pisma złożyć, zaznaczając, że przy udzielaniu zgody na dalsze zatrudnienie będzie się kierował opinią tu obecnego ciała zbiorowego, czyli Rady Wydziału Filologicznego.

Żle napisane podanie

Przedwakacyjne terminy posiedzeń mnie poganiały, tego samego dnia złożyłam więc dwa odrębne pisma według tej instrukcji. Tymczasem dominujący w Instytucie Filologii Słowiańskiej rusycyści (zwłaszcza dziekan Wydziału Filologicznego dr hab. Michał Sarnowski i dyrektor instytutu dr hab. Anna Paszkiewicz) podjęli szykanującą mnie kampanię (mobbing), z której rozpiętości nie zdawałam sobie sprawy. Powodem mogły być pogłoski, że chcę oderwać bohemistykę od rusycystów, co oczywiście z merytorycznego punktu widzenia i z uwagi na wyraźnie drugorzędną pozycję tego kierunku w instytucie byłoby całkowicie uzasadnione, ale to tylko spekulacje. M.in. decydenci-rusycyści pozbawili mnie kierownictwa Zakładu Bohemistyki, choć byłam na urlopie naukowym, a zakładem kierował ktoś inny.

Na drugi dzień po złożeniu podań zadzwoniła do mnie sekretarka instytutu Aldona Rogula (prywatnie zaprzyjaźniona z panią dyrektorką) z informacją, że moje podanie jest „źle napisane”, i z ofertą, że przyśle mi jego poprawny tekst, który „wystarczy podpisać”. Wyjeżdżałam właśnie na Uniwersytet w Bnie, w dobrej wierze podpisałam i przekazałam do sekretariatu. Kilka dni później odbyła się Rada Instytutu Filologii Słowiańskiej. Dziekan Sarnowski, obecny jako członek tejże rady, kierował do mnie złośliwe uwagi, posiedzenie zaś pod jakimś pretekstem rozpoczęło się wypiciem toastu szampanem (gdymy znała dalszy ciąg, wezwałabym policję dla skontrolowania trzeźwości obecnych). Atmosfera była dziwna, ukradkowe spojrzenia itp., ale zwyczajowo wyszłam na początku, bo głosowano nad „moją sprawą”. Ze względu na potwierdzone medalami zasługi i spodziewany tytuł profesorski wynik głosowania wydawał mi się oczywiście pozytywny. Nie wiedziałam, że dyrektorka Paszkiewicz dzwoniła już do członków rady i „konsultowała” z nimi tę sprawę. Głosowanie w instytucie niestety przegrałam. Tego wieczoru dzwoniły do mnie dwie koleżanki i obie radziły jak najszybsze wycofanie podania, które w dobrej wierze podpisałam.

Na drugi dzień rano odwiedziłam Dział Osobowy, ale ani przybyła właśnie pani Rogula, ani pani kierownik działu nie chciały mi oddać podania. Napisałam więc pisma wycofujące je i zostawiłam w rektoracie (rektora ponoć nie było) i w kilku innych miejscach. Po tygodniu udało mi się dostać do rektora Bojarskiego (było ze mną dwóch kolegów-bohemistów, zatroskanych o los kierunku), który przyjął mnie raczej przyjaźnie i telefonicznie umówił na rozmowę z dziekanem Sarnowskim. Kiedy zbieraliśmy się do wyjścia, rektor poradził, żebym się przed dziekanem Sarnowskim... rozpląkała, bo kobiecie łyż działają na mężczyzn. Z kilku przyczyn przyjął to jako nie najlepszy żart.

Nie, nie, nie!

Zależało mi na pracy na uczelni, miałam różne rozległe i ambitne plany (m.in. byłam wtedy na rocznym urlopie naukowym w celu napisania książki), miałam długi staż dydaktyka uniwersyteckiego w Polsce i w Czechach, i dobrą opinię, wybrałam się więc na spotkanie z Sarnowskim. Ówczesny dziekan prawie nie dopuścił mnie do głosu, powtarzając poirytowanym głosem: nie, nie, nie! Po dwóch tygodniach dostałam pismo od rektora Bojarskiego, w którym przyjmuje moją prośbę o emeryturę, ale nie zgadza się na ponowne zatrudnienie. O opinii

Rady Wydziału Filologicznego, o której mówił na majowym posiedzeniu, nie wspomniawszy wcale (sprawa zatrudnienia mnie w ogóle tam nie stała). Na moje odwołanie od decyzji odpowiedział mi nie adresat, lecz dr hab. Sarnowski, dodając, że rektor myśli tak samo. Koleżanka z instytutu zwróciła mi jednak uwagę na zastanawiającą okoliczność, że w ostatnim okresie rektor Bojarski otrzymał cztery doktoraty h.c. w krajach byłego Związku Radzieckiego. Niezbadane są wyroki Opatrzności (czytaj: wzajemne powiązania).

Dodam, że w następnym roku akademickim IFS UW r stracił czworo samodzielnych pracowników naukowych: oprócz mnie odszedł również bohemista i słowacysta Jaroslav Lipowski (obecnie profesor tytularny), jedna z rusycystek wybrała wczesną emeryturę (nikomu nie podpadła, lecz mierzyła ją stosunki w IFS), a jedyna serbistka z habilitacją przeniosła się na uniwersytet do innego miasta. Po roku na moje miejsce zatrudniono czeskiego fachowca od literatury polskiej na Zaolziu, który z Opawy do Wrocławia dojeżdża co dwa tygodnie, ale zajęć ma tak wiele, że można z nich wykroić dwa etaty (jako native speaker prowadzi też lektory na studiach magisterskich, bo nie ma tam lektora tego języka).

Rektor i sędziowie

Jako pokrzywdzona sytuacją zasięgnęłam rady prawników. Okazało się, że rektor, reprezentujący uniwersytet jako „firmę”, miał prawo postąpić, jak chciał, nie musiał konsultować tego z nikim, mógł się nie zgodzić na wycofanie mego pisma o emeryturę. Doradzono mi akcentowanie w pozwie, że faktycznie wciąż pracuję na Uniwersytecie Wrocławskim, m.in. prowadzę zajęcia z doktorantami i troszczę się o ich postępy, piszę artykuły, uczestniczę w konferencjach, zabieram głos na radach wydziału itp. Jednak ani rejonowy sąd pracy, ani apelacyjny nie potwierdziły mego stanowiska. Kolejni sędziowie nie widzieli na przykład różnicy między Radą Wydziału Filologicznego a Radą Instytutu (to ciało zbiorowe, i to ciało). Zznający przed sądem rektor Bojarski (profesor prawa karnego) nie pamiętał dokładnie, co obiecywał (kierowniczka sekretariatu nie ujęła w protokole jego przemówienia na majowej radzie). Argumentując przeciw mnie sędziowie i adwokat UW r sięgali raz do przepisów prawa pracy, raz do ustawy o szkolnictwie wyższym. Usłyszałam np., że pracę się świadczy „pod nadzorem przełożonego”, a mnie nikt nie nadzorował, że na konferencje naukowe dyrektor musi posłać pracownika, bo inaczej to nie jest praca. Za seminaria doktoranckie ponoć nie przysługuje żadne wynagrodzenie. Co prawda etatowym pracownikom odlicza się je od pensum albo płaci nadliczbowki, ale to nie dotyczy innych (nieetatowych?) pracowników uczelni. Dodam, że wyniosłam jednak z tego pewną satysfakcję. Rektor Bojarski mianowicie potwierdził, że doradził mi rozpląkanie się przed Sarnowskim „jak kobieta”. Obecne panie (trzy w składzie sędziowskim i adwokatka uniwersytetu) to przełknęły, ale na ich twarzach odbiło się zmieszanie.

Zastanawiam się jednak, gdzie w tym świecie mieszczą się studenci? Czy w ogóle liczy się ich dobro? Już po tych wydarzeniach kilkakrotnie udzielałam konsultacji domowych i e-mailowych zdezorientowanym i niedouczonym studentom tego kierunku, pożyczając im książki (prócz zajęć i wsparcia dla doktorantów), pisali do mnie listy, prosząc o pomoc czy nawet interwencję. Listy, odpowiedzi i komentarze umieszczałam na blogu „Bohemistyka”, ale przed kilkunastoma miesiącami z niejasnych przyczyn został on odgórnie zamknięty. Większość treści tego blogu jest na stronie: habilitacja.eu.

Prof. dr hab. Zofia Tarajło-Lipowska, bohemistka, Wyższa Szkoła Filologiczna we Wrocławiu

Rozmowa z dr. hab. Sebastianem Kołodziejczykiem, prof. UJ, przewodniczącym Rady Narodowej Agencji Wymiany Akademickiej

Między marzeniem a rzeczywistością

Nie jesteśmy krajem, który pozwala na miękkie wejście w życie codzienne. Przybysz nie odczuwa przyjazdu do Polski i na nasz uniwersytet jako czegoś bezproblemowego i komfortowego; napotyka wciąż za dużo trudności, formalności. Im więcej ich stwarzamy, tym szybciej przyjezdni się zniechęcają.

Jak jest skonstruowana Rada NAWA?

Rada Narodowej Agencji Wymiany Akademickiej jest organem ustawowym. Ustawa z 2017 r. określa zarówno jej skład, jak i funkcje. Tworzy ją dziesięć osób: przewodniczący i dziewięciu członków. Przewodniczący i jego zastępca są przedstawicielami ministra nauki i szkolnictwa wyższego. Mamy też w składzie przedstawicieli środowiska akademickiego: Rady Głównej, KRASP, Parlamentu Studentów RP i Krajowej Reprezentacji Doktorantów, a dodatkowo ministerstw: spraw zagranicznych, rozwoju, finansów i Kancelarii Prezesa Rady Ministrów.

Kto wyłania przewodniczącego?

Jest powoływany przez ministra nauki i szkolnictwa wyższego po konsultacjach środowiskowych.

Jakie są relacje Rady NAWA z dyrektorem NAWA?

Rada ma kilka uprawnień. Zasadnicze związane jest z opiniowaniem planu finansowego i planu działania NAWA na rok następny oraz opiniowaniem sprawozdania z działalności za rok poprzedni. Opinie rady muszą być przedłożone MNiSW. To właśnie one są fundamentem rozumienia działań rady. W nich dokonuje się ewaluacja dotychczasowej pracy agencji oraz rewizja jej planów i sposobów działania. W 2019 roku mieliśmy po raz pierwszy do czynienia z sytuacją, gdy opiniowany był pełny rok działalności NAWA. Sprawozdanie za cały rok 2018 i nasza opinia były podstawą wskazanych przez ministerstwo rekomendacji dla agencji, głównie dotyczących konsolidacji oferty programowej, wyraźniejszego profilowania oferty i jej powiązania z programami MNiSW oraz ofertami innych agencji grantowych.

Co jest podstawą działania NAWA?

Ustawa oraz zarys strategii. Wprawdzie ewaluatorzy dotychczasowej działalności NAWA wskazywali konieczność przygotowania strategii właściwej, niemniej jeszcze rok temu jej stworzenie byłoby nieodpowiedzialne. Polska nauka i szkolnictwo wyższe są w procesie reform i wdrażania nowych programów.

W tej sytuacji tworzenie w 2018 lub 2019 roku strategii, która miałaby determinować działalność NAWA na lata 2020-25, byłoby nieroztropne. Zarys strategii wystarczająco określa kierunek działania agencji, a wynika z zapotrzebowania i analiz, jakie mieliśmy do dyspozycji w czasie, gdy NAWA powstawała. W tej chwili jesteśmy już w trakcie prac nad strategią. Proces ten jeszcze potrwa, ponieważ wciąż spływają do nas dane na temat różnych wskaźników, które są ważne z punktu widzenia zadań i stylu działania NAWA, a przede wszystkim środowiska i instytucji akademickich.

Ciekawi mnie pozycja Rady NAWA w stosunku do dyrektora agencji, a to w kontekście tego, jak są umocowane i jak odmienne pełnią role rady NCN i NCBR.

Jesteśmy pośrodku kompetencji rad tych dwóch agencji. Dyrektor NAWA nie jest zależny personalnie od rady. Nasz wpływ na proces jego wyłaniania jest minimalny – to przede wszystkim udział w procesie konsultacji. Ustawa o powołaniu Narodowej Agencji Wymiany Akademickiej określa wyraźnie, że dyrektora nominuje premier na wniosek ministra ds. nauki i szkolnictwa wyższego. Jak mówiłem, Rada NAWA posługuje się opiniami. Nasze opinie są częścią procesu kształtowania oferty programowej i regulaminów poszczególnych programów, a także działań wewnętrznych agencji. Zgodnie z uprawnieniami rada może zwrócić się w każdej chwili o informacje dotyczące bieżącej działalności agencji, by poddać analizie i przedyskutować aktualny stan. To niezwykle silny instrument oddziaływania na funkcjonowanie agencji także w sensie organizacyjno-zarządczym. Rada wychodzi też z inicjatywą programową. W tej chwili pracujemy nad programem STER wspomagającym szkoły doktorskie. Urzy on światło dzienne w okolicach marca, kwietnia. Program zapewni wielostronne wsparcie dla szkół doktorskich, począwszy od programu stypendialnego, w tym dla cudzoziemców, a skończywszy na wsparciu mobilności międzynarodowej doktorantów i realizacji doktoratów na poziomie międzynarodowym. W tym programie znajdują się budżety wyjazdowe oraz środki na udostępnianie wyników badań.



Fot. NAWA

Dr hab. **Sebastian Tomasz Kołodziejczyk**, prof. UJ (ur. w 1973 r.), jest szefem Zakładu Ontologii w Instytucie Filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Kieruje także Szkołą Dokorską Nauk Humanistycznych UJ. Od 01 października 2017 roku jest przewodniczącym Rady Narodowej Agencji Wymiany Akademickiej. Należy do Polskiego Towarzystwa Filozoficznego, Polskiego Towarzystwa Kognitywistycznego, Polskiego Towarzystwa Filozofii Religii, jest zastępcą przewodniczącego Central European Society for Philosophy of Religion (był przewodniczącym w latach 2008-2011 i 2012-2013). Studiował filozofię oraz teologię na Uniwersytecie Jagiellońskim, Papieskiej Akademii Teologicznej i na University of Bristol (UK). Od roku 2000 do 2002 na studiach doktorskich w University of Bristol, a potem w University of Oxford. W latach 2008-2011 przebywał na stażach podoktorskich w City University of New York oraz Université de Geneve.

Na stronie UJ tak napisał o sobie: „Jestem doktorem habilitowanym nauk humanistycznych w zakresie filozofii, której jestem wielkim entuzjastą, podobnie jak i idei Uniwersytetu jako instytucji badawczej, dydaktycznej i wychowawczej. Moimi Mistrzami są prof. Władysław Stróżewski, prof. Jan Woleński, prof. C.J.F. Williams. Jestem autorem licznych publikacji, redaktorem serii «Przewodniki po filozofii» i czasopisma «Polish Journal of Philosophy» (. . .). Lubię muzykę Bacha, Mozarta i Chopina, ale też Queen, King Crimson i The Police. Kibicuję kolarzom szosowym (i piłkarzom oraz siatkarzom) i sam próbuję swych sił na bicyklu. Jestem amatorem fotografii (bez retuszu) i średniowiecznej historii Polski”.

Jaki budżet tego programu państwo przewidują?

Wstępna propozycja zakłada milion złotych na dwa lata dla jednej szkoły. Przewidujemy, że laureatami pierwszego konkursu zostanie dziesięć szkół – a mamy ich w kraju ponad sto, a więc będzie to około 8% całej infrastruktury kształcenia doktorantów w Polsce. Co więcej, po dwóch latach można będzie przedłużyć udział w programie na kolejne dwa lata. Takie rozwiązanie powiązane jest ze ścieżką kształcenia i oceny doktoranta: po dwóch latach musi przejść on obowiązkową ocenę okresową. My też po dwóch latach będziemy ewaluować program w kontekście konkretnego beneficjenta i decydować, czy powinien być dalej realizowany.

Co jest we wspomnianym zarysie strategii NAWA i jak sobie pan wyobraża docelową strategię?

Zarys strategii opiera się na czterech punktach: wzmocnieniu doskonałości naukowej, umiędzynarodowieniu polskich uczelni i instytucji naukowych, promocji Polski jako kraju atrakcyjnych możliwości edukacyjnych i naukowych oraz promocji języka polskiego i kultury polskiej. Podstawowe jej filary to umiędzynarodowienie kształcenia i doskonałość naukowa. Wokół tego ogniskujemy nasze działania. Pamiętajmy też, że NAWA nie powstała w próżni instytucjonalnej. W odniesieniu do programów studenckich kontynuuje działalność Biura Uznawalności Wykształcenia i Wymiany Międzynarodowej. NAWA rozwija ofertę dla szerszej grupy studentów zagranicznych. W obszarze dydaktyki dużą rolę odgrywają uczelnie, które wspieramy

w tworzeniu programów kształcenia w języku angielskim oraz z partnerami zagranicznymi (program KATAMARAN).

Warto zauważyć przy tej okazji, że różne kraje pełnią różne funkcje w kształceniu akademickim: jedne są krajami docelowymi, na pewno takie role pełnią brytyjskie Oksford czy Cambridge, a inne krajami transferowymi. Jedne są atrakcyjne na poziomie studiów pierwszego stopnia, inne gdy chodzi o studia zaawansowane i kształcenie doktorantów. Niezwykle istotne jest to, by odpowiedzieć sobie na pytanie, gdzie jest umiejscowiony nasz system i nasze uczelnie. Czy mamy na to pomysły? Czy znamy już nasze miejsce, a może potrzebujemy je określić? Nie ulega wątpliwości, że potrzebny jest nam pogłębiony raport na temat potencjału kształcenia na poziomie międzynarodowym. To umożliwi podjęcie decyzji w co warto zainwestować ograniczone przecież środki. NAWA dzisiaj wspiera swoimi programami studenckimi młodzież polonijną oraz osoby, które chcą studiować nauki techniczne (programy Łukasiewicza i Banacha). W tych ostatnich z pewnością mamy olbrzymie sukcesy w kształceniu. Pytanie brzmi, czy w innych obszarach – naukach o życiu, naukach społecznych i humanistycznych – też możemy odnosić sukcesy i kształcić efektywnie studentów z zagranicy.

W sumie to samo dotyczy działalności naukowej. Truizmem jest twierdzenie, że państwo polskie nie jest tak bogate, by inwestować jednakowo we wszystkie ponad 40 dyscyplin. Powstaje więc pytanie o kryteria selekcji. Oczekiwałbym, że w wyniku działania programu IDUB i RID dojdzie do wzmo-

nienia poszczególnych dyscyplin (choć we wnioskach wprost się o tym nie wspomina). NAWA zdecydowanie będzie współtworzyć warunki do wzmocnienia dziedzin i dyscyplin.

Jak można to zrobić, mając tak niewielki budżet?

To są środki, które wspierają, uzupełniają, ale nie zastępują. Uczelnie muszą sobie z tego zdać sprawę. Czasami nie trzeba wiele, aby uzyskać znacznie więcej.

Sugeruje pan, że korzyści z NAWA będą niewspółmiernie duże w stosunku do zainwestowanych środków?

Stwierdzenie, że „niewspółmiernie duże”, jest podchwytliwe. Paradoxs polega na tym, że te skutki już są. Część uczelni ma dziś środki z inicjatyw doskonałości – badawczej i regionalnej. We wnioskach musiały wpisać umiędzynarodowienie. Z mojej perspektywy jest jasne, że są tam pieniądze na to zadanie, a my tylko dokładamy coś do budżetów uczelnianych. To wygląda inaczej niż w przypadku badań naukowych, gdzie praktycznie całe środki płyną z zewnątrz. Agencja nie zastępuje strumieni finansowych, ale je uzupełnia. Ostatecznym odbiorcą naszych środków i programów jest badacz albo student określonej instytucji akademickiej, a w programach instytucjonalnych – uczelnia. Nie ulega wątpliwości, że suma środków tych instytucji oraz NAWA może stworzyć nowe możliwości.

Jakie to są możliwości?

Olbrzymim sukcesem okazał się Program Akademickie Partnerstwa Międzynarodowe. Jest to program o dużej elastyczności, gdy chodzi o możliwe do sfinansowania zadania, i jednocześnie silnie stawiający na tworzenie międzynarodowych sieci badawczych, wspólne aktywności akademickie, publikowanie, kształcenie. Mamy też mniejszy program, np. im. Stanisława Ulama dla postdoków. Od początku bardzo go wspierałem. Nasze programy powstają w wyniku interakcji, dyskusji, jaka odbywa się między środowiskiem akademickim i ministerstwem a NAWA, i właśnie tak było w przypadku programu Ulama. Pierwsza, nieliczna grupa obcokrajowców ze stopniem doktora daje polskim uczelniom wyraźny sygnał dotyczący zmiany struktury zatrudnienia oraz wdrażania do naszego systemu obcokrajowców. Cały świat funkcjonuje na postdokach i jest to system efektywny. Nasze uczelnie też już tego potrzebują, mimo że wciąż pokutuje przekonanie o potrzebie stałego zatrudnienia. Patrząc na program Ulama, wiem, że w ciągu trzech-czterech lat ta grupa będzie liczyła kilkadziesiąt osób. O ile w skali kraju nie wydaje się to znaczącą liczbą, o tyle w poszczególnych jednostkach zmieni się postrzeganie tego rodzaju zatrudnienia, przyjmie się pewien charakter pracy, sposób myślenia o nauce, o efektywności naukowej, o roli języka angielskiego.

Uderzyła mnie bardzo rozbudowana oferta w ciągu raptem dwóch lat istnienia NAWA.

To zdanie zawiera dwie przesłanki: negatywną i pozytywną. Z jednej strony sugeruje rozproszenie środków, a z drugiej – różnorodność oferty. W tej chwili NAWA ma ok. 200 mln zł rocznego budżetu, łącznie ze środkami europejskimi z Programu Operacyjnego Wiedza, Edukacja, Rozwój. Dzięki tym pieniądzom możemy sprofilować różne potrzeby. Przez pierwszy okres chcemy je diagnozować. Ankiety nie wystarczą do tego, żeby z pewnością wiedzieć, co jest potrzebne. Lepiej zaproponować różnorodne programy i rozpoznać pole bojem. Zatem mamy bardzo szeroką ofertę dzięki POWER, głównie nastawionemu na ofertę kształceniową i wsparcie instytucji akademickich.

Kiedy poznamy wyniki tego testu?

Perspektywa unijna zamyka się nam wkrótce. Podsumujemy wtedy ten eksperyment i zastanowimy się, czy dalej inwestować

środki w niektóre programy. Dziś wiemy, że uczelnie są z tych pieniędzy zadowolone. Pytanie brzmi jednak, czy nie czas na to, by uczelnie przejęły w całości odpowiedzialność finansową za pewne działania, które dziś finansujemy z NAWA.

Kto wymyślił nazwy programów?

Pracownicy NAWA. Zmierzamy do ich modyfikacji. Nazwy odmienne pozostaną, ale będą dopełnieniem nazw opisujących program od strony celu. Beneficjent musi wiedzieć, co to za program, do czego służy. Nazwa związana z postacią jest istotna z punktu widzenia promocji polskiej nauki, ale nie z punktu widzenia istoty wsparcia finansowego. Nastąpią zatem pewne zmiany w nazewnictwie, ale nie zerwiemy z nazwiskami słynnych polskich uczonych. Nazwa musi nieść informację.

Program Polskie Powroty kojarzy mi się z FNP.

Rzeczywiście. Nie odkryliśmy Ameryki, nie zrobiliśmy niczego nowego, tylko przejęliśmy pewien dobry i potrzebny pomysł. Są na jego temat różne opinie; jakość tych wniosków się poprawia. Na początku mieliśmy pewne zastrzeżenia. Mamy też poczucie, że następuje nasycenie. Jednak jeszcze przez kilka lat program pozostanie w ofercie i będziemy go uważnie obserwować. Warto powiedzieć o rzeczy, która rzadko się przebija. To dotyczy wszystkich programów, w których beneficjent przyjeżdża z zagranicy. Decydującym, wręcz krytycznym elementem jest otoczenie – sytuacja osobisto-społeczna obcokrajowca po przyjeździe do Polski. Niestety, nie jesteśmy krajem, który pozwala na miłą wycieczkę w życie codzienne. Przybysz nie odczuwa przyjazdu do Polski i na nasz uniwersytet jako czegoś bezproblemowego i komfortowego; napotyka wciąż za dużo trudności, formalności. Im więcej ich stwarzamy, tym szybciej przyjezdni się zniechęcają. Sposób załatwiania spraw na uczelniach, w urzędach, wynajęcia mieszkania, zdobycia prawa jazdy – to wszystko jest bardzo trudne, a w przypadku prawa jazdy wręcz absurdalnie trudne. A przecież nasi goście z zagranicy chcą żyć normalnie. Człowiek zderza się z bezdusznym, niezrozumiałym systemem. My się przyzwyczailiśmy, ale obcokrajowcy to dostrzegają. A przecież nie chcemy myśleć o tych ludziach jako kimś, kto się pojawi i zniknie. To są osoby o najwyższym statusie intelektualnym i kulturowym, które niosą w świat wiedzę o naszym kraju, rekomendują go lub nie – do pracy, do zdobywania wykształcenia. Ich dobre doświadczenia mogą nam bardzo pomóc, a złe bardzo zaszkodzić.

Kiedy NAWA dostanie strategię?

Jeszcze w tym roku. Jak tylko otrzymamy dane, które pozwolą ją sensownie zbudować.

Co jeszcze czeka agencję w najbliższym czasie?

Konsolidacja programów. Po testach spróbujemy przeanalizować kategorie beneficjentów i inne wskaźniki. Na tej podstawie ograniczymy liczbę programów tak, aby system był klarowny, ale żeby nie ograniczyć możliwości, które dają polskiej nauce i szkolnictwu wyższemu.

Czy budżet NAWA powinien wzrosnąć?

To pytanie retoryczne. Pieniądze trzeba jednak wydawać sensownie. Paradoksalnie – można też przeinwestować.

Do jakiego poziomu powinno wzrosnąć finansowanie?

Dziś już widzimy, że chodzi o 300 milionów w perspektywie czterech, pięciu lat.

Rozmawiał Piotr Kieraciński

Michał Bilewicz

Wolność wypowiedzi czy wolność od dyskryminacji?

Wokół planów nowelizacji Ustawy 2.0.

O tym, że osoby o poglądach konserwatywnych czy bardziej religijne mogą się czuć wyobcowane na polskich uczelniach, przekonaliśmy się również prowadząc badania nad psychologicznymi konsekwencjami obecności symboli religijnych w przestrzeni publicznej.

„W ostatnich miesiącach nasila się zjawisko, którego nie waham się nazwać ideologiczną cenzurą na uczelniach. (...) Tam, gdzie się knebluje usta, tam się kończy prawda. Tam już nie ma miejsca na uniwersytet. Tam po prostu pojawia się przestrzeń do dyktatu” – ogłosił na styczniowej konferencji prasowej minister nauki i szkolnictwa wyższego Jarosław Gowin, prezentując założenia nowelizacji ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce. W projektowanej nowelizacji wśród podstaw systemu szkolnictwa wyższego i nauki dodano „wolność wyrażania poglądów” oraz nałożono na rektorów obowiązek zapewnienia ochrony wolności słowa. Na straży wolności słowa na uczelni ma stać komisja ds. wolności w systemie szkolnictwa wyższego i nauki, w której składzie największą liczbę członków powołać ma minister nauki (cztery osoby), a pozostałych powołują reprezentacje środowiska naukowego (trzy osoby), studentów (jedna osoba) i doktorantów (jedna osoba).

Uzasadnieniem proponowanych zmian w ustawie była niedawna procedura dyscyplinarna na Uniwersytecie Śląskim, którą wszczęto na wniosek rzecznika dyscyplinarnego tej instytucji po otrzymaniu informacji o tym, że wykładowczyni tej uczelni przedstawiała w trakcie zajęć wypowiedzi o charakterze homofobicznym i dyskryminującym. Minister Gowin zapowiedział zmiany w ustawie w trakcie trwania procedury dyscyplinarnej, jednocześnie wyrażając swoje zaniepokojenie samym faktem wszczęcia takiej procedury. Podobne wypowiedzi z ust ministra pojawiły się już wcześniej – w trakcie procedury wyjaśniającej w sprawie zbliżonych zarzutów o homofobie, sformułowanych wobec wykładowcy Uniwersytetu Mikołaja Kopernika

w Toruniu. W obu wypadkach publiczne wystąpienia ministra miały miejsce przed orzeczeniem jakichkolwiek kar przez komisje dyscyplinarne.

Urażanie konkretnej grupy mniejszościowej

Zarówno publiczne wypowiedzi, jak i działania ministra nauki w ostatnich tygodniach zdają się opierać na przekonaniu, że na polskich uczelniach istnieją poważne ograniczenia wolności głoszenia poglądów konserwatywnych. W obu przypadkach mieliśmy jednak do czynienia z procedurami dyscyplinarnymi, których przedmiotem nie był konserwatywny charakter wypowiedzi, lecz urażenie konkretnej grupy mniejszościowej, jaką są osoby nieheteroseksualne. Studenci Uniwersytetu Śląskiego przytaczali takie wypowiedzi wykładowczyni jak: „normalna rodzina zawsze składa się z mężczyzny i kobiety” czy „osoby homoseksualne to coś gorszego”, natomiast w artykule toruńskiego naukowca, który stał się podstawą postępowania wyjaśniającego, nazywano orientację nieheteroseksualną (LGBT) „tężczową zarazą”, porównując do śmiertelnych chorób zakaźnych.

Kwestia wykluczenia głosów konserwatywnych na współczesnych uczelniach nie jest problemem wydumany. Dotyczy to w szczególności nauk społecznych i humanistycznych, w których pluralizm światopoglądowy jest szczególnie istotny. Różnorodność polityczna, obecność rozmaitych – czasem stojących ze sobą w konflikcie – światopoglądów i opcji politycznych sprzyja złożoności myślenia i zdolności do przyjmowania perspektywy innego człowieka. Badania przebiegu dyskusji grupowych na amerykańskich uczelniach wykazały, że największą

zdolność do złożonego myślenia wykazywały te zespoły, które były zróżnicowane zarówno rasowo (pracowali w nich studenci biali i czarni), jak i światopoglądowo (byli w nich konserwatyści i liberałowie). Badania z zakresu psychologii organizacji zdają się sugerować, że różnorodność światopoglądów ma jeszcze większy wpływ na efektywność organizacji aniżeli różnorodność w jakimkolwiek wymiarze demograficznym – dotyczy to raczej organizacji nastawionych na rozwój i poznanie, niż takich, w których celem jest wykorzystanie istniejących rozwiązań określonych problemów.

Problem niesprzyjającego konserwatom klimatowi na wydziałach nauk społecznych, o którym wspominał minister Gowin, był często przedmiotem refleksji badaczy, np. w 2015 roku poświęcono mu specjalny numer czasopisma „Behavioral and Brain Sciences”. Po przeprowadzeniu systematycznej analizy grup niedoreprezentowanych wśród kadry akademickiej amerykańskich uczelni, Musa Al-Gharbi z Uniwersytetu Columbia wykazał, że na uczelniach jest zdecydowanie mniej kobiet, czarnoskórych, Latynosów, ale też chrześcijan i konserwatywistów, niż w ogólnej populacji Stanów Zjednoczonych. Gdy przyjrzał się specyficznie obszarowi nauk społecznych, zauważył, że kobiety nie są w nim niedoreprezentowane, a jedyne trzy grupy, których zdecydowanie brakuje, to czarni, Latynosi i konserwatyści. Dla odmiany liberałów, ateistów i Azjatów na wydziałach nauk społecznych jest więcej niż w ogólnej populacji amerykańskiej. Badając jedną dziedzinę, jaką jest amerykańska psychologia społeczna, holenderscy badacze Yoel Inbar i Joris Lammers zauważyli, że absolutna większość naukowców pracujących w tym obszarze określa siebie jako osoby liberalne, zarówno w wymiarze ekonomicznym, społecznym, jak i w odniesieniu do polityki międzynarodowej. Przeprowadzone przez mój zespół kilka lat temu badania psychologów z Polski, Węgier, Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii potwierdziły wnioski Inbara i Lammersa. Wśród naukowców ze wszystkich tych państw dominują osoby określające się jako lewicowe, a prawicowcy stanowią zdecydowaną mniejszość. Polska nie jest tu wyjątkiem.

O tym, że osoby o poglądach konserwatywnych czy bardziej religijne mogą się czuć wyobcowane na polskich uczelniach, przekonaliśmy się również prowadząc wspólnie z Jarosławem Klebaniukiem z Uniwersytetu Wrocławskiego badania nad psychologicznymi konsekwencjami obecności symboli religijnych w przestrzeni publicznej. Zauważyliśmy wtedy, że studenci religijni mają w trakcie pobytu na uczelni gorszy nastrój niż studenci-ateiści, a ich nastrój zdaje się poprawiać wówczas, gdy w przestrzeni publicznej pojawi się jakiś symbol religijny. Zdaje się to sugerować, że uczelnia jest dla nich miejscem zdominowanym przez światopogląd świecko-liberalny, odległy od wartości, które wyznają.

Uczelnie miejscem wolnej ekspresji

Omawiane powyżej badanie Inbara i Lammersa wykazało, że 82% spośród psychologów o poglądach konserwatywnych deklaruowało istnienie nieprzyjaznego klimatu, w którym trudno im wyrazić swoje przekonania. Efektem może być ucieczka osób o przekonaniach konserwatywnych z uniwersytetów, a w szczególności z wydziałów nauk społecznych, gdzie ich poglądy są szczególnie nieakceptowane. Mając świadomość tego problemu, warto uczynić uczelnie miejscem wolnej ekspresji poglądów i przekonań politycznych, tak długo, jak nie są to poglądy nawołujące do dyskryminacji. Nie może się to odbywać oczywiście w ramach zajęć dydaktycznych i tworzyć wrażenia, że jakiegokolwiek polityczne poglądy mają charakter normy, a wszelkie odmienne przekonania polityczne są nieakceptowalne. Podobnie w wypadku studentów należy dopuszczać

wszelkie formy ich aktywności politycznej, o ile tylko nie zagrażają one wartościom różnorodności (nie propagują ideologii dyskryminujących kogoś ze względu na pochodzenie etniczne, narodowe, płeć czy orientację) oraz nie stoją w sprzeczności z nauką. Uczelnia otwarta na odmienną może rozwijać się bardziej dynamicznie niż homogeniczna wspólnota osób o identycznych przekonaniach. Warto jednak podkreślić, że zagadnienia te powinny być przedmiotem troski samej uczelni i autonomicznego środowiska akademickiego. Ingerencje polityków w tym obszarze są trudne do zaakceptowania.

Istotą obu omówionych na początku postępowań dyscyplinarnych był dylemat pomiędzy pełną wolnością ekspresji przekonań politycznych a prawem mniejszości studiujących i pracujących na uczelniach. Słuchając wypowiedzi ministra Gowina można było odnieść wrażenie, że absolutyzując wolność wypowiedzi, nie jest on gotów dostrzec tego dylematu. Gwarantując wolność wypowiedzi w granicach polskiego prawa zdaje się on ignorować fakt, że polskie prawo (art. 257 kodeksu karnego) chroni przed znieważeniem mniejszości narodowe, etniczne, rasowe czy wyznaniowe, jednak ochroną taką nie są objęte mniejszości seksualne.

Zespoły różnorodne pracują efektywniej

Niezależnie od aktualnego stanu prawnego, osobom nieheteroseksualnym na uczelniach należy stworzyć warunki studiowania wolnych od wszelkich przejawów dyskryminacji. Jest to również w interesie samych uczelni. W głoszonym przed kilku laty książce Richarda Floridy *Narodziny klasy kreatywnej* przedstawiono dobrze udokumentowaną tezę, że głównym czynnikiem rozwoju gospodarczego współczesnych miast jest istnienie specyficznej grupy pracowników, których Florida nazwał „klasą kreatywną”. Są to naukowcy, artyści, pracownicy wolnych zawodów i pracownicy biznesu z doświadczeniem pracy naukowej. Analizując najszybciej rozwijające się miasta, doszedł do wniosku, że innowacyjność łączy się z otwartością danego ośrodka miejskiego na różnorodność (nazywał ją „indeksem bohemy”, „indeksem różnorodności” bądź wręcz „Gej-indeksem”). Zauważył, że miasta różnorodne, w których ścierają się różne idee i współistnieją ze sobą rozmaite grupy etniczne czy społeczne, stają się atrakcyjne dla innowatorów. Członkowie klasy kreatywnej wybierają do życia takie miejsca, w których większa jest akceptacja dla różnorodności. Zatrudnienie wybitnego lekarza, informatyka czy projektanta jest dużo łatwiejsze, gdy firma znajduje się w Berlinie, Nowym Jorku, Londynie bądź San Francisco, a zdecydowanie trudniejsze w miejscach niesprzyjających różnorodności.

Liczne badania psychologiczne wykazują, że zespoły różnorodne (składające się z osób o różnych tożsamościach, zróżnicowanych kulturowo czy językowo) pracują efektywniej, generują bardziej racjonalne rozwiązania, wykazują się wyższym poziomem kreatywności. Różnorodność przekłada się bezpośrednio na efektywność, w tym na efektywność akademicką mierzoną choćby jakością publikacji naukowych.

Nieskrępowana wolność wypowiedzi narzucona odgórnie polskim uniwersytetom może nie tylko sprzyjać dyskryminacji werbalnej mniejszości seksualnych, może również utrudniać funkcjonowanie studentów zagranicznych czy mniejszości etnicznych na polskich uczelniach. Przeprowadzone w 2018 roku badanie ponad tysiąca cudzoziemców studiujących w Warszawie wykazało, że 59% z nich w czasie pobytu w Polsce doświadczyło zachowań dyskryminujących ze strony Polaków. Często zachowania te miały miejsce na uczelni. Sprawcami byli nieraz wykładowcy. Warto przytoczyć kilka pojawiających się w wywiadach wypowiedzi zagranicznych studentów: „Do mojej koleżanki z grupy wykładowca powiedział: Wracaj do



Fot. Stefan Cechan

swojego kraju!”, „Podczas dyżuru wykładowca zapytał: Po co wy ze Wschodu ciągle przyjeżdżacie do Polski?”, „W domu studentki pracownicy recepcji są bardzo nieuprzejmi, traktują nas niesprawiedliwie, wydają się rasistami. Wyprowadziłem się. Wiedziałem, że recepcjonista mówi trochę po angielsku, ale nie chciał, ponieważ moja koleżanka miała na sobie hidżab”. Studentki zagraniczni, którzy częściej spotykali się z dyskryminującymi wypowiedziami, mieli w efekcie gorszy nastrój, a nawet częstsze zaburzenia lękowe.

Ofiarami werbalnej dyskryminacji na uczelniach coraz częściej padają kobiety. Raport przygotowany przez zespół Centrum Badań nad Uprzedzeniami UW dla Rzecznika Praw Obywatelskich wykazał, że ponad 40% polskich studentek słyszało na uczelni dyskryminujące komentarze na temat wyglądu, życia prywatnego czy seksualności, a 24% doświadczyło niechcianego kontaktu fizycznego (obejmowanie, całowanie).

Powszechność tych zjawisk uświadamia, jak często wolność słowa na uczelni może być nadużywana do głoszenia treści sexistowskich, rasistowskich czy homofobicznych. Istnieją jednak na uczelniach instytucje i procedury, które mają na celu ochronę kobiet, mniejszości seksualnych, mniejszości etnicznych czy studentów zagranicznych. Wprowadzona nowelizacja ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym może poważnie zagrożić ich skutecznemu funkcjonowaniu.

Komisje do spraw wypowiedzi

Na Uniwersytecie Warszawskim w 2010 roku powołano Komisję Rektorską ds. Przeciwdziałania Dyskryminacji, która zajmuje się monitorowaniem sytuacji w zakresie równego traktowania (ze względu na płeć, wiek, rasę, wyznanie, niepełnosprawność i orientację seksualną), rozwiązywaniem problemów związanych z przypadkami dyskryminacji oraz udzielaniem pomocy osobom dotkniętym dyskryminacją. Komisja posiada internetowy system zgłoszeń (umożliwiający anonimowość) i reagując na przypadki dyskryminacji informuje kierowników jednostek uniwersyteckich (czasem wywierając nacisk, gdy dyskryminacja ma charakter strukturalny), występuje do organów uczelni z wnioskami o wszczęcie postępowania dyscyplinarnego, bierze też udział w mediacjach pomiędzy stronami konfliktów. Informacja o istnieniu komisji jest przekazywana studentom rozpoczynającym studia, dzięki czemu wiedzą oni, gdzie można się zwrócić, gdy dochodzi do zachowań czy wypowiedzi dyskryminujących. Podobne komisje lub zespoły funkcjonują też na innych uczelniach (m.in. Zespół Roboczy ds. Przeciwdziałania Dyskryminacji na Uniwersytecie Łódzkim czy Stała Komisja Rektorska ds. Przeciwdziałania Dyskryminacji na Uniwersytecie Przyrodniczym we Wrocławiu).

Na wielu uczelniach prowadzone są regularne szkolenia antydyskryminacyjne. Są one stosunkowo powszechne na uczelniach amerykańskich. Na Uniwersytecie Virginii wszyscy pracownicy zobligowani są do odbycia co dwa lata kursu z zakresu przeciwdziałania oraz ograniczenia dyskryminacji i innych form dokuczliwości. Kurs ten można odbyć w formie elektronicznej bądź w formie zajęć stacjonarnych. Uczestnicy zajęć dowiadują się, jak rozpoznać dyskryminację bądź molestowanie, jak reagować w sytuacjach, gdy tego typu zachowania zauważy się w otoczeniu oraz jakie są możliwości zgłaszania niewłaściwych zachowań przełożonym. W trakcie szkolenia uczestnicy zapoznają się też z zasadami antydyskryminacyjnymi obowiązującymi na uniwersytecie i mają możliwość pobrania materiałów edukacyjnych dotyczących kwestii uprzedzeń i dyskryminacji. Na Uniwersytecie Oklahomy szkolenie takie jest obowiązkowe przynajmniej raz w wypadku każdego nowo zatrudnionego pracownika (zwykle w ciągu 30 dni od zatrudnienia).

Również na Uniwersytecie Warszawskim wprowadzono e-learningowy „Kurs na Równość – Przeciwdziałanie dyskryminacji na UW” dla studentów i pracowników, który zawiera praktyczne informacje dotyczące nierównego traktowania i dyskryminacji. Kurs ten został stworzony przez naukowców z Centrum Badań nad Uprzedzeniami UW i obejmuje wiedzę z zakresu dyskryminacji i jej konsekwencji, podejmuje temat równości płci i rozwija podstawowe umiejętności reagowania w przypadku dyskryminacji.

Ukończenie szkolenia antydyskryminacyjnego powinno się stać obowiązkiem każdej osoby przyjmowanej do pracy i rozpoczynającej studia na uczelni (na wzór szkoleń z zakresu bezpieczeństwa i higieny pracy, z zakresu podstaw ochrony własności intelektualnej czy szkoleń bibliotecznych). Łatwość realizacji takich szkoleń za pomocą platform e-learningowych powinna sprzyjać upowszechnieniu się ich w codziennej praktyce szkół wyższych.

Poradnik języka niedyskryminującego

Dyskryminacja werbalna bierze się nie tylko ze złe rozumianej wolności słowa. Często jest wynikiem zwykłej niewiedzy. Czasem w sposób zupełnie nieświadomy przekazujemy w naszych wypowiedziach komunikaty wykluczające kobiety, mniejszości czy obcokrajowców, sugerując, co jest normą, a co do normy nie należy. W krajach mierzących się z dyskryminacją rdzennej ludności dość wcześnie wprowadzono na uczelniach zasady posługiwania się niedyskryminującym językiem. W Australii czy Nowej Zelandii tego typu poradniki językowe funkcjonują na wielu uczelniach. Często nazywane są wskazówkami włączającym języka, a zatem takiego, który przekazuje szacunek dla różnorodności i jest pozbawiony stereotypizacji czy fraz i słów powodujących uczucie wykluczenia u osób należących do grup mniejszościowych.

W ostatnich miesiącach językoznawcy z Uniwersytetu Warszawskiego opracowali poradnik języka niedyskryminującego dla swojej uczelni. Obejmuje on wskazówki dotyczące zwracania się do członków społeczności akademickiej (np. unikanie generycznych form męskich – „studenci i studentki” zamiast „studenci”), mówienia o grupach mniejszościowych (np. „osoby homoseksualne” zamiast „homoseksualiści”, „osoby z niepełnosprawnością” a nie „kalecy”, „muzulmanie” a nie np. „islamiści”). Choć wiele tych wyborów językowych wydaje się dość oczywistymi, to jednak doświadczenia komisji antydyskryminacyjnych działających na polskich uczelniach wskazują, że wcale takimi nie są, a do komisji sływa wiele skarg na wykładowców, studentów czy pracowników domów akademickich, którzy zwracają się w sposób niewłaściwy do innych członków społeczności akademickiej.

Opisane powyżej działania to kilka przykładów dobrych praktyk, które mają na celu uczynienie uczelni miejscem przyjaznym dla wszystkich pracowników i studentów niezależnie od ich płci, narodowości czy orientacji psychoseksualnej. Uczelnie powinny być też otwarte na ludzi o różnych poglądach, zarówno lewicowych, jak i prawicowych. Troska o otwartość światopoglądową nie może jednak oznaczać wolności do obrażania i dyskryminowania. A wszelkie działania organów państwowych muszą uwzględniać autonomię uczelni w kształtowaniu skutecznych działań antydyskryminacyjnych. Jest to również warunkiem rozwoju i efektywności naukowej polskich uniwersytetów.

(Artykuł stanowi rozwinięcie tez zaprezentowanych w książce *Uniwersytet XXI wieku. Między uniwersytetem Humboldta a uniwersytetem badawczym* pod redakcją J.M. Brzezińskiego i T. Wallasa, która ukaże się nakładem wydawnictwa UAM.)

Dr hab. Michał Bilewicz, prof. UW, psycholog społeczny, kierownik Centrum Badań nad Uprzedzeniami UW oraz wykładowca na Wydziale Psychologii UW.

Szkolenia i warsztaty dla pracowników uczelni*

wiosna 2020



instytutpwn.pl/branza-akademicka

JAK Z SUKCESEM PRZYGOTOWAĆ WNIOSEK O GRANT?

 21 lutego | Warszawa
 dr Victoria Kamasa



cena
regularna
*599 zł

ARTYKUŁ JAKO ŹRÓDŁO SUKCESU NAUKOWEGO – JAK PISAĆ SKUTECZNIE?

 10 marca | Warszawa
 dr hab. Piotr Siuda

do
24 lutego
*559 zł

INNOWACYJNE METODY DYDAKTYCZNE

 11 marca | Warszawa
 Katarzyna Szczepkowska-Szczyński,
Mirośława Suchocka



do
23 lutego
*399 zł

DESIGN THINKING NA UCZELNI

 6 kwietnia | Warszawa
 Beata Michalska-Dominiak

do
12 marca
*399 zł

STOSOWANIE METOD ILOŚCIOWYCH I JAKOŚCIOWYCH W PROWADZENIU BADAŃ SPOŁECZNYCH

 7 kwietnia | Warszawa
 dr Sylwia Bedyńska

do
27 marca
*559 zł

SCOPUS I WEB OF SCIENCE – JAK PUBLIKOWAĆ EFEKTYWNIE W NAUKACH ŚCISŁYCH?

 7 maja | Warszawa
 dr hab. Michał Krzyżaniak

do
7 kwietnia
*559 zł

Instytut PWN zaprasza także na

SZKOLENIA ZAMKNIĘTE NA ZAMÓWIENIE UCZELNI

Współpracujemy z ekspertami z zakresu: wykorzystania AI w badaniach, prawa o szkolnictwie wyższym, statystyki (SPSS), grantów badawczych (pozyskiwania i rozliczania), podnoszenia kompetencji miękkich (wystąpienia publiczne, metody dydaktyczne) czy bezpieczeństwa na uczelni.

GRUPA ODBIORCÓW:

PRACOWNICY NAUKOWI | DOKTORANCI | ADMINISTRACJA | BIBLIOTEKARZE

Sprawdź pełną ofertę na: instytutpwn.pl/szkolenie-na-zamowienie



SPRAWDŹ >> [szkolenia dla kadry akademickiej](#) | [szkolenia dla bibliotek](#)

INSTYTUT  PWN



KONTAKT
tel. 22 695 43 02
karolina.pawlak@pwn.pl

instytutpwn.pl

*CENY NETTO + VAT 23%



Marek Misiak

Ta najtrudniejsza popularyzacja

Popularyzacja wiedzy wśród dzieci i młodzieży jest z mojego punktu widzenia trudniejsza niż pisanie książek dla dorosłych. Nigdy nie ma gwarancji, że dobrze wyczują, jak skomunikować się z młodym odbiorcą.

Fot. Stefan Ciechan

Grzegorz Turnau w piosence *Szli tędy ludzie*, stanowiącej adaptację wiersza Bolesława Leśmiana *Ludzie* z pośmiertnie (w 1938 roku) wydanego tomu *Dziejba leśna*, śpiewa w dodanym przez siebie fragmencie: „Oni o nas, a my o nich / Nic nie wiemy – tylko tyle / Ze bywają nagle zmierzchy / I przychodzą pewne chwile”. Ten cytat dobrze opisuje relacje między autorem a redaktorem w sytuacji, gdy żaden z nich nie znajduje się ani przez moment w skórze tego drugiego i „nie wie, jak to jest”. Autorom nieposiadającym przygotowania edytorskiego zdarza się – np. z racji humanistycznego wykształcenia – redagować cudze teksty i bywa wówczas, że świadomie lub nieświadomie starają się nakłonić autora do przyjęcia zarówno swojego punktu widzenia, jak i stylu (widywałem takie sytuacje przy pracy nad publikacjami naukowymi z obszaru neofilologii i historii).

Przekroczenie magicznej granicy w drugą stronę bywa jeszcze bardziej pouczające. Zdarza się, że redaktor przypomni sobie niespełnione ambicje z czasów studiów (niczym Adaś Miauczyński w *Dniu świra*: „Zdawało się nam, że przyjęto nas do szkoły poetów...”) albo po prostu otrzyma zlecenie na napisanie książki. Szczególnie ciekawym doświadczeniem jest wówczas pisanie, a następnie przerabianie we współpracy z redaktorem, książki dla dzieci lub młodzieży, mającej na celu popularyzację wśród młodych czytelników jakiejś dziedziny wiedzy.

Zderzają się wówczas nie dwa woluminy wiedzy fachowej, ale wyobrażenia i przekonania, które z natury nie są intersubiektywne, a jednocześnie potrafią być naprawdę głęboko zakorzenione. Nie są bynajmniej pozaracjonalne (a nawet jeśli, to w tym kontekście nie jest to zarzut), po prostu nie zawsze dają się uzasadnić.

Dziecko tego nie zrozumie

Na czym konkretnie zasadza się problem? Miałem ostatnio okazję jedną taką popularyzatorską książkę dla młodych czytelników pisać (o tym, jak powstaje książka), a drugą redagować (o astronomii) i kłopot był tak naprawdę z tym samym, tyle że obserwowałem go z dwóch stron: jaki poziom skomplikowania – zarówno przekazywanej wiedzy, jak i języka – jest optymalny dla odbiorcy? Kiedy dziecko tego nie zrozumie, a kiedy tekst ma zbyt potoczny charakter, niepasujący do, było nie było, popularnonaukowego charakteru publikacji? Spotykają się tu dwie intuicje, gdy jest to problem nie do odtworzenia w warunkach laboratoryjnych. Prowadzone są wprawdzie badania naukowe nad czynnikami warunkującymi zrozumiałość tekstu dla różnych grup odbiorców i opracowano szereg narzędzi pozwalających do pewnego stopnia mierzyć taką zrozumiałość i wyrażać wyniki takich pomiarów liczbowo, ale na razie nierealne jest, by badania przeprowadzać z każdą wydawaną książką – pro-

wadzenie wydawnictwa byłoby wówczas nieopłacalne. Pozostaje zatem bazować na tym, co się autorowi i wydawcy nomen omen wydaje. Jeden się upiera, że „dziecko tego nie zrozumie”, drugi zarzuca mu, że nie docenia dzieci. Uzasadnienie? Zapowietrzenie. Ale to nie znaczy, że któryś z nich nie ma racji lub że prawda nie leży pośrodku.

Częściej jest tak, że redaktorzy mają niższe mniemanie o możliwościach intelektualnych młodych odbiorców, ale warto, by autorzy pamiętali, że nie wynika to ze złego zdania o młodym pokoleniu w ogólności. Są dwa źródła takiego podejścia: doświadczenie oraz fakt, że redaktor nie jest związany (intelektualnie, ale i emocjonalnie) ani z danym obszarem wiedzy, ani z danym tekstem. Doświadczenie może wynikać zarówno z faktu, że redaktor pracował już wcześniej nad podobnymi publikacjami, ale i z tego, że sam ma dzieci (nie ironizuję – osoba, która redagowała dwie moje publikacje dla dziesięciolatków, sama ma dwójkę dzieci i to wyraźnie procentowało podczas współpracy). Być może do redakcji lub personalnie do redaktora docierały wcześniej uwagi np. od rodziców młodych czytelników, którzy mimo zachęt rzucali takie książki w kąty, gdyż nie rozumieli znaczących partii tekstu. Być może sam redaktor „testował” te publikacje na swoich pociechach (jeśli były w odpowiednim wieku) i testy wypadły negatywnie.

To wszystko są rzeczy ważne

Natomiast dystans do tekstu sprawia, że redaktor lepiej widzi jego niedociągnięcia. Dlaczego pierwsze wersje takich publikacji często są zbyt trudne dla odbiorców? Widzę tu trzy nakładające się przyczyny. Po pierwsze – jeśli dostatecznie dobrze się na czymś znamy – obojętnie, czy chodzi o fizykę kwantową, czy naprawę rowerów – pewne kwestie stają się dla nas oczywiste. W bardziej ekstremalnej wersji autor się upiera, że pewnych rzeczy w ogóle nie ma sensu wyjaśniać, bo są oczywiste (ale nie dla dziesięciolatka), w mniej skrajnej – że trzeba zawrzeć jeszcze to i to, i tamto, bo to wszystko są rzeczy ważne (nikt nie neguje, że są, ale dla młodego odbiorcy to może być po prostu zbyt wysoki level).

Ten ostatni problem ujawnił się podczas redagowania przeze mnie publikacji popularyzującej astronomię. Nie jestem w tej dziedzinie specjalistą i moim zadaniem była głównie językowa obróbka tekstu, ale poproszono mnie też o ocenę stopnia jego trudności. Tymczasem kłopot pojawił się na poziomie znacznie bardziej podstawowym – objętości. Autor stworzył nie książeczkę, lecz dzieło o objętości kilkakrotnie przekraczającej zadaną. Utrzymywał, że to już absolutne minimum do opanowania podstaw astronomii. Był bliski zerwania umowy, zdawał się nie rozumieć, że to książeczka dla dziesięciolatków, a nie kurs dla liceów. Dopóki pisał o planetach i ich księżycach, nic nie zapowiadało katastrofy. Ale gdy nie przyjmował do wiadomości, że cały osobny rozdział o punkcie Langrange’a to za dużo, ja i drugi redaktor byliśmy bezradni. Prace nad książką trwają i w kontaktach z autorem przyjęliśmy taktykę przypomnienia mu praktycznie za każdym razem, że zadana objętość jest wartością graniczną, której z przyczyn od nas niezależnych nie możemy przekroczyć. Możemy naginać deadline (co w branży wydawniczej i tak jest świętokradztwem), ale nie objętość książki. Ten argument zawsze działa, jednak mamy kaca moralnego, bo to dość niska piłka.

Po drugie, czasem jest tak, że dany autor ma już pewne doświadczenie w popularyzacji swojej dziedziny wiedzy wśród dzieci i młodzieży, ale dotąd stykał się głównie z młodymi ludźmi bardzo nią zainteresowanymi i posiadającymi już pewne przygotowanie, podczas gdy przygotowawana publikacja jest przeznaczona dla szerszego grona odbiorców. Ocena co już jest poziomem zaawansowanym, a co jeszcze podstawowym,

nie jest łatwa. Bardziej doświadczeni redaktorzy mówili mi, że problem ten można spotkać przede wszystkim przy publikacjach popularyzujących matematykę, fizykę lub chemię, gdyż w tych obszarach różnych propozycji dla młodocianych geeków jest najwięcej i naukowiec-popularyzator może stykać się głównie z taką młodzieżą.

Czym są strony widzące

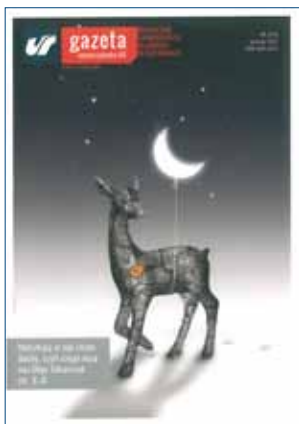
Po trzecie, czasem trudno wyjaśnić laikowi pewne zagadnienie lub pojęcia bez odwoływania się do innych pojęć, które także mogą mu być nieznanne. Nie dotyczy to wyłącznie dziedzin tak skomplikowanych, jak fizyka jądrowa – sam boleśnie tego doświadczyłem, pisząc książkę o tym, jak powstaje książka. Okazało się, że wyjaśnienie komuś, kto pierwszy raz styka się z problematyką edytorską, czym są strony widzące lub register, wcale nie jest takie proste, jeśli ma to być tekst, a nie demonstracja na żywo. Podobnie było z omawianiem różnych rodzajów marginesów w książce – w którymś momencie zdecydowałem się skrócić odnośny rozdział, ponieważ zdałem sobie sprawę, że nawet najmądrzejsze dziecko ma dużą szansę się w nim zgubić. Gdyby nie wskazówki redaktora, mogłem skończyć jak prelegent na wykładzie upowszechniającym wiedzę o marksizmie, który zorganizowano kiedyś dla mieszkańców Białego Dunajca. Zaprzyjaźniona gaździna wspominała: „Ceper z Krakowa go doł barzo długo i mądrze, alem nic z tego nie zrozumiała”.

Próbując umknąć z paszczy Scylli zbyt wysokiego poziomu zaawansowania, autorzy wpadają jednak nie raz na Charybde upraszczania ponad miarę i wyjaśniania różnych kwestii na sposób i językiem wujka tłumaczącego coś bratankowi u cioci na imieninach. Czyhają tu trzy niebezpieczeństwa. Pierwsze – młody czytelnik może się zwyczajnie poczuć niepoważnie traktowany. Wynika to zarówno z bardziej niż kiedyś podmiotowego traktowania dzieci, ale i z tego, że „dziecko” może oznaczać odbiorcę zarówno ośmioletniego, jak i dwunastoletniego. A różnica jest tu fundamentalna. Komunikat do ośmiolatków można jeszcze zacząć od: „A teraz, drogie dzieci, wujek Mietek wytłumaczy wam, co to jest Pas Kuipera”. Zaczynanie w ten sposób komunikatu do dwunastolatków nie ma z *captatio benevolentiae* nic wspólnego. Młodzież określa chyba tego typu sytuację mianem samozaorania. Drugie niebezpieczeństwo – w pogoni za pewnością, że tekst jest zrozumiały, zagadnienie można tak strywializować, że młody odbiorca nabierze o nim błędnego mniemania, które w przyszłości trudno będzie wykorzystać. Między dopuszczalnym uproszczeniem a uproszczeniem przeinaczającym jest jednak istotna różnica. Trzecie – publikacja popularyzująca, nawet przeznaczona dla dzieci, to jednak nie książeczka z bajkami. Nie chodzi tu wyłącznie o kwestie stylistyczne; nie jestem osamotniony w przekonaniu, że młodych ludzi trzeba jednak stopniowo wdrażać w to, że nie zawsze jest możliwa nauka przez zabawę, i że nie wszystko można podać w lekkostrawnej formie. Żeby się czegoś nauczyć, trzeba to zrozumieć, a w tym celu trzeba jednak choć trochę się wysilić. Niektórzy ludzie mają współcześnie takie oczekiwania również w dorosłym życiu: żeby zawsze było miło i przyjemnie. Tymczasem nieraz widywałem dzieci, które czuły się poważnie traktowane właśnie dlatego, że dorośli stawiali przed nimi wyzwania.

Popularyzacja wiedzy wśród dzieci i młodzieży jest z mojego punktu widzenia trudniejsza niż pisanie książek dla dorosłych. Nigdy nie ma gwarancji, że dobrze wyczuję, jak skomunikować się z młodym odbiorcą. Dlatego się cieszę, że współpracuję z profesjonalistami. Jeśli będę jako autor otwarty na ich sugestie, jest szansa, że nastąpi efekt synergii i mój wyobrażony mały czytelnik uzna, iż to, jak powstaje książka, interesuje go i chce wiedzieć więcej, już od ludzi mądrzejszych niż ja.

Zaczyna się od pomysłu

W październiku ub.r. rozpoczęła się trzecia edycja zainicjowanego przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego programu „Doktorat wdrożeniowy”. Fundamentem, na którym opiera się idea przedsięwzięcia, jest „tworzenie odpowiednich warunków do bliskiej współpracy instytucji szkolnictwa wyższego i podmiotów naukowych z reprezentantami otoczenia społeczno-gospodarczego”. Innymi słowy chodzi o to, by nowatorski pomysł przyszłego doktora przekształcić w konkretne rozwiązanie, które znajdzie następnie praktyczne zastosowanie w różnego rodzaju działalności, czy to przemysłowej, czy usługowej.



Uniwersytet Śląski jest podmiotem, który realizuje 11 tego typu doktoratów, informuje „Gazeta Uniwersytecka UŚ” (nr 3/2019). Zdaniem dr hab. Iwony Jelonek z Instytutu Nauk o Ziemi Wydziału Przyrodniczego UŚ, która jest uczelnianym koordynatorem przedsięwzięcia, osoby wybierające ten rodzaj naukowej aktywności mogą czuć satysfakcję z tego, że stają się świadkami przekształcania się w rzeczywistość koncepcji istniejącej do tej pory jedynie w sferze ich intelektu. Jednocześnie osoby takie stanowią doskonałą motywację dla wszystkich, którzy aspiracje sięgają naprawdę wysoko. Realizowanie procesu kształcenia poprzez uczestnictwo w programie „Doktorat wdrożeniowy” jawi się więc jako możliwość zarówno zdobycia kolejnego stopnia naukowego, jak i współtworzenia nowego obrazu środowiska społeczno-gospodarczego.

Biobankujmy!

Kilka lat temu tygodnik „The Times” zaliczył biobankowanie do 10 idei, które mają potencjał, by zmienić świat. O tym, dlaczego tego rodzaju koncepcja jest istotna, szczególnie z punktu widzenia rozwoju medycyny, a także o meandrach jej funkcjonowania w naszym kraju, opowiada prof. dr hab. n. med. Małgorzata Lewandowska-Szumieł, kierownik Laboratorium Badawczego-Banku Komórek WUM, w rozmowie z czasopismem Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego „Medycyna Dydaktyka Wychowanie” (nr 11/2019).



Podmiot zarządzany przez interlokutorkę formalnie powstał w związku z realizacją projektu „Potencjał terapeutyczny mezenchymalnych komórek macierzystych, testowany w próbach klinicznych oraz in vitro – uzasadnienie dla bankowania scharakteryzowanych komórek”. Podobnie, jak działające na całym świecie banki komórek, tak i warszawska jednostka powołana została do wypełnienia zadań charakterystycznych dla tego rodzaju podmiotów. A te

zobowiązane są zarówno do biobankowania, jak i przechowywania w postaci komórek materiału biologicznego pochodzącego od dawców, a także do wykorzystywania komórek w celu przygotowania leku.

Jak podkreśla prof. Lewandowska-Szumieł, istnienie tego rodzaju placówek stanowi z pewnością przyszłość współczesnej medycyny, dążącej niezmiennie do uzyskania nowej jakości skomplikowanego procesu leczenia. Cieniem na obrazie tego innowacyjnego i bardzo potrzebnego przedsięwzięcia kładzie się jednak aspekt finansowy. Utrzymanie laboratorium wraz ze znajdującą się infrastrukturą wymaga bowiem zainwestowania sporych nakładów, bez których niemożliwe jest spełnienie najwyższych, wymaganych w takich przypadkach standardów jakości.

Idea biobankowania zalicza się, jak widać, do koncepcji na tyle istotnych, chociażby z punktu widzenia rozwoju nauk medycznych, że pozostaje, zdaniem rozmówczyni, mieć nadzieję, iż uda się pokonać wszelkie istniejące bariery i pozyskać odpowiednie środki, by można było kontynuować rozpoczęte przedsięwzięcie.

Kolejna inicjatywa wystartowała

Wojskowa Akademia Techniczna im. Jarosława Dąbrowskiego wzbogaciła się o nową jednostkę organizacyjną. Na mocy zarządzenia rektora powołano bowiem do życia Szkołę Doktorską WAT. Podjęte przez władze uczelni działania stanowiły odpowiedź na wymogi nałożone przez Ustawę 2.0, której zapisy stanowią, że kształcenie doktorów odbywać się ma w obrębie szkół doktorskich.



Szczegóły funkcjonowania nowego podmiotu zaprezentowane zostały na łamach „Głosu Akademickiego” (nr 6-7-8-9/2019). Z opublikowanego tekstu dowiedzieć się można, że

SDR WAT prowadzić będzie kształcenie w ramach siedmiu dyscyplin naukowych: automatyki, elektroniki i elektrotechniki, informatyki technicznej i telekomunikacji, inżynierii lądowej i transportu, inżynierii materiałowej oraz inżynierii mechanicznej, nauk o bezpieczeństwie i wreszcie nauk chemicznych. Cały proces kształcenia obejmie 8 semestrów, a proces dydaktyczny złożony będzie z obowiązkowego dla wszystkich doktorantów modułu podstawowego, ze związanych z poszczególnymi dyscyplinami modułów fakultatywnych oraz z praktyk zawodowych. Nowością jest wprowadzenie śródkresowej oceny realizacji indywidualnego planu badawczego doktoranta, którą przeprowadzi uczelnia w 3-osobowym składzie, w tym z udziałem osoby spoza uczelni.

W całej przyjętej koncepcji zaplanowane zostały odmienne niż dotychczasowe metody pracy. Tradycyjne formy kształcenia zastąpione zostaną bowiem przez seminaria oraz warsztaty. Każde z podjętych działań ma na celu przekształcenie klasycznego modelu studiowania w partnerską relację tworzoną przez promotora i młodego badacza, będącego w tym przypadku doktorantem.

Aneta Zawadzka

Henryk Grabowski

Tolerancja – pobłażanie czy poszanowanie

Słowo tolerancja może być rozumiane dwojako. Może oznaczać pobłażanie dla odmiennych zachowań, upodobań, wizerzeń lub odnoszenie się do nich z szacunkiem. Pobłażanie może mieć konotacje obyczajowo neutralne lub negatywne. Szacunek wyłącznie pozytywne.

Można być pobłażliwym dla kogoś, kto kłamie, oszukuje, kradnie, a zarazem stawiać siebie wyżej, a nawet pogardzać nim. Nie można szanować odmienności etnicznych, rasowych, religijnych, seksualnych, a równocześnie być przekonanym o swojej wyższości. Wynika to z racjonalnych, a nie – jak się na ogół sądzi – moralnych przesłanek. W pierwszym przypadku chodzi o właściwości lub zachowania, na które możemy mieć wpływ. W drugim ich wybór jest poza zasięgiem naszych możliwości. Nikt nie może wybrać sobie koloru skóry, kraju pochodzenia czy orientacji seksualnej.

Z wypowiedzi niektórych polityków, a także duchownych, wynika, że często nie dostrzegają oni różnicy między pobłażliwością a szacunkiem dla odmienności lub wręcz utożsamiają tolerancję wyłącznie z pobłażliwością. Jest to problem nie tylko

natury semantycznej, ale także doniosły w skutkach społecznych. Pobłażliwość nie wyklucza przeświadczenia, że istnieje tylko jeden słuszny światopogląd, model życia, system wartości. Zwykle towarzyszy temu pokusa nawracania na jedynie słuszną drogę postępowania, co jest ze swej istoty społecznie konfliktogenne.

Aby zrozumieć, że tolerancja jest kategorią intelektualną, a nie moralną, wystarczy uzmysłwić sobie, że gdyby Karol Wojtyła urodził się w Arabii Saudyjskiej, to byłby zapewne muzułmaninem, a nie świętym Kościoła katolickiego.

Wychowanie do tolerancji nie może się ograniczać do jej apoteozy, jako właściwości znamiennej dla jednostek szlachetnych i wielkodusznych. Musi ono również wskazywać na źródła nietolerancji, które tkwią przede wszystkim w deficytach wiedzy i inteligencji. Obskurantyzm jako taki można napiętnować. Ludzie ograniczeni umysłowo wymagają rewalidacji i rehabilitacji jak każdy inny przypadek niepełnosprawności. W języku nauk pedagogicznych oznacza to reedukację, która jest zawsze bardziej kosztowna i mniej skuteczna od edukacji.



Fot. Stefan Ciechan

Z energią dla klimatu

Okazuje się, że fusy po kawie to wysokoenergetyczny produkt, który w formie brykietów doskonale nadaje się do kominka czy na grill. Jego spalanie jest zeroemisyjne, zatem do powietrza dostaje się mniej śmieci, które wdychamy, a przy okazji oszczędzamy lasy.

Uniwersytecki Ośrodek Transferu Technologii Uniwersytetu Warszawskiego oraz Centrum Współpracy i Dialogu tej uczelni wspólnie z Centrum Zarządzania Innowacjami i Transferem Technologii Politechniki Warszawskiej organizują Klub Innowacji PLUS. 16 stycznia 2020 odbyło się kolejne spotkanie klubu, tym razem poświęcone kwestiom związanym z magazynowaniem energii i szeroko rozumianym zagadnieniom ochrony środowiska. W trakcie spotkania prezentowały swoje pomysły i osiągnięcia akademickie start-upy UW i PW.

Tylko wyobraźnia ogranicza

Nasze potrzeby energetyczne rosną, istotna jest więc kwestia nie tylko efektywnego wykorzystywania energii, lecz także

jej pozyskiwanie. Uniwersytecki start-up KLAB zaprezentował ciekawe rozwiązanie, które w skrócie można określić jako nowe życie starego urządzenia. Chodzi o akumulator. Znamy tradycyjny, kwasowo-ołowiowy, ale z drugiej strony... Twórcy pomysłu wyszli z założenia, że zanim będziemy mieć super wydajne i powszechne w użyciu rozwiązania litowo-jonowe, warto skorzystać z rozwiązań starych, ale w nowym wydaniu. Zaproponowany przez nich kompozytowy akumulator ołowiowo-kwasowy ma o 50% większą pojemność niż dotychczas używany. Potrzeba do jego budowy na razie o 20%, docelowo zaś o 30% mniej ołowiu, który – przypomnijmy – jest surowcem dostępnym w Polsce i recyklingowanym w 100%. Akumulator można



wykorzystywać zarówno w małych gospodarstwach domowych, firmach, jak i większych przedsiębiorstwach. Pozwala na zmagazynowanie czterokrotnie większej ilości energii niż dotychczas stosowane.

Jeśli ktoś ma wyrzuty sumienia, że pije zbyt dużo kawy, istnieje rozwiązanie – wprowadził nie tylko dla kawiarzy – które przedstawił politechniczny start-up EcoBean. W skrócie: to drugie życie kawy, a ściślej pozostałych po jej zaparzeniu fusów. Okazuje się, że to wysokoenergetyczny produkt, który w formie brykietów doskonale nadaje się do kominka czy na grill. Jego spalanie jest zeroemisyjne, zatem do powietrza dostaje się mniej smęci, które wdychamy, a przy okazji oszczędzamy lasy. Ba, z fusów kawowych można także otrzymywać polimer, a z niego np. tacki na grill albo łatwo degradowalne kubki do kawy – zamykając niejako cały proces. Takie trochę kawowe perpetuum mobile.

Jeśli jednak nasze fusy nie trafią na linię technologiczną do ponownego wykorzystania, tylko wraz ze ściekami spłyną do wód, to warto się zainteresować innym ciekawym rozwiązaniem zaprezentowanym przez RDIS z UW, jakim są filtry gruntowe do oczyszczania wód ściekowych wykorzystujące rośliny i mikroorganizmy. To rozwiązanie znacznie tańsze niż tradycyjne, proste, łatwe w obsłudze, a co ważniejsze, zwłaszcza przy gospodarstwach domowych, pozbawione przykrych zapachów. Jego wadą może być to, że wymaga od 2 do 5 metrów kwadratowych powierzchni na użytkownika, ale woda tym sposobem odzyskana może być ponownie wykorzystana np. do podlewania ogródka.

To taka zielona chemia i z nią wiąże się kolejny wynalazek zaprezentowany przez Inelco – stopy, które mogą być wykorzystywane np. do ogniw paliwowych, na powłoki antykorozyjne. Mają lepsze właściwości niż obecnie powszechnie używane i tę zaletę, że są tańsze, mniej wykorzystują bowiem drogocenne metale szlachetne. W ich procesie produkcyjnym zużywa się mniej wody, są też łatwiejsze do recyklingu.

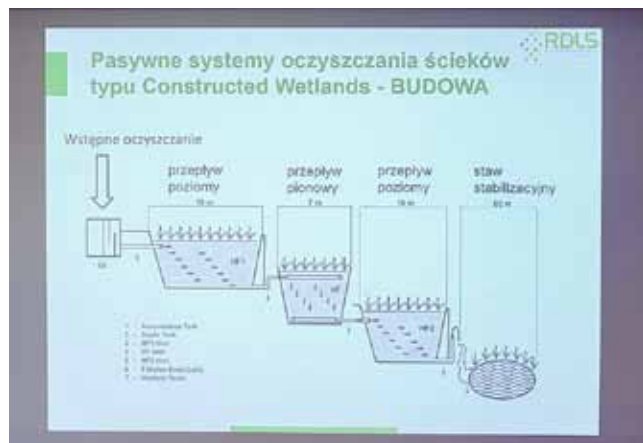
Można je także nakładać na każdą powierzchnię, od śrubki poczynając do... – jak się zdaje tylko wyobraźnia jest ograniczeniem.

Z uwagi na jakość życia

Elektromobilność – to hasło coraz częściej pojawia się w naszej rzeczywistości. Wprawdzie jest raczej pieśnią przyszłości, ale eRoute, za pomocą sztucznej inteligencji, proponuje rozwiązanie do budowy sieci ładowania pojazdów elektrycznych. Sieć będzie dostosowana do pór roku i zmieniającej się pogody, a stacja ładowania może się dostosować do potrzeb użytkownika i zapamiętać, że np. przez sześć dni w tygodniu przemieszcza się on na dłuższych trasach, a w niedzielę tylko na obiad do teściowej. Podpowie, kiedy i jak długo ładować pojazd. Ba, może być wykorzystywana także w pojazdach komunikacji miejskiej, które w sytuacjach kryzysowych mogą stanowić źródło energii np. dla domu pomocy społecznej, w którym jest awaria zasilania. W istocie ma to być sieć rozproszonych stacji ładowania w mieście, lecz inteligentnie i elastycznie dostosowująca się do potrzeb użytkowników.

Ostatni prezentujący się na spotkaniu start-up Zdrochem to w istocie konsorcjum start-upów UW, które zajmują się czujnikami wykonującymi pomiary powietrza. To rozwiązanie dotyczy zarówno czujników stacjonarnych, jak i urządzeń mobilnych – zaopatrzonych w czujniki dronów, przy pomocy których można wyłapać truciele powietrza. Czujnik umieszczony w naszej okolicy dzięki aplikacji podpowie, czy wyjść na spacer z dzieckiem, czy raczej zamknąć szczelnie okna. Zdrochem ma także w ofercie mobilne laboratorium do pomiaru jakości powietrza.

Wszystkie te rozwiązania warte są nie tylko uwagi, lecz przede wszystkim wdrożenia w jak najszerszym zakresie, z uwagi na jakość naszego życia.





Aneta Disterheft

Elektrody – droga do prawdy o konsumentach?

Analizując tak zwany wskaźnik asymetrii czołowej, czyli to, jak duża aktywacja ma miejsce w lewym płacie w stosunku do prawego, możemy przewidywać, jaką decyzję podejmie osoba robiąca właśnie zakupy.

Siedzisz w niewielkim białym pomieszczeniu. Szum klimatyzatora wprowadza cię w delikatny letarg. Zauważasz wokół siebie gąszcz kabelków, których kolorowe nitki prowadzą do twojej twarzy, głowy, a nawet palców. Za niewielkim parawanem kobieta o kamiennej twarzy wpatruje się w przemieszczające się po ekranie zygzakowate wykresy. Wykrzywiasz się w lekkim zdziwieniu. W tym samym momencie jeden z zygzaków gwałtownie się wychyla, powodując drgnięcie powieki również u dziwnej postaci zza parawanu. Zastanawiasz się przez chwilę, czy być może grasz główną rolę w nowym sezonie serialu *Black Mirror*? Tylko dlaczego każą się wpatrywać w pojawiające się na ekranie zdjęcia szamponów, płatków śniadaniowych i płynów do mycia naczyń? W tym momencie sobie przypominasz. Zwabiony świeżutkim bonem do Empiku, zgodziłeś się wziąć udział w badaniach do swojej pracy doktorskiej. Na szczęście, jak na badania psychofizjologiczne, nie trwają one aż tak długo i już niebawem opuścisz to ascetyczne, pachnące pły-

nami dezynfekującym pomieszczenie. I bez obaw – wszystkie użyte w badaniu metody są całkowicie bezinwazyjne. A strzykawka leżąca na półce służy jedynie do aplikacji żelu indukcyjnego, który ułatwi zebranie sygnału z powierzchni twojej głowy.

No dobrze, obejrzałeś już dość dużo produktów, za każdym razem zadeklarowałeś też, czy chciałbyś je kupić, czy nie. Tylko do czego to wszystko ma prowadzić? Skoro podczas całego badania nie wypowiedziałeś ani słowa, to czego ciekawego mogłam się dowiedzieć na twój temat? Już wyjaśniam.

Kolorowe elektrody podłączone w różnych miejscach do skóry głowy to nic innego jak elektroencefalograf, czyli EEG. Zwykle w badaniach medycznych używany jest on do diagnozowania zaburzeń o podłożu neuronalnym, takich jak epilepsja. Jednak, jak się okazuje, może mieć dużo szersze zastosowanie. Już ponad trzydzieści lat temu psycholog Richard Davidson odkrył, że za pomocą tego narzędzia można ocenić, czy dana osoba przeżywa aktualnie pozytywne, czy też negatywne

emocje. Osoby doświadczające radości wykazywały większą aktywność w lewym płacie czołowym (obszarze w przedniej części mózgu), natomiast te, które były smutne, charakteryzowały się większą aktywnością prawego płata. Późniejsze badania pozwoliły uściślić, że asymetryczna aktywacja jest nie tyle związana z pozytywnością czy negatywnością emocji, ile raczej z wymiarem dążenia i unikania. Zatem u arachnofobika na widok pająka z pewnością uaktywni się prawy płat czołowy – będzie on chciał jak najszybciej uniknąć kontaktu z włochatym zwierzem. Z kolei u głodnego człowieka na widok krwistego steku najprawdopodobniej uaktywni się płat lewy (o ile nie jest on wegetarianinem).

Parę lat temu badacze związani bliżej z marketingiem doszli do wniosku, że podobna zależność może mieć miejsce w kontekście dokonywania zakupu. Jeśli coś kupujemy, to dążymy do kontaktu z tą rzeczą, a jeśli nie decydujemy się na zakup, to w pewnym sensie unikamy kontaktu. Intuicja ta znalazła potwierdzenie w badaniach. Jak się okazuje, analizując tak zwany wskaźnik asymetrii czołowej, czyli to, jak duża aktywacja ma miejsce w lewym płacie w stosunku do prawego, możemy przewidywać, jaką decyzję podejmie osoba robiąca właśnie zakupy. No dobrze, ale czy nie prościej byłoby po prostu zapytać, czy dany produkt się tej osobie podoba? Tak byłoby prościej, ale niekoniecznie lepiej. Wyniki dotychczasowych badań wskazują na to, że dane psychofizjologiczne, takie jak wskaźnik asymetrii czołowej, pozwalają na uzyskanie bardziej precyzyjnych danych niż wtedy, gdy się opieramy na samych deklaracjach. Jak często zresztą mówimy, że ważne jest dla nas zdrowe odżywianie, po czym sięgamy po baton? Albo jak często ludzie deklarują, że rzucą palenie, po czym plan spala na panewce? Deklaracje nie zawsze mają wpływ na późniejsze zachowania, natomiast kiedy przyjrzymy się temu, co się dzieje na poziomie neuronalnym, mamy szansę dotrzeć do bardziej obiektywnych danych. Obiektywnych w takim znaczeniu, że nie są one zaburzone przez świadomą chęć wywarcia określonego wrażenia na rozmówcy czy też zwyczajnie przez ograniczenia związane z możliwością zwerbalizowania własnych intencji i potrzeb.

Co się dzieje u patrzącego na płatki?

No dobrze, EEG to jedno, a co z resztą kabelek? Elektrody przyłączone do twarzy to tak zwany elektromiograf, czyli w skrócie EMG. Pozwala on na pomiar aktywności mięśni. Kiedy się uśmiechamy, pojawia się napięcie elektryczne w mięśniach jarzmowych większym, czyli tym, który podnosi kąćki ust. Z kolei kiedy jesteśmy zdenerwowani lub napawa nas obrzydzenie, aktywuje się mięsień marszczący brwi. Łatwo się domyśleć, jak objawia się jego aktywność. Znow się okazuje, że bezpośredni pomiar aktywności tych mięśni może pozwolić na uzyskanie bardziej precyzyjnych rezultatów niż wtedy, gdy tylko obserwujemy czyjąś twarz lub pytamy o przeżywane aktualnie emocje. Co więcej, dzięki sygnałom elektrycznym możemy się dowiedzieć z dokładnością do milisekundy, kiedy dokładnie dana emocja wystąpiła. Korzystając z kwestionariuszy często trudno przywołać konkretny moment o wysokim natężeniu emocjonalnym. Elektrody ponadto wychwytywały nawet tak delikatne sygnały z mięśni, które nie wywołują widocznych gołym okiem zmian ekspresji twarzy.

Kolejny zestaw kabli, tych przyłączonych do palców, to galvanometr, w skrócie GSR. Aktywność elektrodermalna, którą mierzy, wynika z pobudzenia gruczołów potowych. W sytuacjach o silnym ładunku emocjonalnym gruczoły potowe się uaktywniają i nawet jeśli subiektywnie nie odczuwamy ich działalności (tzn. ręce nie są mocno spocone), to elektrody wychwytywały delikatne zmiany w oporności skóry. Jak bowiem pamię-

tasz z lekcji fizyki, prąd rozchodzi się inaczej w środowisku wodnym, a to przede wszystkim z wody składa się ludzki pot.

Podczepiliśmy elektrody do wszystkich interesujących miejsc, ale czego jeszcze chcielibyśmy się dowiedzieć o tym, co się dzieje u człowieka patrzącego na płatki śniadaniowe? No właśnie – patrzęcego! Do zestawu elektrod dodaję więc okulograf czy z angielskiego eyetracker. Pozwala on na uzyskanie ponad pięćdziesięciu różnych wskaźników związanych z ruchami oczu, takich jak średnia długość pojedynczej fiksacji (czyli jednego spojrzenia), ich częstotliwość, długość mrugnięć, miara dyspersji, czyli rozproszenia wzroku, i wiele, wiele innych.

Choć wszystkie wspomniane wyżej metody pomiaru, czyli EEG, EMG, GSR i eyetracking w różnych badaniach okazały się pozwalać na przewidywanie decyzji zakupowych, do tej pory nie trafiłam na badanie, w którym wykorzystano by je naraz. To pozwoliłoby porównać, w jakim stopniu każda z nich umożliwia wyjaśnienie ostatecznej decyzji. Mówiąc bardziej precyzyjnie, dałoby to możliwość oszacowania, jaki procent wariacji zmiennej, którą jest decyzja o zakupie, wyjaśnia każda zmienna psychofizjologiczna. Mogłoby się na przykład okazać, że metody te pokrywają się wzajemnie w pewnej mierze i co za tym idzie, wykorzystanie jednej z nich daje taki sam efekt, jak wykorzystanie kilku.

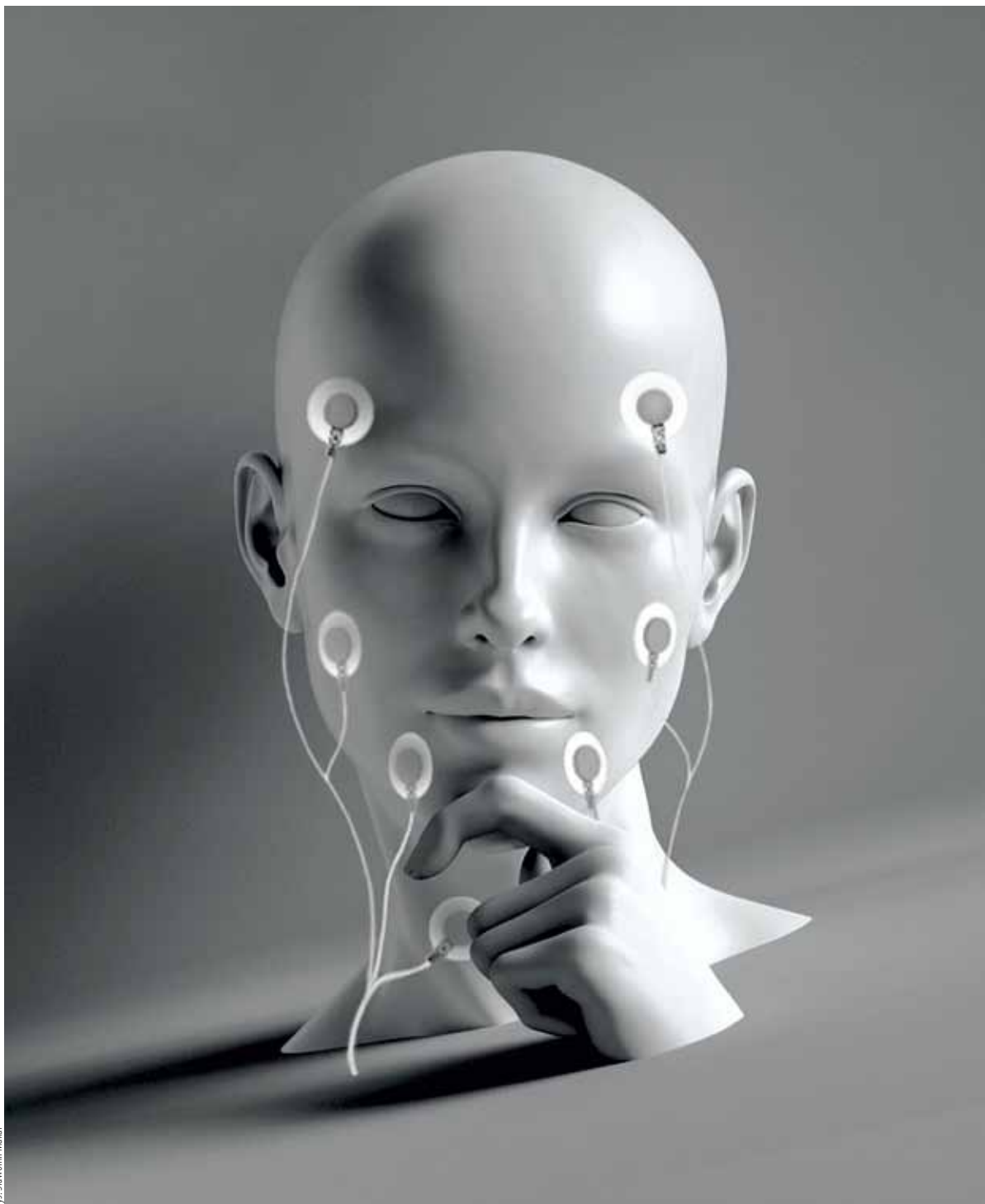
Opakowania i reklamy wideo

Jednocześnie może być tak, że zależnie od tego, co konkretnie badamy, na przykład reklamę telewizyjną, radiową czy drukowaną, inne metody okazują się przydatne. Moje badania skupiały się wokół dwóch form przekazu marketingowego: reklam telewizyjnych oraz opakowań produktów. Są to najczęściej analizowane w badaniach fokusowych elementy mające zachęcać do zakupu. Okazało się, że pewne moje intuicje znalazły potwierdzenie w empirii.

Otóż istotnie, zależnie od tego, czy badane były opakowania czy reklamy wideo, inne metody miały znaczenie przy przewidywaniu decyzji. W przypadku bodźca dynamicznego, jakim jest wideo, to aktywność elektrodermalna najlepiej wyjaśniała ostateczną gotowość zakupu produktów. Mówiąc dokładniej, im więcej „piknięć” w sygnale, tym większa szansa, że dana osoba zrobi zakupy w reklamowanej sieci. A więc reklama wideo powinna być przede wszystkim angażująca emocjonalnie. Bardziej dogłębna analiza sygnału może też pozwolić na wyodrębnienie ujęć, które były najskuteczniejsze i odrzucenie mniej skutecznych. Co ciekawe, odpowiedzi uczestników badania na pytanie „Jak bardzo podobała ci się zaprezentowana właśnie reklama?” nie miały żadnego wpływu na późniejsze decyzje zakupowe.

Nieco inaczej było w przypadku opakowań. Tutaj aktywność elektrodermalna nie pozwalała formułować trafnych przewidywań. Ale opakowania zazwyczaj po prostu nie są angażujące emocjonalnie. Bardziej odpowiednimi w tej sytuacji metodami pomiaru okazały się EEG i eyetracking. To właśnie wskaźnik asymetrii czołowej oraz kilka wskaźników okulograficznych, jak średnia długość fiksacji i częstotliwość mrugnięć, odegrały tu istotną rolę. Jednym słowem, większa aktywność lewego płata czołowego, której towarzyszyły dłuższe pojedyncze spojrzenia na produkt i tym samym rzadsze mrugnięcia, była silną przesłanką za tym, że osoba ta jest zainteresowana zakupem.

Choć te i inne badania to dopiero początek przygody związanej z niezbadanym jeszcze dokładnie obszarem neuropredykcji, to dostarczają one obiecujących danych. Co ciekawe, okazuje się, że na podstawie danych związanych z aktywnością mózgu i reszty organizmu można nie tylko przewidywać intencje i decyzje konkretnej, badanej właśnie osoby, ale można



Fot. Sławomir Makal

formułować też pewne przewidywania odnośnie do zachowań większej populacji. Tego typu badania, okraszone angielskim mianem neuroforecasting, prowadzone są na szeroką skalę przez Briana Knutsona, pioniera w tym obszarze nauki. Czy zatem niedługo w trakcie badań konsumenckich uczestnicy nie będą musieli wypełniać długich ankiet i odpowiadać na rozbudowane pytania, gdyż wszystkie potrzebne informacje przepłyną kabelkami prosto do badacza? Z pewnością daleko jeszcze do takiego etapu, a sam proces analizy danych bywa bardzo niejednoznaczny. Jednocześnie, choć dane neuropsychologiczne pozwalają formułować pewne predykcje, to nigdy nie dają one stuprocentowej pewności – zazwyczaj około 60, 70-procentową. W tej chwili stanowią one zatem raczej uzupełnienie metod tradycyjnych.

Z drugiej strony rozwój w obszarze uczenia maszynowego i analizy dużych zbiorów danych daje nadzieję na prowadzenie w przyszłości bardziej efektywnych czy informatywnych badań z konsumentami i co za tym idzie, tworzenie lepszego przekazu marketingowego. Pozostaje nam czekać z nadzieją, że dzięki temu reklamy będą już tylko wywoływać przyjemną aktywację w lewym płacie.

Dr Aneta Disterheft, magister kognitywistyki i doktor nauk o zarządzaniu. Dotychczas związana z Laboratorium Badań Konsumenckich UEP, w którym prowadziła projekty badawcze z zakresu neuromarketingu i neuronauki konsumenckiej. Zwolenniczka badań interdyscyplinarnych i łączenia nauki z praktyką gospodarczą.

Magdalena Bajer

Hoyerowie, Wernerowie, Szumanowie

Cz. 2 Różnorodność talentów

Z kujawskiego gniazda w Toruniu, gdzie w miejskiej przestrzeni są dzisiaj widome znaki pamięci o nich, wyszli ludzie o różnych zainteresowaniach, różnej rangi osiągnięciach, zawsze jednak były to, powtarzam kolejny raz, osiągnięcia pionierskie i pierwszoplanowe.

W szeroko rozgałęzionej kujawskiej rodzinie uczonych, głównie przyrodniczych specjalności, jest także linia humanistów – społeczników, reprezentowana przez osoby zasłużone powszechnej edukacji pionierskimi przedsięwzięciami. Poznając cały obszar zainteresowań i działań tych przedstawicieli wielkopolskiej inteligencji, przekonujemy się kolejny raz, jak pokolenia żyjące w przełomowych momentach historii umiały trafnie i szybko reagować na aktualne potrzeby ogółu.

Poprzez małżeństwo Julii Hoyer z Idzim Szumanem skoligaczyły się dwie rodziny, łącząc i dopełniając nurty tradycji, której sednem była w obu przypadkach ciekawość – zaspokajana przez wykształcenie – i aktywność publiczna przynosząca zamierzone, zawsze obfite owoce.

Lekarz poeta

W pierwszym pokoleniu wykształconych Szumanów znaczącą postacią był Leon, urodzony w roku 1852 na Kujawach. Po studiach medycznych we Wrocławiu i uzyskaniu doktoratu w roku 1879 wrócił w rodzinne strony, zamieszkał w Toruniu, będąc tam wówczas drugim polskim lekarzem. Zawarte rok później małżeństwo z Eugenią Gumpert doczekało się siedmiorga dzieci, które przyszło wychowywać siostrze ich zmarłej matki, drugiej żonie doktora Szumana. Ważny to fakt w rodzinnych dziejach, bowiem w drugim pokoleniu pojawiły się osoby znaczące dla spraw publicznych i zasłużone nauce, a macocha miała na to dobry wpływ.

W 1893 roku ciesząc się wielkim uznaniem na całym Pomorzu lekarz otworzył własną klinikę przy toruńskiej ulicy, która dziś nosi imię Leona Szumana. Tam też zamieszkała cała rodzina. Specjalnością doktora była chirurgia, wykonywał pionierskie w tamtych czasach, ratujące życie operacje żołądka, jelit.



Leon Szuman

Zdjęcie: pomorze.nu.blogspot.pl

Historycy miasta i biografowie zapisali fakt, iż ubogich pacjentów leczono w klinice Szumana za darmo.

Nowatorskie koncepcje chirurgiczne doktor opierał na studiowaniu postępów tej dziedziny w innych krajach, a rezultaty własnych doświadczeń opublikował w kilkudziesięciu pracach. Propagował wiedzę naukową i zainteresowanie nią w kręgu Towarzystwa Naukowego w Toruniu, którego był aktywnym członkiem, a w roku 1866 został prezesem, by po kilku latach zrezygnować z szczytnej funkcji, kolidującej, jak uważał, ze służbą pacjentom.

Czas i energię dzielił Leon Szuman między zajęcia, zdawałoby się, odległe swoją naturą i przeznaczeniem. Zdaje się tak dzisiaj potomnym, ale współcześni mu Polacy cenili zarówno jego talenty lekarskie, jak i poetyckie. Toruński chirurg pisał bowiem wiersze (opublikował kilka tomików), a pieśń *Leć orle biały* często śpiewano w międzywojennej Polsce.

„Leć orle biały nad polską ziemię,

Chroń twymi skrzydły piastowskie plemię.

I ponad szare Giewontu skały,

I ponad Bałtyk leć orle biały”.

Mała próbka tej poezji (pierwsza z kilku zwrotek) trafniej mówi o tym, jaką wersję patriotyzmu miał zapisaną w umyśle i w sercu toruński lekarz poeta. Romantyczną w stylistyce, ale jeśli zestawić słowa pieśni z codziennym wysiłkiem przy łóżku

chorego, leczonego awangardowymi metodami, widać jak rozległą wrażliwością odznaczało się to pokolenie żyjące w niewoli, a działające dla przyszłej wolności. Leon Szuman doczekał niepodległości, zmarł w roku 1920.

Analogia (z przewagą sztuki)

Stefan Bolesław, jedno z młodszych jego dzieci, urodzony w 1889 roku, był serdecznie zżyty z macochą, która wspierała go w nauce gry na fortepianie i skrzypcach. Naukę przedmiotów ogólnych pobierał w pruskiej szkole, poświęcając więcej czasu malarstwu i grafice, do których miał talent oraz zamiłowanie. Posłuszny ojcu, poszedł jego śladem na studia lekarskie we Wrocławiu, kontynuując je w Monachium, by ukończyć we Włoszech, w roku 1913. Ten ostatni etap był sposobnością do zaspokajania zainteresowań artystycznych młodego Polaka, który następnie podjął pracę w Monachijskim Instytucie Patologicznym.

W czasie pierwszej wojny światowej, wcielony do armii niemieckiej, został ciężko ranny. W roku 1919 przedostał się do rodzinnego Torunia i wziął udział w powstaniu wielkopolskim, pomnażając rejestr polskich patriotów o cudzoziemskich nazwiskach, przybyszów z różnych krain, ludzi zwykle bogatszych w dodatkowe wątki tradycji. W roku 1920 otrzymał Krzyż Walecznych.

Po śmierci ojca Stefan nie objął jego kliniki ani zajęć chirurga, mając do tego pretekst w postaci utraty amputowanego palca i rzeczywisty powód, jakim było podjęcie upragnionych studiów filozofii i estetyki na Uniwersytecie Poznańskim oraz plastycznych w Szkole Sztuk Zdobniczych. Zgłębianie dziedzin humanistycznych Stefan Szuman zamknął studiami psychologicznymi, uzyskując w roku 1927 doktorat na podstawie pracy *Sztuka dziecka. Psychologia twórczości rysunkowej dzieci*. Równocześnie pracował zarobkowo w zawodzie lekarza szkolnego i wizytatora higieny oraz wychowania fizycznego Poznańskiego Kuratorium.

Kariera akademicka w umiłowanej specjalności potoczyła się szybko. Po habilitacji Stefan Szuman odbył podróże naukowe do Niemiec i Szwajcarii, po czym w roku 1928 powołał do życia Katedrę Psychologii Wychowawczej na Uniwersytecie Jagiellońskim. W roku 1934 otrzymał w tej uczelni tytuł profesora zwyczajnego, a w 1939 został członkiem PAU.

Podczas drugiej wojny światowej uczestniczył w tajnym nauczaniu, działając w AK jako lekarz. Po wojnie wrócił na Uniwersytet Jagielloński, gdzie w latach 1948/49 jego wykładów z charakterologii słuchał Karol Wojtyła. Biografowie upatrują wpływu Szumana na poglądy Jana Pawła II, dotyczących stosunku człowieka do śmierci.

Profesor wykładał również w krakowskiej Wyższej Szkole Pedagogicznej – której został rektorem – wprowadzając tam kierunki związane z psychologią twórczości, sztuką dziecka, metodami jej rozwijania. W obszarze tej bardzo szeroko rozumianej problematyki działał w Towarzystwach Naukowych: filozoficznym, psychologicznym i psychiatrycznym, a także w Komitecie Nauk Psychologicznych PAN i Związku Nauczycielstwa Polskiego. Opublikował dwieście prac naukowych. Zmarł w roku 1972, pozostawiając, jak ojciec, pionierskie zasługi w ukształtowaniu interdyscyplinarnej dziedziny poznania, jaką jest różnorodna twórczość dziecięca.

Prekursorka

Najmłodsza córka toruńskiego lekarza poety, urodzona w 1890 roku Wanda Szuman, być może odziedziczyła, a na pewno wyniosła z domu, społeczną wrażliwość i zaangażowanie w działania pilnie społeczeństwu potrzebne. Sama o tym



Stefan Bolesław Szuman

Zdjęcie: biografiakup.krakow.pl

mówiła skromnie: „Nie dokonałam żadnych nadzwyczajnych rzeczy – ja tylko nie zmarnowałam życia”.

W rodzinnym mieście, pod zaborem pruskim, groziło jej wyrzucenie ze szkoły za mówienie w czasie przerwy po polsku, wobec tego wyjechała do Krakowa, a we Lwowie ukończyła słynne gimnazjum siostr Sacre-Coeur, by znów znaleźć się w krakowskim Seminarium dla Nauczycieli Szkół Ludowych. Ukończywszy je w roku 1911, wróciła do Torunia i zaczęła tajne nauczanie dzieci, przede wszystkim robotniczych, języka polskiego oraz religii.

Początkiem szerszej aktywności oświatowej i zarazem patriotycznej Wandy Szuman od roku 1914 była działalność w „Wełniance”, jednej z organizacji kobiecych okresu wojny, zaopatrujących żołnierzy w rękawiczki, szaliki i skarpety, którą założyła razem z Heleną Steinbornową. „Wełnianka” miała program o wiele szerszy, niż wynikałoby to z nazwy – obejmującą naukę języka i historii Polski, dyskusje, przedstawienia teatralne, wspólne śpiewanie narodowych pieśni.

Pod koniec pierwszej wojny światowej Wanda Szuman pracowała nad przygotowaniem warunków dla szkolnictwa polskiego na Pomorzu. W październiku 1918 roku została członkiem zarządu toruńskiej filii Powszechnego Towarzystwa Pedagogicznego w Poznaniu. Po zakończeniu wojny była przewodniczącą Polskiej Rady Ludowej z siedzibą w Toruniu, później w Poznaniu.

Trudno tu wliczyć wszystkie funkcje pełnione, wszystkie inicjatywy urzeczywistniane przez prekursorkę nowoczesnej powszechnej oświaty w niepodległej Polsce. Musiały w tamtych czasach obejmować pracę nad programami nauczania, organizacją szkół, przygotowywaniem dla nich nauczycieli i... zdobywaniem środków na wszystkie te przedsięwzięcia. „Narodowy Dzień Pracy” przyniósł fundusze na otwarcie w roku 1919 Seminarium Nauczycielskiego w Toruniu. Wykonywaniu wszystkich tych zadań zaaszerowała się ogromnie Komisja Szkolna, której wiele energii poświęcała Wanda Szuman.

W tym samym czasie włączyła się w akcję „Ratujcie dzieci”, której przewodniczyła Helena Paderewska, i wspólnie z bratem Henrykiem, księdzem, założyła Pomorskie Towarzystwo Opieki nad Dziećmi, zajmujące się pomaganiem sierotom i dzieciom z ubogich rodzin w codziennym życiu i w edukacji. Towarzystwo utworzyło stopniowo placówki poświęcone żywieniu, opiece lekarskiej, odpoczynkowi, wychowaniu.

Pośród rozlicznych absorbujących zajęć Wanda Szuman znalazła czas na rozwój naukowy w pasjonującym ją zakresie. W latach 1921-23 studiowała w warszawskim Państwowym Instytucie Pedagogicznym, spotykając tam wybitnych przedstawicieli pedagogiki specjalnej: Marię Grzegorzewską i Janusza Korczaka, którzy stali się jej mistrzami, a później współpracownikami. Sama zajęła się szczególnie zagadnieniami sieroctwa i sieroctwa społecznego żywotnymi po wojnie. Roczne stypendium ministerialne (1925) wykorzystała na poznawanie systemów opieki nad dziećmi we Francji, Belgii i Anglii. Poznane tam rozwiązania i rodzime doświadczenia opublikowała w szeregu prac naukowych i upowszechniała w wykładach, m.in. na zorganizowanych w Warszawie Państwowych Kursach Służby Społecznej.

Lata drugiej wojny światowej wypełniła Wandzie Szuman ta sama i tak samo wyczerpana praca oraz działalność – w konspiracji. Po wojnie, za zgodą rodziny, przekazała toruński budynek, gdzie mieściła się klinika jej ojca i mieszkanie, na Liceum Wychowawczyń Przedszkoli, którym kierowała do momentu wyrzucenia jej z pracy przez komunistyczne władze, o czym dowiedziała się z prasy.

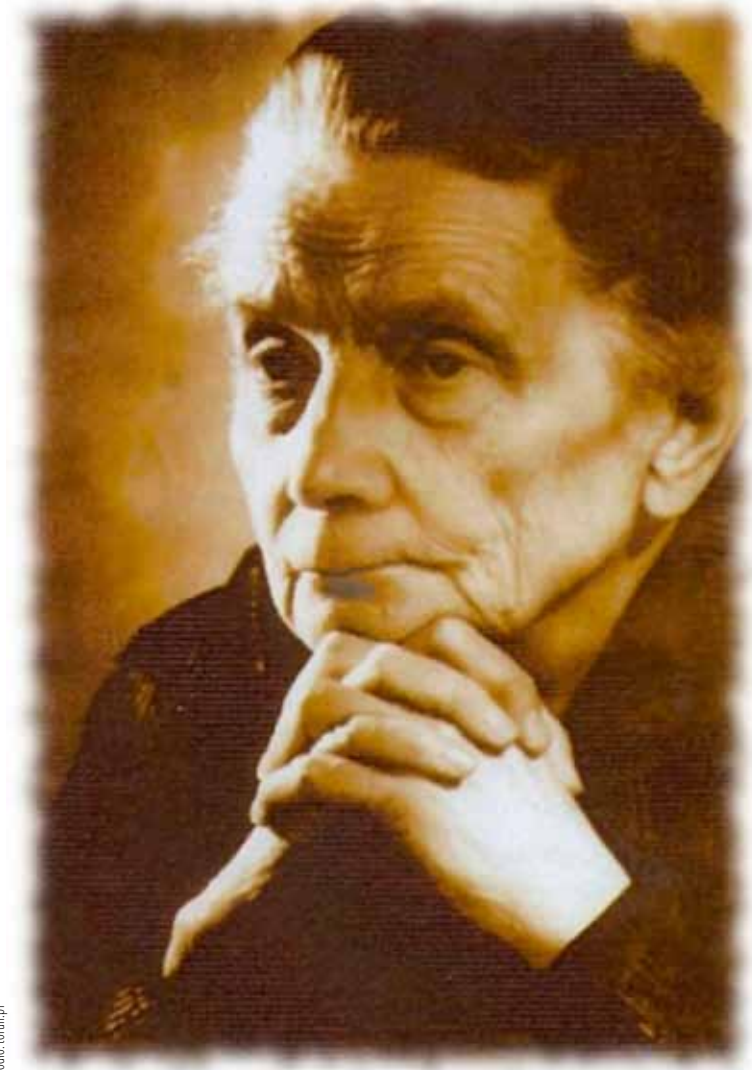
Po przejściu na emeryturę w roku 1952 poświęciła się niemal zupełnie pracy naukowej, prowadząc badania w szpitalach dzie-

cięcych, sanatoriach, placówkach opiekuńczych, gdzie wprowadziła jako pierwsza, psychoterapię. Szczególnym przypadkiem było badanie, na zlecenie PAN, rozwoju dwóch chłopców utrzymywanych przez pierwsze lata dzieciństwa w skrajnej izolacji. Pomagała w ich wychowywaniu i wyrównywaniu zahamowań intelektualnych oraz emocjonalnych. Z oboma utrzymywała serdeczne kontakty do końca życia.

W drugiej połowie lat pięćdziesiątych Wanda Szuman zajęła się zagadnieniami twórczości rysunkowej dzieci niewidomych, współpracując m.in. z zakładem w Laskach. I znowu, jak w wielu innych obszarach swoich badań, dokonała prekursorskich ustaleń i zaproponowała praktyczne metody działania, zabiegając o ich upowszechnienie u władz. Pracowała do końca życia w roku 1972.

* * *

Z kujawskiego gniazda w Toruniu, gdzie w miejskiej przestrzeni są dzisiaj widome znaki pamięci o nich, wyszli ludzie o różnych zainteresowaniach, różnej rangi osiągnięciach, zawsze jednak były to, powtarzam kolejny raz, osiągnięcia pionierskie i pierwszoplanowe. Takich potrzebowało pogranicze epok: rozbiorowej i niepodległościowej, ale w historii narodów rzadko i krótko bywają okresy potrzeb w pełni zaspokojonych. Dlatego wzory takich rodzin trzeba pamiętać.



Źródło: torun.pl

Wanda Szuman

Filozofia ścista czy właściwa?

Chcemy, aby wszystkie kierunki pracy i poglądów w naszym Towarzystwie ku jednemu zmierzały celowi: ku wyświeceniu prawdy. Drogą ku temu jest naukowy krytycyzm.

Dyskurs o filozofii nigdy się nie skończy i zachowuje też wartość aktualną. Filozofia zawsze żyła minionymi, prawda że genialnymi, ustaleniami. Jak stwierdził ks. Jędrzej Kitowicz (*Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III* 1840): „W akademiach kto się promował do godności doktora filozofii, musiał przysięgać, jako inaczej nie będzie trzymał i uczył tylko *juxta mentem divi Thomae*; ci tedy, którzy się trzymali zdania Arystotelesa, zwali się *peripatetici*, a którzy św. Tomasza, zwali się *thomistae*”. Gdy upadła dominacja jednej doktryny, pojawiło się ich *multum*. Słabym rozwiązaniem tego problemu stała się **eklektyka**. Uprawiał ją w Akademii Krakowskiej Franciszek Matawowski. Była to, jak pisał w autobiografii Jan Śniadecki: „filozofia, która ze wszystkich sekt wybierała to, co było dobrego, do żadnej się nie przywiązując”. W rozprawie *O filozofii* (1819) Jan Śniadecki definiował: „filozofia to nauka prawego myślenia i życia, w ciągłej praktyce okazywana”. Jest „dostojnem i najważniejszym zatrudnieniem człowieka około wydoskonalenia samego siebie”.

Według Friedricha Wilhelma Josepha Schellinga (*Vorlesungen über die Methode des akademischen Studiums* 1803, tłum. z jęz. niemieckiego Piotr Dehnel): „szczegółowe kształcenie w celu zdobycia konkretnego zawodu musi poprzedzać poznanie organicznej całości nauk. Ten, kto poświęca się jakiejś określonej nauce, musi poznać miejsce, które zajmuje ona w tej całości, i szczególnego ducha, który ją ożywia, tak jak i rodzaj wykształcenia, dzięki któremu włącza się w harmonijną budowlę całości, a więc także sposób, w jaki on sam musi tę naukę traktować, aby pomyśleć o niej nie jak niewolnik, ale jak człowiek wolny, i ujmować ją w duchu owej całości”.

Klasyczną definicję celu filozofii ustalił św. Tomasz z Akwinu (*De caelo et mundo*): „studium filozofii uprawiane jest nie po to, aby się dowiedzieć, co ludzie sądzili, lecz po to, aby stwierdzić, jaka jest prawda o rzeczach”. Józef Jankowski w *Rozprawie o znakomitszych nieprzyjaciolach filozofii i powodach, jakie mieć mogli do iey uwłaczania* („Rocznik Towarzystwa Naukowego z Uniwersytetem Krakowskim połączonego”, tom VI, 1821) definiował filozofię jako „zbiór prawideł prowadzących do odkrycia prawdy i działania zgodne z rozumem”. Działania idą w dwu kierunkach: „myśleć i chcieć. Zamiarem przedmiotowym pierwszego jest prawda, drugiego moralność”. Pojawia się

przy tym „architektoniczny powab uporządkowania systematycznego swych mniemań, następnie utworzenia z nich umiejętności”. Na koniec przejawiają się „różne systemy filozoficzne (...)”. Przywiązanie wiernych wyznawców ktoregokolwiek systemu nie było zawsze plodem uroienia, które trwałość zamie-



niła w upór; ale często skutkiem żywego przekonania, które z zupełnej wiary, lub z wolnego, lecz błędnego dochodzenia powstało (...) często moc przekonania więcey zawisła od wielkości zaufania, niżeli od ważności dowodów”. W efekcie dzieje filozofii łączyły się z „niezliczoną liczbą męczenników prawdy”.

Na mocy postanowienia cesarskiego z 29 września 1850 roku – i odpowiedniego rozporządzenia wykonawczego Ministerstwa Wyznań i Oświaty (z 1 X 1850) – zniesiono propedeutyczny charakter studiów filozoficznych (co nazywano reformą ministra Leo Thuna). Wydział filozoficzny zrównano z pozostałymi fakultetami, których studenci nie musieli już zaliczać pierwszych lat studiów filozoficznych. Propedeutyczne zadania przeniesiono na ośmioletnie gimnazja, w których naukę wieńczyła matura, wymagana do rozpoczęcia studiów na uniwersytecie (Prusy 1812, Austria 1849). Na poziomie gimnazjalnym, a tym bardziej na poziomie codzienności, rola filozofii przygasła. Jak napisał Kazimierz Kaszewski (*Nauka logiki i jej korzyści*, „Tygodnik Ilustrowany” nr 113, 1861): „filozofia powstrzymywana pogardą, nienawiścią, wstrętem czy obojętnością ogółu, nie wyszła poza zakres książki lub małego kółka czytających”.

Witold Rubczyński wystąpił z odczytem publikowanym pod egidą Towarzystwa Filozoficznego w Krakowie („Stosunek filozofii do nauk szczegółowych” 1911). Kładł nacisk na teorię poznania, a nie teorię bytu. Twierdził „iż życiu umysłowemu groziłaby zupełna anarchia, gdyby nie było możliwym wytworzenie i należyte uzasadnienie takiej teorii, któraby wszystkie do poszczególnych działów odnoszące się usiłowania poznawcze ściśle rozgraniczała i ustosunkowywała”. Rzecz to konieczna nie tylko „dla demarkacji nauk poszczególnych, ale także do określenia ich wspólnego celu i prawideł ich współpracownictwa”. Oparciem dla epistemologii mogłaby być „psycholo-

gia względnie logika”. Taka filozofia „może zasłużyć na miano naukowej lub ścisłej” i zastąpiłaby „dawną metafizykę”. W miejsce „narzucania treści, czyli uprzedzeń o rzeczywistości” pojawi się „poddawanie nowych form, nowych sposobów szycowania doświadczeń”. Filozofia „zaniechałaby dwuznacznej roli eksploratorki cudzej pracy, zawsze niepewnej”.

Pojęcie **filozofii ścisłej** określił Hugo Steinhaus (*Wspomnienia i zapiski*, Londyn 1992) jako „żargon wymyślony przez lwowskich biurokratów uniwersyteckich”; opowiadał się za pojęciem **filozofia właściwa**, różniącej się „od filozofii obejmującej wydział”.

W mowie otwierającej prace Polskiego Towarzystwa Filozoficznego (12 II 1904) Kazimierz Twardowski wskazywał, że Towarzystwo „nie będzie służyło żadnemu kierunkowi filozoficznemu wyłącznie, albowiem pragnie objąć sobą wszelkie kierunki. Chce być wolne od wszelkiej jednostronności, chce być jak najbardziej wszechstronnym. Jedynym dogmatem Towarzystwa będzie przekonanie, że dogmatyzm jest największym wrogiem wszelkiej pracy naukowej. Chcemy, aby wszystkie kierunki pracy i poglądów w naszym Towarzystwie ku jednemu zmierzały celowi: ku wyświetleniu prawdy. Droga ku temu jest naukowy krytycyzm”.

W ujęciu Władysława Tatarkiewicza (*Byłem po prostu zbieraczem – ostatnia rozmowa... poprowadzona przez Tadeusza Szajnderskiego*, „Polityka” nr 15, 1980) filozofia „to dyscyplina orientująca człowieka w jego życiu i w rzeczywistości go otaczającej. Dająca ramy rozumienia świata i siebie”. Filozofia „winna przygotowywać do rozumienia świata, a nie na płaszczyźnie niewzruszalnych pewników i niepodważalnych twierdzeń orzekać o nim. Powinna spełniać rolę propedeutyki, a nie decydowania”.



Fot. Stefan Ciechan

0 wojnach patentowych

Pod koniec XX w. w wojnach patentowych pojawiły się trolle patentowe, czyli firmy lub osoby, które wykorzystując kupione od innych patenty na niestosowane wynalazki, pozywały do sądu o naruszenie patentów, żądając opłat licencyjnych lub odszkodowań.

W artykule dotyczącym stosowania wynalazków w technice i życiu codziennym, opublikowanym w „Forum Akademickim” nr 7/8 2019, przedstawiłem problemy, z jakimi stykają się wynalazcy i innowatorzy na drodze tworzenia innowacji. Wydawać by się mogło, że osiągnięcie sukcesu rynkowego w postaci produktu zaspokajającego konkretną potrzebę ludzką lub przedsiębiorstwa powinno być zakończeniem tego procesu i pozostaje tylko odcinanie kuponów, czyli zbieranie zysków od udanego przedsięwzięcia. Nic bardziej mylnego. Historia wielu wynalazków przekształconych w innowacje uczy nas, że często dochodzi do sporów o naruszenie wcześniej udzielonych patentów na podobne rozwiązania, sporów, które toczyły się niejednokrotnie wiele lat przed sądami. Takie procesy nazywamy obecnie wojnami patentowymi, chociaż tego rodzaju spory miały miejsce już w XIX wieku, w czasach kiedy w Ameryce Płn. i Zachodniej Europie przebiegała pierwsza rewolucja przemysłowa. Nierzadko składane są także wnioski o unieważnienie udzielonego patentu.

Do najbardziej znanych, historycznie najwcześniejszych wojen patentowych zalicza się np. spory między wynalazcą telefonu, którym był A.G. Bell, a kilkoma wynalazcami, którzy rościli sobie prawa do pierwszeństwa wynalazku telefonu. Telefon Bella (wynalazek zgłoszony w 1876 r. w Urzędzie Patentowym USA) był już praktycznie stosowany od półtora roku, kiedy zaczęła się wojna patentowa, która trwała wiele lat i objęła 600 procesów sądowych. Najpoważniejszym konkurentem był amerykański koncern Western Union, który wykorzystywał wynalazek E. Graya o nazwie „urządzenie mówiące” (speaking device), zgłoszony w Urzędzie Patentowym USA dwie godziny po zgłoszeniu wynalazku przez A.G. Bella. Ostatecznie Urząd Patentowy USA uznał w 1884 r., że twórcą i właścicielem patentu na wynalazek telefonu umożliwiającego rozmowy na odległość jest Aleksander G. Bell.

Układ stabilizacji lotu

Innym przykładem wojny patentowej z początku XX wieku był spór pomiędzy braćmi Wright i G. Curtissem. Bracia Wright zbudowali samolot i wykonali na nim pierwszy lot w 1903 r.,

a w 1906 r. uzyskali patent (US 821393) na maszynę latającą (ang. Flying Machine). Istotną częścią ich samolotu przedstawioną w opisie patentowym i zastrzeżeniach był układ stabilizacji lotu w trzech kierunkach. Inny amerykański wynalazca, konstruktor i przedsiębiorca Glenn H. Curtiss, działający w branży lotniczej, który jako pilot dokonał w 1910 r. pierwszego w historii lotu samolotem z Albany do Nowego Jorku na odległość ok. 220 km z dwoma lądowaniami w celu tankowania paliwa i otrzymał w 1911 r. amerykański patent na urządzenie stabilizujące lot (ang. aileron) zastosowane w samolocie jego konstrukcji, został przez braci Wright oskarżony o naruszenie ich patentu. Zażądali oni opłat za wykorzystanie ich rozwiązania. Spór w sądzie trwał kilka lat i ostatecznie w 1914 r. sąd apelacyjny utrzymał korzystny dla braci Wright wyrok, ale G. Curtiss nadal odmawiał opłat na drodze prawnej.

Po śmierci Wilbura Wrighta i sprzedaży przez jego brata Orville’a praw wyłącznych do wynalazku maszyny latającej (za milion dolarów) firmie Wright-Martin Corporation kontynuowała ona spory o naruszenia patentu i żądania opłat za korzystanie z opatentowanego rozwiązania od innych producentów samolotów, podobnie jak Glenn Curtiss Company.

Wojny patentowe zapoczątkowane przez braci Wright zahamowały na jakiś czas rozwój przemysłu lotniczego w USA i spowodowały interwencję rządu amerykańskiego ze względu na przystąpienie do I wojny światowej. Po jej zakończeniu w 1918 r. skończyła się również wojna patentowa w dziedzinie układów kontroli lotu samolotu, a w międzyczasie stracił ważność (wygasł) patent braci Wright. Jednakże ich wizerunek został zdemolowany, a działania zostały przez niektórych określone jako pierwowzór trolli patentowych. Wykorzystywali oni szeroki zakres zastrzeżeń patentowych w opisie patentowym do blokowania różnych wynalazków układów kontroli lotu, które w istocie rzeczy były ulepszeniami ich rozwiązania (jak np. aileron, czyli lotka w skrzydle, G. Curtissa), przez co przyczynili się do opóźnienia rozwoju lotnictwa w USA w porównaniu z krajami europejskimi.

A.G. Bell został uwikłany w wojnę patentową, bracia Wright sami się w nią uwikłali, natomiast wynalazca żarówki T.A.



Edison uniknął wojny patentowej, kupując za 5000 dolarów (równowartość ok. 130 tys. obecnie) patent kanadyjskiego wynalazcy H. Woodwarda z 1876 r., który dotyczył również żarówki (improvement of electric light). Edison zgłosił swój wynalazek w 1879 r., a patent na żarówkę (electric lamp) otrzymał w 1880 r. Prawdopodobnie wiedział o sporach sądowych A.G. Bella i postanowił uniknąć sporów o naruszenie patentu H. Woodwarda, stając się jego właścicielem. W istocie rzeczy rozwiązanie Edisona było rozwinięciem i ulepszeniem żarówki Woodwarda, a jego żarówka, w porównaniu do znanych wcześniej rozwiązań, odznaczała się dużą trwałością, niskim zużyciem energii elektrycznej oraz niskim kosztem produkcji.

Apple i Samsung

Wojny patentowe nasiliły się wraz z nastaniem ery komputeryzacji, smartfonów, cyfryzacji (digital age) w latach dziewięćdziesiątych XX w. Spory te dotyczyły m.in. smartfonów, programów antywirusowych, cyfrowych aparatów fotograficznych, technologii one-click ordering itp. Jedną z najbardziej znanych, spektakularnych wojen patentowych był spór między firmami Apple i Samsung, zapoczątkowany w 2011 r., kiedy Apple oskarżyła Samsunga o naruszenie jej patentów dotyczących cech budowy (design) i oprogramowania (software) smartfona iPhone wytwarzanego i sprzedawanego w USA i żądała zakazu sprzedaży smartfonów Samsunga w USA. Spór przed sądami w USA trwał siedem lat i zakończył się ostatecznie w 2018 r. porozumieniem obu stron. Sąd uznał, że Samsung naruszył patenty Apple, kopiując niektóre rozwiązania, i przyznał firmie Apple odszkodowanie w wysokości 539 milionów dolarów. Samsung początkowo odwołał się od tego wyroku, ale strony porozumiały się (prawdopodobnie na temat kwoty odszkodowania) przed rozprawą w sądzie. Samsung nie stracił prawa do sprzedaży smartfonów Galaxy w USA, natomiast w rezultacie wojny patentowej ucierpiał wizerunek firmy Apple, ponieważ została oskarżona o patent trolling.

Innym przykładem współczesnej wojny patentowej był spór między amerykańską firmą Eastman Kodak Company i japońską firmą Sony. W 2004 r., po zerwaniu rozmów na temat licencji, Kodak pozwał Sony do sądu o naruszenie jego dziesięciu patentów dotyczących cyfrowych aparatów fotograficznych, a w odpowiedzi Sony pozwał Kodaka również o naruszenie dziesięciu jej patentów. Spór zakończył się w sądzie w 2007 r. ugodą stron i wzajemnym zezwoleniem na wykorzystywanie stosowanych rozwiązań. Natomiast na rynku Kodak poniósł porażkę i w 2012 r. zbankrutował, a Sony utrzymał się na rynku cyfrowych aparatów fotograficznych. Kodak już w latach siedemdziesiątych XX w. rozpoczął prace nad fotografią cyfrową i w 1975 r. powstał prototyp pierwszego na świecie cyfrowego aparatu fotograficznego, a w 1978 r. pracownicy Kodaka, Steven J. Sassons i Gareth A. Lloyd, otrzymali patent na urządzenie. Jednak Kodak nie zainwestował w rozwój aparatów cyfrowych, tylko postawił na wytwarzanie filmów do fotografii klasycznej, co jeszcze do początku XXI w. zapewniało firmie duże dochody. Inne firmy, takie jak np. Sony i Canon, rozwinęły technologię fotografii cyfrowej, tak że w XXI w. cyfrowe aparaty fotograficzne zdominowały rynek, odsyłając filmy i klasyczne aparaty do lamusa historii, co spowodowało upadłość Kodaka w 2012 r.

Bardzo kosztowna obrona

Pod koniec XX w. w wojnach patentowych pojawiły się trolle patentowe, czyli firmy lub osoby, które wykorzystując patenty na wynalazki (głównie niestosowane) kupione od innych firm lub osób fizycznych, pozywały do sądu o naruszenie patentów, żądając opłat licencyjnych lub odszkodowań. Ze względu na

koszty sądowe i konieczność zatrudnienia prawników lub rzeczników patentowych obrona w sądzie przed atakiem trolli patentowych, a także innych firm, jest bardzo kosztowna i wielu firm na to po prostu nie stać.

Różne są metody przeciwdziałania i obrony przed działaniami trolli patentowych, ale istnieją również poglądy oparte na doświadczeniach, że wygranymi w wojnach patentowych są tylko prawnicy (również rzecznicy patentowi). Działania w celu utrudnienia i ograniczenia patent trollingu są również podejmowane przez rządy wielu krajów ze względu na ich szkodliwy wpływ na innowacyjność.

Wydaje się, że skuteczną metodą obrony przed trollami patentowymi może być między innymi wniosek o unieważnienie patentów, które są podstawą pozwu o naruszenie zgodnie z art. 89 u. 1,2 ustawy Prawo własności przemysłowej. W przypadku patentów, które nie są stosowane, można też zastosować np. artykuł 5 kodeksu cywilnego (A. Oryl, *IP Trolling: można się przed nim bronić*, „Rzeczpospolita”, 28 kwietnia 2016 r.), który stanowi, że: „nie można czynić ze swego prawa użytku, który by był sprzeczny ze społeczno-gospodarczym przeznaczeniem tego prawa lub z zasadami współzycia społecznego. Takie działanie lub zaniechanie uprawnionego nie jest uważane za wykonywanie prawa i nie korzysta z ochrony”.

Ponieważ patent jest prawem wyłącznym do korzystania z wynalazku, na który został udzielony w celach zawodowych lub zarobkowych na terenie państwa, które wydało decyzję o udzieleniu patentu, to używanie tego prawa w sposób niezgodny z przeznaczeniem, uczciwą konkurencją i zasadami społecznej odpowiedzialności biznesu może być uznane za nadużycie prawa.

Wydaje się, że ciekawe może być porównanie wojen patentowych historycznie najstarszych, z drugiej połowy XIX w. i początkowych dekad XX w., z tymi z końca XX w. i początków XXI w. Cele tych sporów, określanych jako wojny patentowe, były dawniej i obecnie te same. W tych przypadkach wiadomo, że chodziło i chodzi o pieniądze, przy czym źródłami pieniędzy są wynagrodzenia twórców z tytułu wykorzystywania patentu do produkcji lub świadczenia usług, odszkodowania za korzystanie z patentu bez licencji oraz opłaty licencyjne.

Wydaje się, że zasadnicza różnica między dawnymi i współczesnymi wojnami patentowymi polega na tym, że obecnie wytwarzane produkty oraz świadczone usługi są bardziej złożone i skomplikowane, co powoduje, iż np. na jeden typ smartfona można udzielić setek tysięcy patentów i to różnym właścicielom. Natomiast takie produkty jak żarówka Edisona czy telefon Bella były objęte jednym patentem. Ta sytuacja z jednej strony ułatwia pozwy o naruszenie patentu, a z drugiej utrudnia rozstrzygnięcie sądowi, ponieważ bardzo trudno ocenić, jaką wartość, a ściślej jaką część wartości, całego produktu ma jego część, której dotyczą dany patent lub patenty, co jest podstawą do oceny należnego ewentualnie odszkodowania. Ten fakt stworzył pole działania dla trolli patentowych, wykorzystujących posiadane, przeważnie zakupione patenty, z których same nie korzystają w celach produkcyjnych lub świadczenia usług, ale próbują zyskać korzyści finansowe przez pozwy do sądu o naruszenie posiadanych patentów. I właśnie działalność trolli patentowych stanowi istotną różnicę między dawnymi i współczesnymi wojnami patentowymi, ponieważ dawniej, w XIX w. i w pierwszych dekadach XX w., wojny patentowe toczyły się między stronami, które chciały korzystać ze swoich patentów zgodnie z ich przeznaczeniem do wytwarzania innowacyjnych produktów.

Rozmowa z dr hab. **Anną Cegiłą**,
prof. UW, językownicą, przewodniczącą Komisji Etyki Komunikacji Polskiej Akademii Umiejętności

Robi się późno

Obniżający się poziom debaty, zaostrejające się spory z użyciem nieetycznych środków językowych prowadzą do wykluczania pewnych grup ludzi – już nie z debaty politycznej, ale z życia społecznego! To mnie naprawdę przeraża.

Proszę przypomnieć genezę i początki działań na rzecz etyki słowa, dokładniej: poprawy poziomu etycznego debaty publicznej i w ogóle porozumiewania się w sprawach dotyczących wspólnoty obywateli.

Problemy, które dziś włączamy w obszar etyki komunikacji, poruszano już w latach pięćdziesiątych, analizując język propagandy niemieckiej. Pojęcie „etyki słowa” zaproponowała profesor Jadwiga Puzynina w roku 1981, podczas wystąpienia w Instytucie Języka Polskiego UW. Określiła tym mianem nowy zakres badań językoznawczych, obejmujących zagadnienia prawdy w wypowiedzi, celowego wprowadzania w błąd oraz zaufania do rozmówcy. Propozycję przyjęto z zainteresowaniem, ale i sceptycyzmem dotyczącym braku narzędzi do takich badań w obrębie językoznawstwa strukturalnego.

Badania jednak się zaczęły?

Tak. Zaczęły się badania dotyczące uczciwego – a właściwie nieuczciwego, bo to badano – komunikowania się. W roku 1980 profesor Michał Głowiński wygłosił w PEN Clubie referat o nowomowie, a w roku 1981 odbyła się w UJ konferencja naukowa na ten temat.

O ile wiem, rozważania Michała Głowińskiego o nowomowie wywołały szerszą dyskusję w kręgach akademickich.

Owszem. Przypomnę, że w roku 1990 ukazała się jego książka *Nowomowa po polsku*, jedna z kilku najważniejszych publikacji na ten temat. Dotyczyły one okresu PRL. A w roku 1995, na odbywającym się wtedy Forum Kultury Słowa, profesor Puzynina i profesor Anna Pajdzińska we wspólnym referacie sformułowały podstawowe zasady etyki słowa.

Wprowadzając do obiegu naukowego to pojęcie.

Określając zarazem jego zakres. I to jest, jeśli można tak powiedzieć, metryka urodzenia etyki słowa jako specjalności humanistycznej. Językownicy zaczęli poruszać takie problemy jak manipulacja, perswazja, agresja i inne – w operowaniu słowem. Ukazało się sporo artykułów, a mnie udało się zebrać typy nieetycznych zachowań słownych w przestrzeni publicznej, rządzące nimi zasady, a także sformułować teoretyczne podstawy etyki komunikacji w książce *Słowa i ludzie. Wprowadzenie do etyki słowa*, która ukazała się w roku 2013. W tym samym roku założyłam pracownię naukową Obserwatorium Etyki Słowa, gromadzącą m.in. językowników, socjo-

logów, politologów, psychologów z kilku uczelni. Dyskutujemy na seminariach, a owocem tych dyskusji są dotychczas trzy książki i szereg artykułów. Obszar naszych zainteresowań jest rozległy, działają na nim różni specjaliści, prowadząc badania interdyscyplinarne. Tylko w takich warunkach można poznawać to, co nazywamy etyką słowa czy etyką komunikacji, i ustanawiać kryteria praktycznego postępowania w tym zakresie.

Jeśli dobrze się orientuję, profesor Puzyninie bardzo zależało na społecznym funkcjonowaniu etyki słowa. Prace naukowe stworzyły do tego podstawę.

Przyniosły potrzebne definicje zjawisk występujących w życiu publicznym i rozpoznanie aktualnej sytuacji. Toteż w roku 2016, z inicjatywy profesor Puzyniny, powstał w Radzie Języka Polskiego PAN Zespół Etyki Słowa pod jej przewodnictwem.

Który w czerwcu 2019 roku przekształcił się w Komisję Etyki Komunikacji PAU. Pani została wybrana na jej przewodniczącą, a profesor Puzynina została przewodniczącą honorową. Zaczął się nowy rozdział. Co będzie głównym nurtem działania?

Na pewno będziemy kontynuować starania o wprowadzenie obowiązkowych zajęć z etyki komunikacji do programu wszystkich kierunków studiów. One muszą uświadomić, na czym polega szkodliwość nieetycznych zachowań w komunikowaniu się i, co ważniejsze, pokazać, że można się spierać skutecznie bez obrażania drugiego człowieka, że pogardliwe epitetę nie waży w dyskusji więcej niż argumenty.

Wydaje mi się, że takie zajęcia nietrudno dostosować do profilu różnych kierunków studiów, a wiedza o etyce komunikacji i umiejętności etycznego komunikowania się są potrzebne absolwentom wszystkich kierunków, choć niektórym (studentom medycyny czy pedagogiki) bardziej niż innym.

Oczywiście, tym którym w pracy zawodowej przyjdzie kontaktować się z wieloma bardzo różnymi osobami, te drugie szybko okażą się niezbędne. Tu dodam, że w niektórych uczelniach takie zajęcia już się odbywają i płynące z nich doświadczenia trzeba przeanalizować. Planujemy badania pewnych zagadnień związanych ze stanem debaty publicznej i publicznej komunikacji. Potrzebne są granty na te prace, a muszę powiedzieć, że nie powiodły się moje starania o grant na projekt bada-



Fot. Źródło: kongresobywatecki.pl

nia polskich sporów, który został pozytywnie oceniony, ale konkursu nie ogłoszono.

Polskie spory wydają się – na pewno laikowi – tematem bardzo interesującym i zasługującym na badanie naukowe.

To jest temat bardzo ważny. My, Polacy, spieramy się o różne rzeczy dotyczące nas, ale to się dzieje na znacznie szerszym niż rodzime i poważniejszym tle. Trzeba powiedzieć, że jest trochę publikacji socjologicznych na ten temat, ale przyszedł czas, żeby go ująć i zbadać całościowo. Mamy do czynienia z rebelią, a nawet można powiedzieć wojną kulturową, analogiczną jak ta w 1968 roku. Pokolenie '68 próbuje wprowadzić do kultury to, czego się nie udało wprowadzić wcześniej. Ten szerszy spór i ten nasz wewnętrzny nakładają się na siebie i rozdzielić ich się nie da. Da się ewentualnie wyjaśnić, dlaczego jakiś spór

ma taką, a nie inną temperaturę – odsłaniając, z jakim szerszym sporem się wiąże.

Czy istnieje jakiś, choćby wstępny, rejestr spraw stanowiących przedmiot polskich sporów?

Zygmunt Bauman, pisząc o „płynnej nowoczesności”, próbował wyliczyć sprawy, z którymi powinniśmy zrobić porządek, a które bywają przedmiotem sporów. Pisał m.in., że boimy się odpowiedzialności, stwierdzając, że można ograniczyć poczucie odpowiedzialności zakazami lub nakazami. Jeśli mamy kłopot z pewnymi zasadami moralnymi, jeśli się o nie spieramy, to najlepiej zapisać w prawie, jak powinny funkcjonować.

Rozmawiałam kiedyś z prawnikami o tendencji kodyfikowania jak największej liczby zachowań w jak największej liczbie

rozmaitych sytuacji. Tego się – na szczęście – nie da zrobić, ale przede wszystkim nie byłoby pożądanego.

Oczywiście nie. Tożsamość ludzka, nasze życie duchowe, to jest m.in. żywe sumienie, refleksja nad tym, co powinniśmy zrobić w danej sytuacji, czego zaniechaliśmy, a nie powinniśmy, za co bierzemy odpowiedzialność, za kogo jesteśmy odpowiedzialni, czy tego chcemy, czy nie. Tymczasem w epoce konsumpcjonizmu życie duchowe bardzo się upraszcza, niekiedy sprowadza do ubierania choinki. W sferze publicznej obowiązuje imperatyw sukcesu, a nie dyskutuje się o tym, co to naprawdę znaczy być ludźmi, czy musimy być dojrzały, jakie mamy zadania wobec innych. Chętnie widzielibyśmy spisane definicje podstawowych wartości, żeby się nimi posługiwać w razie potrzeby, a niekoniecznie mieć je zawsze obecne w świadomości. Odczuwamy dzisiaj nie do końca określony niepokój z tego powodu, że wartości, które były dla nas wszystkich bardzo ważne, bo wciąż zagrożone, stały się – teraz, gdy możemy je pielęgnować i realizować – przedmiotem potępięńczych sporów. Jak zażarcie kłócimy się o patriotyzm! Sposób prowadzenia tych sporów jest kompromitujący. Jedna strona mówi, że patriotyzm to gotowość poświęcenia życia dla ojczyzny i to jest jedyna miara patriotyzmu, a druga twierdzi, że w naszej epoce patriotyzm jest w ogóle niepotrzebny albo sprowadza się do sortowania śmieci. Obie strony nie dyskutują ze sobą, lecz wzajemnie się wyśmiewają.

To jest rozległe pole działania dla komisji, i to działania długotrwałego, jak się zdaje.

Tak. Musimy także pisać i mówić o tym, że sfera publiczna, to miejsce, gdzie toczy się dyskurs o ważnych dla każdego sprawach, że jest ona dobrem wspólnym. Powinna być szanowana. Powinna być chroniona.

Wyobrażam sobie, że można by próbować kształtować ambicje, pewien wręcz rodzaj snobizmu na to, że wyrażamy się elegancko, w sposób wyszukany, oryginalny, a zarazem jasno i rzeczowo.

Może to niezły pomysł, bo jesteśmy snobami. Myślałam nawet, że można by ustanowić nagrodę za dziennikarstwo, które nie narusza standardów etycznych, które używa języka w sposób wzorowy, nie tylko przyzwoity. Niestety, w tej chwili dziennikarze tak się zaangażowali w różne spory, że wątpię, czy by się udało, chociaż ten pomysł spotkał się z aplauzem w Zespole Etyki Słowa, zanim jeszcze powstała Komisja PAU. Na pewno byłoby to bardzo trudne, na pewno trzeba by się pilnować przed upolitycznieniem, ale... może warto pomyśleć.

Rozmawiamy o zjawisku, które ma niezbyt odległy początek, które w kilku ostatnich latach przybrało zatrważająco na sile. Czy pani profesor obserwuje rosnące tempo jego rozwoju i poszerzanie się zasięgu?

Niestety tak. Często przypominam sobie, jak ludzie z pokolenia moich profesorów umieli wzorowo dyskutować. Uczyli nas tego przez przykład bardziej niż *expressis verbis*. Ludzie mojego pokolenia miewali z tym czasami niewielki problem, natomiast ludzie dzisiaj czterdziestoletni nie mają żadnych oporów, żeby „przyłożyć” drugiemu złym słowem. Ci starsi jakoś intuicyjnie wyczuwali, jakich rzeczy się nie robi, a jeśli się coś niedobrego zdarzyło, nie mieli kłopotu z oceną i ewentualną skruchą.

Byli inaczej wychowywani.

Teraz jest tak, że z jednej strony rośnie świadomość: ciągle mówimy i piszemy o mowie nienawiści jako czymś złym, karygodnym, w ustawie zapisano, czego mówić nie wolno, coraz

więcej odbywa się procesów sądowych o obrazę, znieważenie, pomówienie, a jednocześnie mamy coraz więcej nieetycznych wypowiedzi w mediach. Dziennikarze się tym jeszcze przejmują. Zaprosili mnie kiedyś i mówiłam o etyce słowa. Wyraźnie jednak widać, że jest powszechny kłopot z przełożeniem wiedzy o tym, że musimy unikać mowy nienawiści, że sprowadza ona bardzo złe skutki itd. na praktykę. Tego trzeba uczyć i to jest zadanie takich gremiów jak Komisja Etyki Komunikacji PAU.

Wiemy już, że uczy się tego część studentów i planuje uczyć wszystkich.

Trzeba zaczynać wcześniej. Chciałabym przekonać ministra edukacji, żeby wprowadzić do szkół przedmiot: komunikacja – może się nazywać np. partnerska, uczciwa, dobra, bardziej zrozumiała dla uczniów niż „etyczna”. Ten przedmiot uczyłby, jak słuchać drugiego człowieka, jak mówić do niego, żeby nie ranić, przekonywać, że powinniśmy mówić tak, jak chcemy, żeby do nas mówiono. Nasze obserwatorium, o którym wspominałam na początku, przeprowadziło warsztaty w szkołach różnych szczebli i przekonaliśmy się, że młodzież przeżywała te zajęcia, na ogół rozumiała je, choć zapamiętałam pewien incydent przeczący temu. Otóż w warszawskiej Szkole Przymierza Rodzin przeczytałam o tym, jak pewien żołnierz pobił rekord, zabijając taliba strzałem z odległości 2000 metrów. Młodzież zupełnie nie zrozumiała, że strzelanie do ludzi to nie są zawody, nie zwróciła uwagi na to, że zginął człowiek, nie pomyślała, że można było i należało napisać o tym rekordzie inaczej. Komentarz: „przecież to tylko talib” wstrząsnął mną. Razem z nauczycielką tłumaczyliśmy długo, o co chodzi. Zrozumiałam wtedy, że robi się późno. Z tymi lekcjami musimy naprawdę wkroczyć jak najprędzej.

Chciałoby się, żeby naprawianie komunikacji, poddawanie debaty publicznej kryteriom etycznym, następowało szybciej niż proces jej degradacji.

To wydaje się konieczne, dlatego że obniżający się poziom debaty, zaostrzające się spory z użyciem nieetycznych środków językowych prowadzą do wykluczania pewnych grup ludzi – już nie z debaty politycznej, ale z życia społecznego! To mnie naprawdę przeraża. Mamy XXI wiek, socjologię i psychologię na wysokim poziomie, może należałoby się zastanowić, czy ludzie, którzy mówią rzeczy uznane przez ogół opinii publicznej za bzdury, nie należałoby kształcić, resocjalizować, a nie wykluczać.

Każdy zdrowo myślący odpowiada na to pytanie twierdząco. Na koniec chcę spytać, jak pani ocenia szanse na spełnienie przedstawionych w naszej rozmowie celów komisji, choćby w dłuższej perspektywie i choćby częściowo.

W komisji mamy ludzi o dużej wiedzy, dużym doświadczeniu i silnych motywacjach do wykonywania zadań, których się podejmujemy. Te osoby mogą podjąć pracę wśród nauczycieli i przygotować ich do zorganizowania lekcji z etyki komunikacji, pokazując problemy, które najpilniej trzeba poruszyć oraz sposoby nauczania tego przedmiotu. Tak samo w sferze badań. Mamy doświadczonych samodzielnych badaczy i można zrobić bardzo dużo, oczywiście przy jakichś takich środkach finansowych, przede wszystkim na publikacje, które powinny być możliwie szeroko rozpowszechnione, co w tym przypadku ma szczególnie duże znaczenie.

Życzę, żeby jak najwięcej zamierzeń udało się spełnić, a że robi się późno, żeby się udawało zdążyć. Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała Magdalena Bajer

Informacja ma się coraz lepiej, ponieważ coraz gorzej

Pisałem już o tym kilkakrotnie, przedstawiając problem w różnych wariantach, ale uważam, że trzeba do tego wracać. Profesor Andrzej Zybertowicz na portalu Wszystkoonajwazniejsze.pl pisze o tym tak: „Wszyscy znaleźliśmy się w warunkach poznawczej bezradności. Nie jesteśmy w stanie odróżnić informacji prawdziwych od fałszywych, ważnych od nieważnych, zjawisk przejściowych, jednostkowych od długotrwałych i strukturalnych”. Nie sposób się więc nie martwić, i dotyczy to dosłownie każdej dziedziny życia.

Czego się nie tkniemy, pojawia się bariera informacyjna (sztuczna lub naturalna), ale byłby to jeszcze drobiazg, bo ciągle istnieje nauka, żeby tę barierę niwelować. Została powołana, aby wyspę wiedzy i umiejętności (z białą plamą niewiedzy i bezradności pośrodku) powiększać. Nauka jednak wólczy się niestety tylko po brzegach tej wyspy, by nie powiedzieć – po jej plażach, a powierzchnia środka stale jest ta sama, jeśli nie większa, bo poznane plaże stają się coraz dłuższe. Mamy nieustającą nadzieję, że pewnego dnia zaczniemy się wdierać do wnętrza tych obszarów, tymczasem narosło zagrożenie, że do likwidacji białych plam nigdy nie dojdzie, bo pojawiały się coraz lepsze mechanizmy, skutecznie temu przeciwdziałające.

I oto mamy je na widoku, są zauważalne jak nigdy dotąd. Wszystko dzięki mediom, a zwłaszcza ich wyrobnikom, czyli dziennikarzom, którzy realizują własne lub zlecone zadania wprowadzania takich zakłóceń, które uniemożliwiają nie tylko realne poznawanie świata, ale co gorsza także korzystanie z wiedzy, którą już mamy.

Że coś jest na rzeczy, stawało się jasne jeszcze w latach sześćdziesiątych XX w., a dokładnie w maju 1968, kiedy nasiliły się protesty studenckie we Francji. To właśnie wówczas po raz pierwszy dał znać o sobie – jeszcze tak nienazywany – postmodernizm, czyli ponowoczesność, które to miano jest mocno oszukiwacze, mylące, bo byłoby sensowne używanie raczej prawdziwszej nazwy typu antynowoczesność, kontrmodernizm lub podobnej, aby wyrażała zaprzeczenie wszystkiemu, czego dopracowała się cywilizacja pierwszych dwóch tysięcy lat po Chrystusie.

Pamiętam znamienne dla mnie zdarzenie z początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy po konferencji naukowej w Warszawie, bodaj w Pałacu Ujazdowskim, poświęconej psychologii Carla Gustawa Junga, odwoziłem do domu profesor Marię Janion, głęboko poruszoną kilkoma referatami, które gloryfikowały ów postmodernizm i wróżyły mu gigantyczne sukcesy na polu medycyny (a szczególnie psychiatrii), psychologii i nauk w pełnym tego słowa znaczeniu humanistycznych, wreszcie literatury i sztuki.

Oto tezy, które wtedy niezobowiązująco, ale pamięciotwórczo padły. Pani profesor ze smutkiem snuła w samochodzie rozważania na temat zdarzeń i przemian, które nas będą czekały. Chodziło między innymi o zanikanie treści romantycznych w kulturze, i to w sposób trudny do zauważenia, bo polegający na zmia-

nie hierarchii wartości i czynów oraz priorytetów społecznych, a także, przy walnym udziale relatywizmu, wymianie wartości na puste a atrakcyjne hasła. Była też mowa o znacznie większym niż w leninizmie zaniku więzi międzyludzkich opartych dotychczas na kodeksach moralnych, ze zwróceniem się ku egocentryzmowi. Zapamiętałem też wróżbę, która mówiła, że pod dyktando polityki nastąpi przewrót metodologii historii i zastąpienie jej dowodów naukowych źródłami rzekomymi, opartymi na chęciostwie i fantazji dostosowanej do potrzeb władzy i ekonomii.

Wszystko to mamy dzisiaj jak na dłoni. Stało się. Ba, materia umysłowa zaczęła się mieszać jak w diabelskim kotle. Mówił o tym prof. Umberto Eco w Warszawie na konferencji w Uniwersytecie Warszawskim pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Na pytanie dr. Tadeusza Komendanta o nowocześniejszy system znaków komunikacji w perspektywie globalnej Eco odparł tak zaskakująco, że sala znieruchomiała ze zdumienia (wtedy, bo dziś już by tak nie zareagowała). Powiedział mniej więcej, że (cytuję z pamięci i notatek) „nie ma jawnego systemu informacji na świecie. Dawniejszy system jawny nie jest systemem, rozpadł się na miliony mikrosystemów, które wzajemnie się przenikają. Na przykład polityka rolna miesza się z reklamą, która nie zawsze reklamuje prawdziwe towary, ale zawsze prawdziwe tezy, aby ludzie je przyswoili. Inny przykład: odkrycia medyczne są hamowane przez fałszywą informację dopóty, dopóki nie wyczerpią się potrzeby produkcji i handlu tym, co wyprodukowano na podstawie dawnej wiedzy. System jawny był mrzonką już w pierwszej połowie XX wieku. Teraz system został ukryty i zna go kilka osób, firm i rządów. Reszta to jego produkty, które są celowo śmietnikiem. Rządzi tylko jedna zasada: ludzie nie mają prawa się w nim połapać. To jedyna zasada systemu semiotycznego obecnej cywilizacji, która jest widoczna, bo ukryć się jej nie da”.

Aby w pełni zrozumieć te słowa, trzeba doczytać opis s-kodu, zawarty m.in. w książce Eco pt. *Teoria semiotyki* (Wyd. UJ, 2009), ponieważ istotą owego antysystemu albo systemu ukrytego jest tworzenie nowych, nieznanych kodów strukturalnych informowania.

Kiedy się mówi, że ktoś wierzy w spiskową teorię dziejów, to mówi się to wyłącznie po to, aby zdyskredytować tego wierzącego, bo tylko w ten sposób można prawdziwie ukryć spisek. Natomiast ci, którzy śledzą elementy informowania i szukają spójności w istniejącej informacji (w każdym przekazie międzyludzkim), mają szansę odkrycia, o co w tym wszystkim chodzi. I coraz częściej odkrywają. Są za to bici po łapach. Najciekawsze w tym wszystkim są celowo ujawniane informacje niejawne, a także zespoły przyczyn, dla których się to robi.

Kto ma w rękę informację, ten ma władzę. Dlatego silne władze organizują silne czasopisma, telewizje i radiofonie nie tylko u siebie, ale i u sąsiadów.

e-mail: lpj@lpj.pl

Droga przez labirynt



Złożoność materii ustawowej dotyczącej szkolnictwa wyższego jest na tyle duża, a zmiany wprowadzone obecnymi regulacjami na tyle daleko idące, że wymagały szerokiego komentarza. Podjął się tego zespół kierowany przez prof. Jerzego Woźnickiego, prezesa Fundacji Rektorów Polskich, byłego rektora Politechniki Warszawskiej i przewodniczącego Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich. A co nie mniej ważne, przedstawiciela Prezydenta RP jako wnioskodawcy w pracach nad ustawą Prawo o szkolnictwie wyższym

i nauce z 2005 roku. W zespole redakcyjnym monografii pt. *Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce. Komentarz*, opublikowanej nakładem wydawnictwa Wolters Kluwer, poza przewodniczącym, prof. Jerzym Woźnickim, znalazło się grono ekspertów (dr Iryna Degatjarowa, dr Marcin Dokowicz, dr Maria Hulicka, dr Tomasz Jędrzejewski, Anna Mrozowska, dr hab. Paweł Wojciechowski) zajmujących się od wielu lat problematyką szkolnictwa wyższego i nauki, a także aktywnie uczestniczących w krajowych i międzynarodowych gremiach przedstawicielskich szkolnictwa wyższego. Osoby te łączyły doświadczenie w pracy i kierowaniu szkołami wyższymi oraz aktywny udział w tworzeniu wielu kluczowych dokumentów szkolnictwa wyższego, opracowywanych przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego, Konferencję Rektorów Akademickich Szkół Polskich oraz Fundację Rektorów Polskich. Monografię recenzował prof. Bronisław Sitek, sekretarz Centralnej Komisji do spraw Stopni i Tytułu, a także członek nowo powołanej Rady Doskonałości Naukowej.

Autorzy monografii podjęli się zadania wyjątkowego, gdyż przeanalizowali każdy z 470 artykułów ustawy z 20 lipca 2018 roku, opatrując je obszernymi komentarzami. Była to z pewnością benedyktyńska praca, biorąc pod uwagę wyjątkowo krótki czas redagowania monografii, obszerność i złożoność podejmowanej problematyki, a także konieczność łączenia zapisów ustawy z 20 lipca 2018 roku z wieloma innymi regulacjami prawnymi. Niewątpliwą zaletą monografii jest to, że autorzy komentarzy nie ograniczyli się do objaśnień znaczenia poszczególnych artykułów ustawy, lecz wskazali różnice pomiędzy wcześniejszymi regulacjami prawnymi a obecnym stanem prawnym, proponując także interpretacje poszczególnych zapisów ustawy.

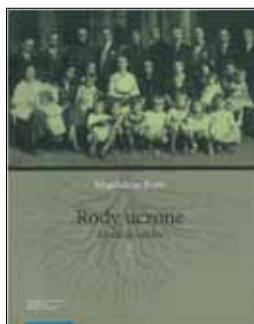
Za szczególną wartość monografii można uznać wnikliwość i rzetelność autorów, którzy starali się w przystępny sposób „rozszyfrować” poszczególne zapisy ustawy, stąd zaproponowany tytuł niniejszej recenzji. Monografia jest wyjątkowo cennym opracowaniem, które może być pomocne instytucjom przedstawicielskim szkolnictwa wyższego, a także władzom uczelni, w tym zwłaszcza organom uczelni opisanym w statutach instytucji akademickich, oraz uczelnianym zespołom radców prawnych, którzy aktywnie współuczestniczą w tworzeniu regulacji wewnętrznych autonomicznych szkół wyższych. Szczególna wartość monografii, zdaniem piszącego te słowa, dotyczy komentarzy odnoszących się do organizacji i zarządzania uczelnią, a także wyjaśniania meandrów ładu korporacyjnego uczelni, którego szczegóły znajdują się w statutach uczelni. Nie mniej istotne są komentarze dotyczące roli instytucji przedstawicielskich, których znaczenia dla funkcjonowania i doskonalenia systemu szkolnictwa wyższego nie sposób przecenić. Bardzo cenne są również komentarze dotyczące stosowania lub nie Kodeksu postępowania administracyjnego, gdyż pozwalają rozstrzygnąć szereg dylematów, z którymi stykają się władze wielu uczelni.

Wysokie walory merytoryczne monografii, których gwarantem jest zespół redakcyjny, sprawiają, że to wyjątkowe dzieło powinno trafić do każdej instytucji akademickiej.

Krzysztof Leja

Jerzy WOŹNICKI (red.), *Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce. Komentarz*, Wolters Kluwer, Warszawa 2019.

Nauka jako tradycja pokoleń



Cykl *Rody uczone* autorstwa Magdaleny Bajer od 1997 roku jest publikowany na łamach „Forum Akademickiego”, a przez wiele lat gościł na antenie Polskiego Radia. W 2013 roku ukazał się pierwszy tom obszernych i ładnie wydanych historii polskich rodzin należących do elity intelektualnej kraju. W drugim tomie opisano kolejne rody związane z rozwojem nauki w Polsce, m.in. Staniszkisów, Wyków, Zolów, Komorowskich, Chełmońskich, Nałęczów, Mossakowskich, Liberów i Jasińskich.

Każda opowieść przedstawiona w książce to fascynująca podróż do przeszłości, bez względu na to, czy rzeczywiście przedstawia wielopokoleniową tradycję, czy historię życia pierwszej generacji robiącej karierę naukową. Dla jednych studia były oczywistością, kontynuacją rodzinnej drogi, często wręcz wymagano dalszego kształcenia się dzieci i wspinania po drabinie kariery uczelnianej. Inni sami przecierali ścieżki, bo nikt przed nimi nie zdecydował się na studia.

Historie są tym ciekawsze, że powiązane ze skomplikowanymi dziejami naszej ojczyzny. Opowieści niejednokrotnie zawierają więc wątki polityczne, wojenne i migracyjne. Jak zauważa autorka, wędrówki mieszkańców środkowo-wschodniej Europy przez dwa ostatnie stulecia były zazwyczaj niechciane, odbywane pod dyktando historii. Wszystkie te doświadczenia wpłynęły na to – jak pisał już w 1947 roku socjolog profesor Józef Chałasiński – że niektórzy dostali „choroby zagranicznej – za granicę, za granicę, byle nie tu w Polsce”. Profesor tymczasem dostał „choroby innej – tylko w Polsce, na tych gruzach, zapracować się na śmierć, ale odbudować wszystko”.

Korzenie wielu opisywanych rodzin sięgają odległych rejonów Europy. Babcia prof. Anny Doboszyńskiej, kierownik Zakładu Pielęgniarstwa Klinicznego w Warszawskim Uniwersytecie Medycznym, była Gruzinką, urodzoną w Kutaisi jako jedna z pięciorga dzieci Zofii Iwaszkiewiczówny, córki zesłańca z 1830 roku. Rodzina profesor Hanny Osieckiej-Samsonowicz, historyka sztuki, według domowej legendy wywodzi się od brańców tureckich lub tatarskich z XVII wieku. Przodkowie pani Marty Ehrenkreutz-Jasińskiej, noszący nazwisko Baudouin de Courtenay, przybyli do Rzeczypospolitej prawdopodobnie na początku XVIII wieku z Francji. Rodzina Rawiczów, z której pochodzi prof. Jerzy Kłoczowski, historyk mediewista, wywodzi się z czeskich możnowładców Wrszowców, którzy wystawili własną chorągiew w bitwie pod Grunwaldem.

Nie trzeba jednak pokoleniowych tradycji, by zapisać się na kartach historii nauki polskiej. Profesor Marcin Kula pisze: „Mój ród nie jest rodem. Wśród pradziadków mam jednego pańszczyźnianego chłopca i jednego chałatowego Żyda. Jest mi z tym dobrze. Jestem bardzo dumny, że mój ojciec dokonał tego awansu społecznego. A z drugiej strony: ród – to zakłada jakąś kontynuację. Moje dzieci studiują, prawda, ale czy ja chciałbym, żeby szły dalej w tym samym kierunku?”.

W jednym z rozdziałów Magdalena Bajer porusza ważny temat roli naukowców w życiu publicznym: „W tradycji Meissnerów, Lutosławskich i innych z nimi spokrewnionych rodzin utrwaliły się wszystkie najważniejsze wątki tożsamości inteligentnej, której nosicielom w ostatnich dziesięcioleciach odmawia się poczesnego miejsca w społeczeństwie, utrzymując, że przywództwo duchowe pełnione przez inteligencję sprawują obecne autorytety zawodowe, lokalne czy środowiskowe. Jednak niekiedy od przedstawicieli inteligencji gorączkowo oczekujemy zajęcia stanowiska wobec rysujących się kryzysów społecznych, mnożących naruszeń tradycyjnego etosu i pilnych do rozstrzygnięcia kwestii dotyczących edukacji”.

Justyna Jakubczyk

Magdalena BAJER, *Rody uczone. Kreski do szkicu. Tom 2*, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 2019.

Poszukiwania punktów styčných



Do dziś pamiętam gorącą dyskusję między moim licealnym katechetą a częścią koleżanek i kolegów z mojej klasy. Sugerowali oni zmianę modelu nauczania religii w szkole z formacji w duchu katolickim na religioznawstwo. Ponieważ katecheta poważnie traktował uczniów, nie zasłaniał się obowiązującym programem nauczania, ale wyjaśniał, dlaczego w szkole uczniowie powinni mieć dostęp do obu typów zajęć: osoby chętne powinny móc rozmawiać o doświadczeniu wiary, a wszyscy – mieć ramowe pojęcie o innych religiach, aby nie ulegać stereotypom. Jego podejście dało nam do myślenia i ostudziło nastroje.

Nieżyjący już brytyjski teolog John Hick w *Nowym pograniczu nauki i religii* starał się połączyć poważnie traktowanie przeżyć duchowych/religijnych jako autentycznych z najnowszymi ustaleniami neuronauki, okraszając dodatkowo wywód przybliżeniem czytelnikowi interesujących porównań między religiami. Najcenniejsze wydaje mi się wskazanie na dwie pułapki, w które często wpadają zarówno badacze mózgu, jak i współcześni filozofowie. Pierwszą jest zakładanie, że nie tylko wszelkie przeżycia i doświadczenia dające się określić mianem duchowych lub religijnych, ale także takie zjawiska jak świadomość, muszą mieć wyłącznie materialną podstawę (takie podejście Hick nazywa twardym naturalizmem). Drugą jest skupianie się w badaniu przeżyć religijnych na niezwykłych, ale łatwo opisywalnych wizjach (boskich postaci, aniołów, demonów, zaświatów itp.). Tymczasem Hick stara się traktować doświadczenie religijne możliwie szeroko i włącza do niego przeżycia opisywane jako poczucie harmonii lub jedności z wszechświatem, obecności nieokreślonej, dobrej i łagodnej siły, opieki ze strony tej siły itp. Jednocześnie jego książka nie traci dyscypliny wywodu naukowego eseju. Hick nie identyfikuje się z żadnym wyznaniem i nie zamierza przekonywać nikogo, że Bóg istnieje. Ponieważ nie wszystkie religie zakładają istnienie osobowego absolutu, autor posługuje się pisany wielką literą pojęciem Transcendentnego i jasno określa swoją wiarę w istnienie takiego wymiaru świata.

Jego poszukiwania punktów styčných między doświadczeniem religijnym, neuronauką i Transcendentnym koncentrują się wokół zagadnień umysłu i świadomości – na ile są one jedynie rezultatem fizjologicznej aktywności mózgu, a na ile istnieją niezależnie? Autor jasno wykląda, dlaczego ma to znaczenie: jeśli umysł nie jest jedynie formą przystosowania ewolucyjnego, to również potrzeby duchowe i przeżycia o takim charakterze mogą być czymś więcej niż tylko psychiczną podpórką pozwalającą radzić sobie z lękami (tak widział rolę religii np. Freud). Zgrzyty w wywodzie Hicka pojawiają się jedynie wówczas, gdy uznaje on za oczywiste, że „nikt rozsądny” nie wierzy już w boskość Jezusa, który przecież (i to także oczywiste) nie uważał się za Wcielenie czegośkolwiek. Teza, że chrześcijaństwo jest dziełem św. Pawła, nie jest nowa, ale wciąż bardzo inspirująca, pod warunkiem, że nie towarzyszy jej sugestia, że to oczywiste.

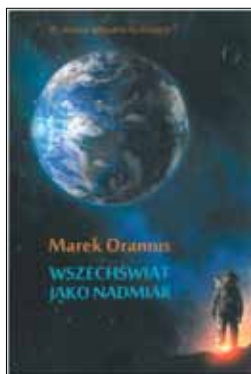
Lektura książki pozwala z zalem (momentami wręcz zażenowaniem) skonstatować, że wiele istotnych publikacji, na które powołuje się autor, nigdy nie zostało przełożonych na polski. Hick wskazuje je jako fundamentalne do poznania danej religii lub jej odłamu. Autor parokrotnie podkreśla, że znajomość obcych tradycji duchowych może być inspirująca – dla wierzących w życie wiarą, dla nieidentyfikujących się z religią w niekonfesyjnym życiu duchowym lub intelektualnych poszukiwaniach. Może się to odbywać bez zacierania własnej tożsamości ani bycia wciągany w życie religijne wbrew woli.

Marek Misiak

John HICK, *Nowe pogranicze nauki i religii. Doświadczenie religijne. neuronauka i Transcendentne*, tłum. Jan Andrzej Lipski, red. Tomasz Sieczkowski,

Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2019, seria: W poszukiwaniu idei XXI wieku.

O kosmosie szkiełkiem, okiem i... kamerą



Dla pokolenia urodzonego w połowie ubiegłego wieku – rówieśników autora – doświadczenie epokowego wydarzenia pojawiło się już u progu dorosłości, w lipcową noc 1969 roku. I miało ono wymiar niemal mistyczny. Nie chodzi przy tym o modlitwy, które wokół odprawiano, by zapewnić powodzenie przedsięwzięcia. Bardziej o dotknięcie nieosiągalnego dla zwykłych śmiertelników boskiego Kosmosu. Wyjątkową atmosferę podsycała transmisja telewizyjna, z całego bloku wschodniego dostępna jedynie w Polsce. Mimo że misterium trwało kilka godzin, to przez dłuższy czas wiało nudą. Ekscytację wywołał dopiero postawiony w kulminacyjnym momencie „mały krok dla człowieka, ale wielki dla ludzkości”. Rywalizacja o prymat w kosmicznym wyścigu rozpalala już wcześniej wyobraźnię, lecz dopiero lądowanie Apolla 11 nadało jej konkretną perspektywę. W siermiężnej peelerowskiej rzeczywistości oglądało się to z wypiekami na twarzy. Nic dziwnego, że obraz pierwszych chwil człowieka na Księżycu wielu wrył się głęboko w pamięć.

A jeśli to była tylko zręczna mistyfikacja? Jeśli całość zaaranżowano w studiu filmowym w Arizonie, po czym nagranie udostępniono łatwowiernej (co wiadomo od czasu radiowej adaptacji *Wojny światów* dokonanej przez Orsona Wellesa) publiczności? Cóż, w dobie antyszczepionkowców, płaskoziemców czy klimatycznych denialistów nawet Neil Armstrong może wzbudzić podejrzenia. Oramus zdaje sobie sprawę z tego, że nauka nie jest wolna od spiskowych teorii. Tym niemniej w konfrontacji z tymi legendami zwycięża jego „szkiełko i oko”. Wodze fantazji puszcza za to, sięgając co rusz do dzieł literackich i filmowych, których twórcy z lubością czerpali z nauki inspirację do tworzenia alternatywnych scenariuszy. Lukian z Samosaty, Juliusz Verne, Arthur C. Clarke, Stanisław Lem, Jacek Dukaj, Ridley Scott, Stanley Kubrick – to ledwie kilka nazwisk z naprawdę imponującej kwerendy dokonanej przez autora. Podobnie jak aroganccy, mało empatyczni, niepokorni geniusze pokroju Stephena Hawkinga czy Petera Higgsa, artyści pióra i kamery również przekraczają granice poznania, patrzą daleko poza horyzont wyobraźni, a z czasem, chcąc nie chcąc, zostają ubrani w szaty proroków.

Te dwa na pozór wykluczające się światy, między którymi Oramus (z wykształcenia energetyk jądrowy, z zawodu pisarz fantastyki) nadsposdziewanie łatwo się porusza, łączy coś jeszcze. I nauka, i jej odbicie w kulturze podlegają nieustannej ewolucji. Tak jak choćby zajmowanie się planetami wokół gwiazd innych niż Słońce uchodziło ongiś za ekstrawagancję, a dziś jest codziennością astronomii, tak w literaturze „im bliżej XX wieku, tym bardziej entuzjazm dla księżycowych form życia słabnie”. Jedne teorie są obalane, inne, dotąd niedoceniane, zyskują miano dogmatu. Karuzela kręci się aż miło...

Książka, będąca zbiorem esejów, powstała w półwiecze lądowania na ziemskim satelicie, ale wydarzenie to, chyba najobszerniej potraktowane, nie wyczerpuje jej tematyki. Autor wraca do początków wszechświata, snuje rozważania o jego końcu, ze sceptycyzmem odnosi się do futurologii, wypowiada się o innych cywilizacjach, wreszcie oddaje głos Erichowi von Dänikenowi i prof. Pawłowi Moskalikowi. Uczynił naukę kanwą swoich rozważań, ale trudno oprzeć się wrażeniu, że w paru miejscach świadomie spycha ją na dalszy plan. Ciekawie skądinąd przedstawiony kontekst polityczny dominuje w opisie radziecko-amerykańskiego współzawodnictwa w kosmosie. Eschatologiczne komentarze mocno wybrzmiewają przy dalszych losach naszej planety. Jeśli dodać do tego sugestywne opisy nadchodzących tendencji życia codziennego, to mamy gotowy przepis na pozycję, którą zamiast na półce „popularnonaukowa” można postawić tam, gdzie „nauka społecznie zaangażowana”.

Mariusz Karwowski

Marek ORAMUS, *Wszczęświat jako nadmiar*, Wydawnictwo Zys i S-ka, Poznań 2019.



Pamięć o przeszłych zdarzeniach jest w gruncie rzeczy kwestią indywidualną. Pamiętamy lub nie pamiętamy o tym, co dotyczy nas samych, naszych bliskich lub całych społeczeństw. Problem pojawia się wtedy, gdy pamięć zaczyna dotyczyć zbiorowości. W jaki sposób staje się ona intersubiektywna, a zatem wspólna dla wielu osób?

Książka Eleonory Jedlińskiej stawia nas wobec tego właśnie problemu. Jest to zbiór czternastu szkiców pokazujących, w jaki sposób artyści sztuk plastycznych zmagają się z problemem ukazania za pośrednictwem

artystycznych mediów tematu Holocaustu, czyli jednej z największych zbiorowych traum XX wieku. Zagadnienie – ukazane nie wprost – jest o wiele ciekawsze. Chodzi bowiem (na co słusznie wskazano w posłowie) o sformułowanie przez Adorna pytanie o możliwość twórczości „po Auschwitz”. Jak się okazuje, było ono znaczące nawet przed zwerbalizowaniem. Widzimy to w kolażach Strzeмиńskiego, twórczości Tadeusza Kantora czy wspaniałym abstrakcjonizmie Marka Rothko. Te trzy skrajnie odmienne osobowości i trzy nieprzystające do siebie sposoby tworzenia zdają się nie mieć na pierwszy rzut oka nic wspólnego. Jednakże autorka *Kształtów pamięci* odnajduje wspólny mianownik. Jest nim nie tylko próba ukazania cierpienia samego artysty i ofiar Shoah, lecz także swoista próba odbudowania świata po Zagładzie. Nie polega ona na powrocie do stanu dawnego, gdyż jest to niemożliwe fizycznie, a także w najbardziej podstawowym wymiarze – Holocaust w opinii wielu twórców przemienił świat, który nigdy nie będzie taki, jak dawniej.

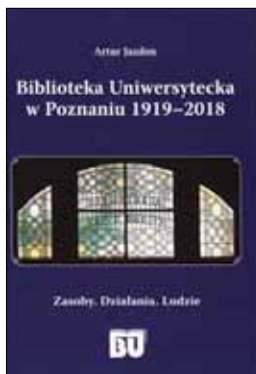
Mamy do czynienia z konstrukcją świata opartą na odbudowie pamięci o tym, jak było „przed”, jak również o samej zbrodni. A właściwie „Zbrodni”, gdyż prezentowani przez Jedlińską artyści uznają wyjątkowość tego zdarzenia za czynnik niemalże konstytuujący współczesną świadomość. I właśnie owa „pamięć konstruująca” jest chyba najważniejszym tropem interpretacyjnym, jakim idzie autorka, próbując dokonać interpretacji twórczości szeregu współczesnych artystów. Ta ponowna konstrukcja świata jest niezbędna nie tylko z powodu konieczności pamięci o Zagładzie, która dla omawianych w książce artystów jest imperatywem moralnym i artystycznym. Jest to także konieczne, ponieważ tylko taka twórczość jest dostatecznym usprawiedliwieniem działalności artystycznej. Powracając do problemu stawianego przez Adorna, Jedlińska wskazuje, że możemy powiedzieć, iż twórczość artystyczna po Auschwitz jest możliwa jedynie o tyle, o ile jest powiązana z pamięcią o Shoah.

Zdecydowana większość tekstów dotyczy nie „klasyków nowoczesności”, lecz artystów działających obecnie na terenie Polski i innych krajów europejskich. Trzeba przyznać, że prezentacja ich twórczości oraz podejmowane próby interpretacji pozwalają czytelnikowi na rozpoznanie i samodzielnie ocenę tej twórczości.

Odbiegając od samego tekstu książki warto zwrócić uwagę, że sztuka „pamięci Holocaustu” jest absolutnie kosmopolityczna – w tym znaczeniu, że nie ma żadnego zróżnicowania w sposobie działań artystycznych między współcześnie działającymi artystami, niezależnie od miejsca i daty urodzenia oraz narodowości. Widać zatem wyraźnie, że Zagłada traktowana jest jako zjawisko metafizyczne, w pewnym sensie oderwane od historii oraz fizycznego świata. W działalności artystów w pewien sposób traci ona swoje „tu i teraz”. Tak samo dzieje się ze wspomnieniem obecności Żydów na terenach europejskich. To nieco dziwaczne, a także całkowicie ahistoryczne. Życie Żydów w zachodniej Europie było radykalnie odmienne od życia ich pobratymców z Europy Środkowo-Wschodniej. Można zadać sobie pytanie, czy uznawali się oni za wspólnotę? W tym sensie konstruktywizm artystów sprzeciwia się temu, co uważa za najważniejszy aspekt swojej twórczości. Sprzeciwia się pamięci.

Juliusz Gałkowski

Eleonora JEDLIŃSKA, *Kształty pamięci. Wybrane zagadnienia sztuki współczesnej*, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2019, seria: Oblicza sztuki.



Jest w stolicy Finlandii pewien obiekt, który u wielu osób wzbudza zainteresowanie z uwagi zarówno na oryginalną konstrukcję, jak i usytuowanie. W tym posadowionym naprzeciwko siedziby fińskiego parlamentu budynku, realizuje swoją misję Helsińska Biblioteka Centralna Oodi. Powstała w stulecie odzyskania niepodległości księżnicę traktuje się jak najlepszy prezent, jaki państwo może dać swoim obywatelom. Wyniesiona do rangi symbolu biblioteka przypomina o ważnej społecznie roli, którą realizują tego rodzaju placówki,

będące miejscami, gdzie popularyzuje się wiedzę, edukuje, udostępnia zbiory czy wręcz przeciwnie przechowuje i przekazuje spuściznę wielu pokoleń różnorodnych twórców.

Bardzo ważną rolę w pełnym księżycu krajobrazie zajmują biblioteki naukowe związane ze szkołami wyższymi. Postawione przed nimi zadania prowadzenia działalności dydaktycznej, naukowej oraz informacyjnej wymagają nie tylko ciągłego doskonalenia, ale też umiejętnego reagowania na często zmieniające się okoliczności. O tym, jak bardzo potrafią one wpłynąć na kształt i charakter konkretnej jednostki, przekonać się można poznając koleje losu obchodzącej w ubiegłym roku stulecie istnienia Biblioteki Uniwersyteckiej w Poznaniu. W opracowanej przez jej wieloletniego dyrektora, Artura Jazdona, monografii dzieje księżnicy ze stolicy Wielkopolski stają się czymś więcej niż tylko pretekstem do podsumowania dotychczasowej działalności. Umieszczając losy biblioteki w szerokim kontekście historycznym, społecznym i gospodarczym, autor zaprasza czytelnika nie tylko, by zapoznał się ze specyfiką jej funkcjonowania, ale także, by odbył podróż w czasie przez burzliwe dzieje państwa polskiego.

W siedmiu rozdziałach, celowo skonstruowanych w niemal identyczny sposób, co istotnie ułatwia skuteczną nawigację po całości bogatego materiału, widać niezwykłą dbałość o szczegóły. Jazdon, oddając do dyspozycji odbiorcy imponujące rozmachem kompendium wiedzy, dzieli się informacjami obejmującymi zagadnienia związane z ewolucją struktur biblioteki, zmianami źródeł jej finansowania, modyfikowaniem sposobów udostępniania zbiorów czy wręcz korygowaniem systemu katalogowania. Chcąc pokazać czytelnikowi możliwie najdokładniejszy obraz funkcjonowania poznańskiej placówki, autor przytacza wiele historii z codziennego życia biblioteki. Niektóre noszą znamiona prawdziwego dramatu, jak chociażby sytuacja, kiedy to inspekcja pracy nakazała zamknąć magazyn główny z uwagi na zagrożenie katastrofą budowlaną. Masa zbiorów doprowadziła bowiem do takiego ugięcia się konstrukcji nośnej, że książki same spadały z półek. Mimo tej i wielu innych przeszkód udało się Bibliotece Uniwersyteckiej w Poznaniu odegrać znaczącą rolę w rodzimej historii. Warto wspomnieć, że ta właśnie jednostka, jako pierwsza w kraju uruchomiła Wypożyczalnię Międzybiblioteczną oraz Pracownię Mikrofilmową, była także pierwszą, która zlikwidowała prohibity i wprowadziła do powszechnego obiegu zbiory, które przedtem znajdowały się na liście pozycji zastrzeżonych.

Zmieniające się systemy polityczne, światowe tragedie i krajowe nieszcześcia, niemiecka okupacja, powtarzające się próby ograniczenia dostępu do zbiorów, a także różnego rodzaju naciski, by działać zgodnie z określoną linią światopoglądową, widoczne także wśród osób zarządzających biblioteką, nie zniszczyły woli do kontynuowania wieloletniej tradycji. Determinacja wszystkich zaangażowanych osób pozwoliła zachować w Poznaniu miejsce otwarte, dziś oczywiście na wskroś już nowoczesne, które jak zawsze tworzy przyjazną przestrzeń nie tylko dla pracowników naukowych, ale także dla lokalnej społeczności miasta i regionu.

Aneta Zawadzka

Artur JAZDON, *Biblioteka Uniwersytecka w Poznaniu 1919-2018. Zasoby. Działania. Ludzie*, Biblioteka Uniwersytecka, Poznań 2019, seria: Prace Naukowe Biblioteki Uniwersyteckiej.



Leszek Szaruga

Kim jestem?

Odpowiadając na tytułowe pytanie, zupełnie serio muszę stwierdzić, że nie wiem. Ale wiem zarazem, że dowiaduję się tego każdego dnia, i że dzisiaj jestem jednak kimś nieco innym niż wczoraj: trochę więcej wiem niż wiedziałem. Wiem też, że zapytany o swoją tożsamość, nie mam większych wątpliwości: jestem sobą. Można oczywiście takie pytania mnożyć – codziennie raczej ich sobie nie stawiam, ale „filozoficzny” numer FA skłania do refleksji, filozofia albowiem jest wciąż ponawianym pytaniem o ludzką tożsamość, o sposób naszego poznawania świata, o nasze miejsce w kosmosie i sądzę, że od tych pytań tak naprawdę nikt nie jest zupełnie wolny, choć nie każdy jest świadom tego, że je sobie stawia.

W roku bodaj 1992, w każdym razie już dość dawno temu, bo przed ponad ćwierćwieczem, opublikowałem na łamach krakowskiej „Dekady Literackiej” artykuł o nadchodzącym czasie wielkich wędrówek ludów, pytając, dlaczego politycy w Europie, do której, jak przewidywały prognozy, do połowy XXI stulecia ma przybyć 30-50 milionów migrantów przede wszystkim z Azji i Afryki, nie czynią nic, by się do tego przygotować. Tym bardziej rozbawił mnie szok, jaki kilka lat temu wywołała fala uciekinierów zdążających do brzegów Grecji, Hiszpanii czy Włoch. To można było przewidzieć. I można było się przygotować. Jeszcze bardziej bawi mnie – bo w końcu już mnie to nie dotyczy – niestanowiąca w tym względzie zagadki przyszłość: fala przybyszy będzie systematycznie rosła. Już rośnie. W Polsce też.

W latach sześćdziesiątych czarnoskóry człowiek na warszawskiej ulicy to była sensacja, egzotyka jakaś. Dziś to codzienność. Gdy wędruję ulicami Ursynowa – a zatem z dala od centrum – nieustannie słyszę obce języki. Fakt, na razie przeważają ukraiński i rosyjski, ale nie brak też słów, których lingwistycznego rodowodu nie jestem w stanie rozszyfrować. Nie brak też dziewczyn o włosach skrytych pod chustami, jak to mają w zwyczaju wyznawczynie islamu. Sporo spotykanych w tramwaju czy metrze osób ma bez wątpienia pochodzenie azjatyckie i afrykańskie. I z całą pewnością nie są to turyści. Pod tym względem Warszawa coraz mniej się różni od Londynu, Berlina czy Paryża. Nie jest w końcu przypadkiem, że w serialu Agnieszki Holland 1983 sporą rolę odgrywa zakorzeniona w naszej stolicy mniejszość wietnamska. I bardzo mnie bawią zapewnienia polityków, utrzymujących, że Polska żadnych uchodźców nie przyjmie. To sprawa definicji – tak czy inaczej mamy do czynienia z napływem przybyszów.

Ale zmienmy perspektywę. Sami jesteśmy tu przybyszami, Słowianie wszak przybyli tu ze wschodu (badacze nie są jednomyślni), dobrnęli co najmniej do Łaby. Wędrówki ludów to przecież nie najnowsze zjawisko. Lecz to nie był żaden początek. Dotychczasowe badania potwierdzają, że „biały człowiek” dość dawno temu wywędrował z Afryki, zaś barwę skóry odziedziczył po wejściu w bliskie kontakty z neandertalczykami, którzy już tutaj na homo sapiens sapiens czekali. Badania wykazują, że wszyscy współcześni – wyjąwszy jednak rdzennych Afrykanów – mają ok 2% DNA neandertalczyków. Jesteśmy zatem, choć niezbyt chętnie się do tego przyznajemy, mieszancami. Nauka zresztą – tu nawiązuję do początku felietonu – wciąż wiedzę o naszym pochodzeniu pomnaża, odkrywając nieustannie nowe ludzkie pokrewieństwa, choćby z denisowianami, o których nie wiemy zbyt wiele, lecz wiemy, że tu żyli i nie można wykluczyć, że mieszały się zarówno z homo sapiens jak z neandertalczykami.

Cóż, nie ulega wątpliwości, że jedną z istotnych kwestii dotyczących naszej tożsamości jest sprawa pochodzenia, nasze rodowody, nieraz bardzo skomplikowane. A te, jak się okazuje, wcale nie są tak oczywiste. Przynajmniej dla tych, którzy odrzucają kreacjonizm w jego wersji najprostszej, przed którą przestrzegał jeszcze św. Augustyn, powiadając, by nie czytać Biblii dosłownie. Niezależnie jednak od tego, że o własnym pochodzeniu dowiaduję się wciąż czegoś nowego – a podejrzewam, że badania genetyczne są dopiero w powijakach, zaś ich powiązanie z archeologią, dziedziną interdyscyplinarną, dość świeżej daty – jakoś nie mam kłopotów z poczuciem własnej tożsamości i nie martwię się, jak wielu innych, że mogę ją utracić. Sobą pozostaną chyba do końca życia, przynajmniej tego świadomego. A piszę o tym dlatego, że w trakcie zajęć usłyszałem od jednego ze studentów, że tożsamość Polaków może być, za sprawą rosnących ruchów migracyjnych, poważnie zagrożona i że musimy się przed tym zagrożeniem aktywnie bronić. Wdając się z nim w dyskusję, podkreśliłem jedno: ktoś, kto się, jak on, tak bardzo o swą tożsamość obawia, raczej nie jest człowiekiem integralnym i musi być tej swojej tożsamości bardzo niepewny. Tacy ludzie siłą rzeczy czują lęk przed spotkaniem z innymi, co często objawia się napadami agresji i dążeniem do samoizolacji. Czują się u siebie niepewnie, przyjmując postawę obrońców zagrożonej twierdzy. Tak naprawdę natomiast nie bardzo wiedzą, kim są. A to uczucie dość chyba nieprzyjemne.

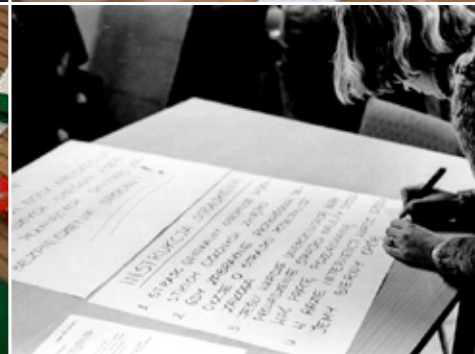
Studenci Zagraniczni w Polsce



Łódź
styczeń 2020



wczoraj i dziś



Fot. Leszek Biernacki, Marcin Zieliński,
Wiktor Zowczak, Agata Hułas, Grzegorz Adach

